

Kartki z podróży - Berlin

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

KARTKI Z PODRÓŻY

Berlin

Bolesław Prus

Z WARSZAWY DO ALEKSANDROWA

D. 16 maja, między g. 4 i 5 po południu, w towarzystwie stroskanej rodziny i przyjaciół znalazłem się na dworcu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej z zamiarem jechania do Berlina i — tam dalej. Ludzie życzliwi mi, choć mniej dbający o geografję, wyobrażali sobie, że owe i „tam dalej” oznacza, iż w ciągu kilku tygodni z kilkomaset rublami w kieszeni, powinienem zwiedzić nie tylko Berlin i Paryż, ale jeszcze Szwecję z Norwegią, Anglię z Irlandią, a może nawet wszystkie kolonie wielkobrytańskie i — tam dalej.

Go prawda byłem przygotowany do jakiejś bardzo śmiałej podróży. Dla hazardu nie wziąłem nawet pościeli, jak to robię jadąc do cichego Nałęczowa, lecz tylko małą walizkę.

Ale dopiero gdy wróciłem z „podróży po Europie”, wpadł mi w rękę Almanach Hachette'a, w którym znalazłem rubrykę pt. „Co należy kłaść do walizki?” i dowiedziałem się następujących szczegółów.

W walizce *M a d a m e'* y powinno znajdować się:

35 gatunków bielizny, obuwia i odzieży (np. kostium kąpielowy, peniuar kąpielowy, gorsety, kapelusze itd.)

28 gatunków przedmiotów toaletowych (np. lustro potrójne, woda kolońska, waselina itd.).

34 gatunki przedmiotów różnych (np. szpilki i lampka spirytusowa, książka do nabożeństwa, fotografie męża i dzieci itd.).

Razem 107 gatunków przedmiotów.

Zaś do walizki *M o n s i e u r'* a należy włożyć:

31 gatunków bielizny, obuwia i odzieży (kostiumy do jazdy konnej, welocypedu, tenisa, polowania, fechtunku, pływania, kąpeli i alpinistowskie tworzą dopiero jeden gatunek odzieży, oznaczony nr 5).

31 gatunków przedmiotów toaletowych (np. pumeks, szczoteczka do paznokci, pilniczek do paznokci, kleszczyki do paznokci, puder ryżowy itd.).

Wreszcie — 24 gatunki przedmiotów różnych, a między nimi: budzik, kawałek flaneli, nici czarne i białe, Almanach Hachette'a...

Razem 85 gatunków przedmiotów, do których trzeba jeszcze dołączyć 15 środków aptekarskich, jak: kitajkę, bizmut, ołówek antimigrenowy, „mamcze szpilki” itp.

Tym sposobem człowiek, istota z jednej sztuki, chcąc podróżować z pożytkiem dla siebie i bez szkody dla bliźnich powinien wozic 100 gatunków przedmiotów, jeżeli jest mężczyzną, i 122 — jeżeli jest damą.

Ostatnia cyfra uczy nas, że płeć piękna jest o 22 proc. bardziej skomplikowaną aniżeli płeć brzydka. Konieczność zaś „potrójnego lustra” dla dam, podczas gdy mężczyźni wystarcza jedno lusterko kieszonkowe, zdaje się wskazywać, że — ozdoby ludzkiego rodu — nawet w podróży posiadają co najmniej trzy fizjonomie:

Jedną dla męża,

Drugą dla księdza,

Trzecią dla wojaka ...

I tak dalej.

Ze 100 przedmiotów mających wypełniać męską „walizę” ja miałem tylko — smoking, którego

ani razu nie włożyłem na siebie, koperty, które zgubiłem w drodze, i papier, który tak czysty powrócił do Warszawy, jak z niej wyjechał.

Sędzia G., pod którego ojcowską opieką puściłem się do Berlina, także nie posiadał owych 100 przedmiotów wymaganych przez przepisy dobrego tonu. Za to miał na głowie powiewną czapkę bez daszka, z której w razie potrzeby można było sporządzić kubek do wody, rondel do nelsonskich zrazów, duży pugilares itd.

Czy takie były przeznaczenia fenomenalnej czapki? nie wiem. Utkwiła mi jednak w pamięci jako symbol bardzo dalekiej podróży.

Istotnie, podróżując dotychczas z Warszawy do Wilanowa, z Warszawy do Chotomowa a nawet do Nałęczowa nigdy podobnej czapki nie spostrzegłem. Toteż co chwila widok jej przypominał mi, że mam przed sobą 14 godzin nieustającej jazdy, która wyrzuci mnie o 600 wiorst za Warszawę.

(Do Nałęczowa jechało się najwyżej 6 godzin, a i to nieraz już spod Wawra chciał człowiek wracać do domu!)

Bez walizy czy z walizą, nawet zaopatrzoną wedle almanachowych przepisów, nikt nie jedzie 600 wiorst ot tak sobie. Miałem więc i ja cel i to ważny, choć prosty:

„Przypatrzeć się Niemcom i Francuzom w ich stolicach, a następnie — opisać, co tam zobaczę”...

Prawda, jakie to łatwe, szczególnie gdy człowiek w poglądach na cywilizację kieruje się warszawskimi wskazówkami, które nadzwyczajnie uprzystępniają tego rodzaju zajęcie...

Chcesz zrozumieć: co znaczy cywilizacja? jedź tedy za granicę. Zobacz jeden teatr, drugi teatr, jedną restaurację, drugą restaurację, przejdź się po ogrodach, jeżeli są, skocz na wystawę sztuk pięknych, jeżeli otwarta i opowiadaj, od razu opowiadaj, coś widział. Czego nie dopatrzysz, dopełń fantazją, a im świeższe i weselsze będą wrażenia, tym lepiej.

Postanowiwszy tedy zwiedzać teatru, chodzić po ogrodach, wpadać na wystawy i pisać o „zagranicy”, pomyślałem jeszcze między Warszawą i Pruszkowem:

— No, chwała Bogu, plan roboty jest, papier jest, koperty są, zagranica będzie już jutro po śniadaniu ... Ale, spróbujmy, czy też nie da się czego przygotować w drodze? ... Bo, nieprawdaż, jakby to było pięknie, gdyby wyjechawszy z domu o 4 i pół po południu, już o 10 wieczór wystrzelić korespondencję własną, choćby tylko z Aleksandrowa? ...

Po czym jutro machnie się coś z Berlina, pojutrze coś z Paryża i — publiczność dowie się, jeżeli nie o tym, jak wygląda „zagranica”, to przynajmniej o tym, że delegat nie nudzi się w podróży.

Rzeczą krajową, która najpierw wpadła mi pod oczy a nawet pod ręce i pod nogi, był — wagon.

Kilka razy w życiu jeździłem koleją Warszawsko-Wiedeńską, ale jeszcze wagonami dawnego typu. Były to budy podzielone na cztery części. Każda część miała zewnątrz swoje własne drzwi, a wewnątrz dwie lawy, na których przez 12 godzin mordowały się cztery pary ludzkich istot nie mogących nawet nóg wyprostować bez wkroczenia w granicę indywidualności swoich sąsiadów.

Nie wspominam zaś o innych turbacjach, a raczej o braku najelementarniejszych dogodności...

Z umysłu trochę miejsca poświęciłem wspomnieniom wagonów starego typu, aby nadmienić, że gdyby czytelnikowi przyszła ochota podróżowania tego rodzaju kolejami, niech czym prędzej uda się... do Francji. Tam bowiem jeszcze znajdzie w pełni rozkwitu ciasne, trzęsące, nietowarzystkie a nawet niebezpieczne budy, jakich już wyzbyła się nawet kolej Warszawsko-Wiedeńska.

Dzisiejsze jej wagony majtu c również po 4 przedziały, a każdy przedział po dwie czteroosobowe kanapki. Ale przedziały te są otwarte na kurytarzyk, po którym można spacerować.

Spacerować, stać, przechodzić z przedziału do przedziału choćby w tym samym wagonie... Czyliż nie jest to szczytem udogodnień w sposobach podróżowania? ...

A jeżeli jeszcze dodamy, że każdy wagon posiada prawdziwą umywalnię z lustrem i wodą...

No, co się tyczy wody, to nie zawsze bywa ona na miejscu.

16 maj 1895 roku odznaczył się spiekotą; więc chociaż pociąg toczył się po stalowych szynach nie po piaszczystym gościńcu, w przedziałach jednak i kurytarzach unosił się gęsty pył jak na dworze.

Za Skierniewicami miałem już tyle piasku w uszach, ustach i oczach, że — zapragnąłem się umyć. Idę tedy do umywalni — pusta... Ale tak. pusta, jakby nigdy nie bywało w niej wody...

A bodajże cię!... Wtem jakaś dobra wróżka zsyła pana B., który widząc moje hydrauliczne a nadaremne usiłowania, mówi:

— W tej umywalni nie ma wody; ale chodźmy do innej, a umyje się pan.

Uszczęśliwiony biegnę za moim protektorem i po ruchomym mostku bez poręczy przechodzę do następnego wagonu. Myję się, wracam, lecz z przykrością uważam, że łatwiej mi było przejść w kierunku biegu wagonów, aniżeli naprzeciw biegowi.

Zatrzymujemy się tedy w nie swoim wagonie aż do następnej stacji, a ja przez ten czas myślę:

— Czy kiedykolwiek, zanim słońce zgaśnie i wyginą wszystkie istoty żyjące, czy też kiedy zdobędzie się ludzkość na połączenie wagonów bezpiecznymi mostkami, po których nawet tak cywilny, jakim ja jestem, człowiek mógłby przechodzić z wagonu do wagonu bez zawrotu w głowie?

...

Przez chwilę zdaje mi. się, że ja sam potrafiłbym zrobić projekt tak bezpiecznego mostu ... Ale wnet ruszam ramionami i uśmiecham się z własnej zarozumiałości.

— Bo gdyby — mówię — dogodna komunikacja między wagonami była możliwą, już by ją wynaleziono. Widocznie zaś jest niemożliwą, skoro... i tak dalej.

Odpędziwszy aroganckie myśli zaczynam wyglądać oknem.

Na mapie i w naturze (ale tego nie można dojrzeć przez okno) droga z Warszawy do Aleksandrowa wygląda jak litera V, której lewe ramię jest przeszło dwa razy dłuższe od prawego.

Istotnie, zamiast jechać prosto w kierunku północno-zachodnim, na Płock, co wyniosłoby około 180 wiorst, my jedziemy przeszło 60 wiorst na południo-zachód od Skierniewic, a potem ze 150 wiorst skręcamy na północ do Aleksandrowa.

Nałożywszy tym sposobem ze 30 wiorst i ze 3 kwadransy jazdy mamy za to drogę równiutką jak stół. Żadnych gór niebotycznych, żadnych wód niezgruntowanych, żadnych godnych podziwu wiaduktów. A jeżeli trafi się od czasu do czasu wykop lub nasyp, to nigdy głębszy ani wyższy nad półtora piętra.

Po takim kraju można jeździć nie niepokojąc się tym, że natura odmówiła człowiekowi skrzydeł.

Toczmy się ciągle drogą Warszawsko-Bydgoską.

Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie równe pole i równe pole pokryte zbożem ozimym albo jarym, zielonym albo jasnozielonym. Czasami ukazuje się i prędko w tył ucieka sznurek małych chat ze słomianymi dachami i ścianami pobielonymi wapnem. Niekiedy zdarza się wśród pola samotny domek, na który nie rzuca cienia nawet kij wierzbowy ani kępa ostu. Za to, jakby dla kompensaty, co parę minut migają i znikają domki dróżników ładne, czyste a nade wszystko otoczone ogródkami.

Z daleka na granicy horyzontu majaczą wysokie kominy fabryczne.

Czasem zmienia się krajobraz i widać obszerne torfowisko podlane czarną wodą albo las złożony z drzew rozmaitego wieku. W pierwszej linii krzaki niby dzieci, w drugiej drzewka niby podrostki, w trzeciej stare drzewa — niby ojcowie, matki i niańki. Wygląda to jak liczna rodzina, która z daleka, w czerwonych pończochach i krótkich ciemnozielonych sukniach wybrała się na spacer. I nagle stanęła wzdłuż kolei, aby patrzeć na pociąg z jego 40-wiorstową prędkością, kurytarzowymi wagonami i podróżnymi, którym zdaje się, że wiedzą, dokąd jadą i kiedy powrócą.

Wśród tych okolic płaskich i jednostajnych można jednak żyć bez obawy niedostatku.

Żyto w powiecie warszawskim, sochaczewskim i łowickim przynosi 4—5 ziarn, w kutnowskim, włocławskim i nieszawskim nawet 5 ziarn. Na całej zaś przestrzeni od Warszawy do Aleksandrowa pszenica z jednego korca wysiewu daje 6 korcy zbioru, czyli 6 ziarn.

A ponieważ nie samym chlebem żyje człowiek, hodują się więc słynne krowy w kutnowskim, świnie i owce w nieszawskim, konie we włocławskim, warzą sól w Ciechocinku, robią sery i zbierają owoce a nawet fabrykują cykorię we włocławskim.

Interesom pragnienia służą browary i gorzelnie działające prawie w każdym powiecie. Dla budowania domów cegła wypala się w kilkunastu miejscowościach, a w powiecie błońskim nawet kafle. Nareszcie, potrzebę odzieży zaspokoić mogą liczne garbarnie, fabryki tkanin wełnianych i bawełnianych, a nade wszystko — słynna fabryka żyrardowska.

Nie tylko żyć można tu, ale jeszcze pracować a nawet myć się w miarę potrzeby. Istnieją bowiem fabryki narzędzi rolniczych w Kutnie i Włocławku, a fabryki mydła i świec w tymże Włocławku i Łowiczu.

Nadto zaś, chorzy i panny na wydaniu mają „wody” w Ciechocinku, kupcy — punkta handlowe: na konie i bydło w Łowiczu, na zboże w Nieszawie. Dla amatorów pisania istnieją fabryki papieru i bibuły położone niezbyt daleko od kolei Bydgoskiej.

Nawet i wyższe potrzeby dadzą się zaspokoić w tych stronach. Archeolog znajdzie starą katedrę we Włocławku i jeszcze starszą kolegiatę w Łowiczu, a miłośnik sztuki stosowanej do przemysłu może w Nieborowie obejrzyć miejsce, gdzie niezbyt dawno wyrabiała się majoliki.

Szpital obłąkanych pod Pruszkowem i kolonie małoletnich przestępców pod Rudą Guzowską dopełniają listy miejscowości mających ogólniejsze znaczenie.

Nade wszystko jednak okolice drogi, którą przebiegaliśmy, obfitują w cukrownie. Kiedyś w samym powiecie kutnowskim było ich 8; nie podjęlibyśmy się jednak odpowiedzieć, ile ich jest obecnie? W ostatnich bowiem latach w liczbie krajowych cukrowni zaszły pewne zmiany; lecz na bliższe ich określenie cyfr nam brakuje.

W ogóle tutaj, jak i w całym kraju, znajduje się wiele rzeczy potrzebnych oprócz — statystyki. Każdy zna (zresztą niezbyt dokładnie) swój własny folwark, osadę, fabrykę, lecz nikt nie troszczy się o swego sąsiada i nie lubi, ażeby jakieś tam Towarzystwo Popierania Przemysłu zaglądało do jego garnków.

Niech więc czytelnik nie ma pretensji, gdyby w tym sprawozdaniu z wagonowych okien znalazły się niedokładności nawet grube. Od roku bowiem 1876, w którym W. Załęski wydał swoją statystykę, nikt już nie ma odwagi czy ochoty przedstawić nam statystycznego obrazu społeczeństwa, choć źródeł urzędowych do podobnej pracy chyba nie braknie.

Pomimo więc najszczerzej chęci nie potrafię objaśnić, o ile od 20 lat wzrosła i w jakim stopniu zmieniła się ludność okolic drogi Warszawsko-Bydgoskiej? Czy wzmogła się produkcja rolna i przemysłowa, jakie powstały a jakie zniknęły fabryki itd.

Nie kończąca się równina, pola, które wciąż zlewały się w jedną całość, przerzedzone lasy, samotne chaty bez drzew zaczęły mnie w końcu nudzić. Nie mogąc patrzeć, musiałem rozmyślać, naturalnie o kraju, do którego niosło mnie przeznaczenie w postaci zadyszanej lokomotywy i turkoczących jak młyny wagonów.

Z Prusakami już parę razy stykałem się w ten sposób, jak człowiek, który mając wykapać się w zimnej wodzie próbuje jej naprzód ręką, później nogą, a w końcu — ucieka.

Jadąc kiedyś przez Oderberg podziwiałem gburowate zachowanie się jakiegoś urzędnika. Innym razem, w Katowicach, zachwyciałem się pięknnością i czystością miasta, ale za miastem — zimno mi się zrobiło, gdym zobaczył robotników maszerujących z fabryk jak żołnierze, a przy drodze słup z

napisem, że — taki to a taki oddział landwery ma zbierać się w takiej a takiej miejscowości.

Nareszcie, znowu kiedyś będąc w Toruniu słyszałem tylko wiejskie baby mówiące po polsku, ludność zaś surdutowa rozprawiała wyłącznie po niemiecku. A gdy jeszcze w „prawdziwej polskiej restauracji” dano mi pod tytułem wybornej cielecej pieczeni, obrzydliwą potrawkę z pomyjkowatym sosem, pierzchnąłem na długi czas „ze szczęśliwych krajów pruskich”.

Toteż nie dziw, że gdy mi przyszło wybrać się na kilka tygodni, jechałem markotny. Tym markotniejszy, że na krótki czas przed podróżą zrobiłem dosyć dziwne odkrycie... geograficzne!...

Czy zastanawiałeś się kiedy, czytelniku, jaką formę ma Królestwo Polskie, a jaką — Cesarstwo Niemieckie i jaki między nimi zarysowuje się skutkiem tego stosunek?

Kiedy byłem w szkołach, uczono nas, że Królestwo jest podobne do szynki, w której gubernia suwalska i łomżyńska odgrywają rolę kości, a reszta jest mięsem.

Lecz gdy rozpocząłem samodzielne studia nad geografją, zobaczyłem w mapie Królestwa Polskiego zupełnie inną figurę, a mianowicie kobietę ubraną w sposób dosyć ekscentryczny...

Głową geograficznej niewiasty jest gubernia suwalska (czapeczką — powiaty: władysławowski i mariampolski). Oko jej przypada na jeziorze Metelskim, nos — przy mieście Mereczu, usta — przy Druskienikach, a broda — obok Grodna.

Powiat szczuczyński tworzy szyję tej postaci, a powiat mazowiecki jest niby jej biustem, co prawda mocno sfatygowanym. Pozostałe gubernie tworzą jakby odętą suknię, pod którą około Brześcia Litewskiego widać zarys kolana.

Cała nareszcie figura (twarzą zwrócona, ku wschodowi) wygląda tak, jakby pędem uciekała przed czymś ... Wszystkie te uwagi można sprawdzić na każdej, nawet arkuszonej mapie Królestwa Polskiego.

Zobaczmy teraz: przed czym ucieka owa niewiasta? W tym zaś celu trzeba mieć mapę Cesarstwa Niemieckiego zrobioną, o ile można, jednym kolorem.

Mając taką mapę, bez wielkiego trudu spostrzeżemy, iż państwo niemieckie w ogólnych zarysach podobne jest do głowy jakiegoś zwierzęcia, może — nosorożca... Przy czym Niemcy południowe spełniają funkcję szyi, a północne — właściwej głowy i paszczy.

Sprawdźmy to w szczegółach. Nosem i górną szczęką tej postaci są Prusy Zachodnie i Wschodnie, a rogiem na nosie — wąski pasek ziemi nad Zatoką Kurońską zawarty między miastami: Nimmersatt i Heidekrug.

Okiem jest wśród Pomeranii zatoka szczecińska, czołem Meklemburg, uchem Szlezwik-Holstein.

Tył głowy (idąc z góry na dół) stanowią: Hanower, Westfalia i prowincje reńskie; policzkiem jest Brandenburgia i Poznańskie, a szczęką dolną Śląsk Pruski.

Co się tyczy szyi niemieckiego nosorożca to — Saksonia jest podbródkiem, Bawaria podgarłem, Badeńskie karkiem, a Alzacja i Lotaryngia wydają się być plastrem, może wezykatorią...

Nie na tym jednak kończy się oryginalna forma Prus i Niemiec, którą — powtarzam — można sprawdzić na mapach. Ciekawsze bowiem jest, że ów potwór ma paszczę otwartą w taki sposób, jakby szarpał za suknię, a nawet wpijał zęby w turniurę kobiety przedstawiającej Królestwo Polskie.

Jeżeli przypomnimy sobie, że tym przypadkowym formom geograficznym wcale dokładnie odpowiadają rzeczywiste stosunki ludności polskiej z niemieckim państwem, to chyba nikt nie weźmie mi za złe, gdy powiem, że jadąc do Berlina czułem w sercu jakby duże ziarno pieprzu.

Ale bez względu na sentymenta pociąg pędził wciąż naprzód, wrzeszcząc wniebogłosy, zarówno gdy zbliżał się, jak i kiedy wyjeżdżał ze stacji.

Cudowne urządzenia! Dzwonią, ażebyś zapłacił rachunek w bufecie stacyjnym; dzwonią, ażebyś wszedł do wagonu; a potem znowu dzwonią i gwizdzą, ażebyś usiadł i czego, Boże broń, nie

przewrócił się, gdy pociąg ruszy ...

W powiecie gostyńskim zaczynają się jeziora i rosną w liczbę i wielkość w miarę zbliżania się do granicy. Lecz nie widziałem żadnego z nich, może z powodu że mrok już zapadał, a może — iż są zbyt odległe od plantu kolei.

Wreszcie o pół do 10 wieczór znowu z wielkim krzykiem lokomotywy wjechaliśmy do Aleksandrowa, skąd o pół do 11 wyruszyliśmy do Torunia, gdzie po 20-minutowej jeździe stajemy bez wypadku.

Z TORUNIA DO BERLINA

[część pierwsza]

Toruń leży, mówiąc po naszymu: w guberni, a po tamtejszemu: w Prowincji Wschodnio-Pruskiej. Jest to forteca nad Wisłą, a zarazem miasto liczące 27 tysięcy mieszkańców.

Znajdują się tutaj młyny, fabryki maszyn, stolarnie i odbywa się ożywiony handel zbożem i drzewem. Nie te jednak rzeczy stanowią chlubę Torunia, ale trzy — zupełnie inne:

- 1) Jakaś ukośna wieża
- 2) Toruński piernik — i —
- 3) Mikołaj Kopernik.

„Ukośnej wieży” nie widziałem, może z powodu głębokiej ciemności, jaka po naszym przyjeździe zaległa nad miastem. Piernika nie kosztowałem, ponieważ wiadomo mi z ogłoszeń, że najlepsze i najprawdziwsze toruńskie pierniki wyrabiają się w Warszawie.

A i o Koperniku także niewiele jest do powiedzenia. Był to astronom polski, który miał nieszczęście urodzić się w Toruniu w r. 1473 i dlatego... został przyłączonym do „szczęśliwych krajów pruskich”.

Na próżno przypominają Niemcom, że w r. 1473 nie tylko Toruń nie należał do dzisiejszych Prus, ale nawet, że takich Prus jeszcze nie było na świecie.

— Toteż Kopernika nie dlatego zaliczamy do Niemców, że urodził się w Toruniu, ale że był Niemcem z pochodzenia...

— Ależ Kopernik sam siebie nazywał i uważał za Polaka...

— To nic nie znaczy — odpowiadają — gdyż i w naszych czasach, na przykład w Poznańskim, dzięki intrygom kobiet i księży niejeden Nachtigal przezwał się Słowikowskim.

— Ależ, panie żandarmie, panie landracie, panie ministrze, ten Słowikowski z Poznańskiego to naprawdę jest Słowikowski...

— Ale musi pochodzić od Nachtigalów, których całe rodziny mieszkają w Westfalii, Badenie, Wirtembergii...

I w rezultacie Słowikowski zostaje „odrobiony” na Nachtigala, a Kopernik wciągnięty pomiędzy sławnych Niemców, ponieważ tak chce pan minister, a pruska żandarmeria ma twarde pięści.

Wobec tego nam, biednym Polakom, nic innego nie pozostaje do zrobienia, tylko przyjąć niemiecką kulturę i zgodnie z jej zasadami anektować wszystko i wszystkich.

A więc naszym — po pierwsze — jest Berlin, nie tylko dlatego, że otaczają go osady o bardzo podejrzanych nazwiskach. (Nowa Wes, Rudow, Buchow, Buckow, Drewitz itp.) ale że on sam otrzyma! nazwę od Bera Lina (Berek Lin z powodu, że handlował linami bądź łapanymi w rzece, bądź kręconymi z konopi), który w epoce głodzonego krzemienia był pachciarzem jednego z polskich szlachciców mających folwarki nad Szprewą. (Szprewa czytaj: „Sprawa”, z powodu że o rybołówstwo w niej toczyły się mnogie sprawy po sądach).

Naszym — po wtóre — jest Bismarck, gdyż nazwisko to pochodzi albo od wyrazu: „pismak”, albo od zdania: „bierz mak...”

Naszym wreszcie jest Moltke, którego odległy przodek nazywał się po prostu Molski, zanim go przeafajnowano na Niemca.

Niech więc Prusacy lepiej nie zaczynają z nami, bo jak my weźmiemy się do kulturalnej roboty

około osób i terytoriów, może nie zostać im ani jednej wsi, ani jednego policjanta, nie mówiąc o stolicach i znakomitościach.

Zatopiony w politycznych kombinacjach o mało nie zapomniałem dodać, że w Toruniu ulegliśmy — z przeproszeniem

— rewizji, ale tylko celnej. Przy czym okazało się, że moja walizka nie zawiera nic groźnego dla bezpieczeństwa i sławy Niemiec, ale za to sędzia G. publicznie przyznał, że ma zamiar zalać Niemcy kilkomaset sztukami warszawskich papierosów.

Pruski urząd celny bystrym okiem obejrzał niebezpieczne wyroby i ich właściciela skazał na zapłacenie 90 fenigów haraczu, co wynosi prawie tyleż groszy.

Po odbyciu tej formalności, przypomniawszy sobie, że już należymy „do szczęśliwych krajów pruskich” poszliśmy do restauracji, ażeby tam oddać się browarnianym uciechom.

Sędzia kazał przynieść „ciemnego” i przymrużywszy oczy, z wyrazem niebiańskiej błogości pieścił kufel, barwą i wymiarami przypominający niewielki fabryczny komin. Ja zaś, ażeby jak najprędzej nasiąknąć pruskimi zaletami, kazałem podać jeden po drugim trzy kufle.

Pierwszy był przeznaczony na cześć Berka Lina, który tak szczęśliwie gospodarzył nad rzeczką Sprawą.

Drugi na cześć Ottona Pismaka v. Bierzmaka, który będąc sam rodowitym Polakiem najlepiej mógł ocenić wrodzony temu plemieniu popęd do intryg.

Trzeci kufelek miałem zamiar poświęcić naszemu nieocenionemu Helmutowi Molskiemu, gdy wtem... ukazał się celnik

— i rzekł do sędziego:

— Czy to pan zapłacił 90 fenigów za papierosy?

— Ja — odparł sędzia ze spokojem godnym starożytnych bohaterów, podczas gdy na moim obliczu wykwitła liliowa bladość przypominająca pierwszych chrześcijańskich męczenników. Pomyślałem bowiem zatroskany:

„Założyłbym się, że celnicy zmiarkowawszy, w jakim interesie jadę do szczęśliwych krajów pruskich, obu nas zapakują do f e s t y n g u ...”

— Za papierosy — mówił grobowym głosem celnik — należało się od pana nie 90, ale 80 fenigów. Więc 10 fenigów zaniósłem do wagonu i położyłem na pańskiej walizce...

Cała ta scena, krótsza od błyskawicy, odegrała się w moich oczach. A treścią jej było ani mniej, ani więcej tylko to, że państwo niemieckie uczuwszy swój błąd zwróciło poszkodowanemu 10 fenigów...

— Garson! — zawołałem — proszę o czwarty kufel „ciemnego”, ażebym wypił na cześć Prus, które przyznają się do omyłek w swoich aneksyjnych operacjach...

Szczęśliwi Francuzi! Tylko patrzeć, jak Prusacy, obrachowawszy jeszcze raz koszta wojny z r. 1870, oddadzą im — przynajmniej kawałek Lotaryngii. No, a co do nas, jestem prawie pewny, nie tylko że odzyskamy Kopernika, ale jeszcze, że posiadziemy na własność nieocenionego Pismaka v. Bierzmaka i kochanego Molskiego... (Że też polski szlachcic nie ukryje się nawet pod pruskim mundurem, lecz prędzej czy później musi zdradzić się choćby końcówką!).

Jak niebo do ziemi, tak piwa niemieckie są niepodobne do naszych. W piwie niemieckim bez żadnych ogródek znajduje się słód i wyciąg z chmielu; nie ma zaś spirytusu, melasy, sacharny...

Wtem na sali zrobił się ruch. Kupujemy bilety po 24 marki (około 12 rs) od osoby, szybko siadamy do wagonu i — ruszamy bez dzwonięń i gwizdań...

— No, a gdyby kto został na stacji?... — pytam sędziego. .

— No, to by go zostawili na stacji — odpowiada sędzia z nieubłaganą logiką i poprawiwszy

swoją czapkę układa się na spoczynek.

W parę minut później śpi jak mąż czystego serca, a w kwadrans później jak dziesięciu i jak stu mężów czystego serca.

Ja zaś stopniowo nabywam przeświadczenia, że pruskie, pociągi (może tylko pośpieszne) zarówno dojeżdżając jak i wyjeżdżając ze stacji nie gwizdzą, a stacja im nie dzwoni...

Nieszczęśliwy podróżny musi więc pilnować się tabliczki opiewającej: dokąd?... i minuty: o której odchodzi pociąg? Zresztą, o ile mi się zdaje, nie tylko nikt go nie ostrzega, ażeby nie spóźnił się, ale chyba nawet nikt by mu nie bronił rzucić się pod pociąg.

Jest już po 11, noc ciemna, jakbyśmy jechali nie przez boży świat, ale przez piwnicę wypełnioną okseftami ciemnego piwa. Mam przed sobą około 7 godzin jazdy i około 400 kilometrów drogi. Nie tyle z nudów, ile przez ciekawość zaczynam oglądać się wśród otoczenia.

Nasz wagon jest „nowego systemu”, czyli — posiada kurytarz, po którym można spacerować tak wygodnie jak po warszawskich, a może i wygodniej. Szyby są wielkie, sklepowe, przez które w tej chwili widać tylko noc, prawie czarną, nasyconą przeczuciami deszczu.

W przedziale klasy II, gdzie kochany sędzia śpi jak stu jeden sprawiedliwych, a dwaj starozakonni Słowianie udają przede mną czy przed sobą rodowitych Niemców, w tym przedziale pali się pod sufitem lampa gazowa z trzema płomieniami i fioletową zasłoną.

Wygodne kanapy obite są oliwkowej barwy pluszem; przy oknie znajduje się mały stolik, na którym można by grać w szachy. W kącie stoi spluwaczka, na ścianie wisi lustro, a przy drzwiach widać guziczek dzwonka elektrycznego na służbę.

Niech mi wybaczą nasze drogi żelazne, ale o takim komforcie u nas jeszcze nie słyhać. Choć ja osobiście dziękuję Bogu i za to, że już posiadamy przynajmniej wagony kurytarzowe.

Znowu wyglądam przez wielką szybę na dwór, ale nie widzę nawet iskier, choć słyszę sapanie i gwarzenie lokomotywy. Nagle spostrzegam napis wzywający podróżnych, aby nie otwierali okien i nie tylko nie wyrzucali przez nie butelek (rozumie się próżnych, bo pełnych sam z siebie nikt nie wyrzuca), ale nawet ażeby nie wychylali się przez okna. .

— Cóż to znowu za ograniczenie swobody osobistej?... — myślę. — Dlaczego biedny podróżnik nie miałby prawa niekiedy wytknąć głowy i pogadać z przechodniem lub właścicielem domu, obok którego przejeżdża pociąg? ...

Wtem w głębi mej duszy dokonywa się w sposób spontaniczny — proces dzielenia. Moja „beźświadoma cerebracja” dzieli 380 kilometrów przez 7 godzin jazdy, z czego wypada niespodziewany wniosek, że nasz pociąg cwałuje z szybkością 55 do 60 kilometrów na godzinę.

U nas, np. pociągi kolei Nadwiślańskiej pomykają 24 do 30 wiorst na godzinę i dzięki Bogu, że tak jest. Przy zdwojonej bowiem prędkości nie każdy członek pasażera dojechałby na miejsce.

Teraz zrozumiałem, dlaczego nie warto wyglądać przez okno jadąc pruskim „sznelcugiem” 55 do 60 kilometrów na godzinę... Mimo to nasz pociąg nie skacze, nie trzęsie, lecz toczy się łagodnie, jakby płynął.

Czy drogi tutejsze są gładzsze aniżeli u nas? Czy inaczej są budowane wagony? Nic nie wiem, tylko czuję, że mi tu wygodnie i że pośpieszna jazda wcale mnie nie drażni.

Jeszcze nie skończyłem notować różnych osobliwości wagonu, gdy do naszego przedziału wszedł konduktor.

Jest to piękny chłop, tęgo, zbudowany, na gębie czerwony i pyzaty, na głowie szatyn, na reszcie ciała granatowy z metalowymi guzikami tam, gdzie były potrzebne.

Może mieć 30 — 40 lat, a odznacza się zadziwiającym spokojem fizjonomii i całej postaci. Przeciętny konduktor naszych dróg żelaznych wyglądałby przy nim na człowieka mizernego i

nerwowego.

Pięknie zbudowany szatyn żąda okazania biletów. Sędzia budzi się nagle, jakby w nasz wagon piorun trzasnął, a dwaj starozakonni Słowianie symulują zapamiętałych Prusaków.

Podajemy bilety, konduktor znaczy je powoli i z nieporównaną flegmą oczekuje na bilet jednego ze starozakonnych.

Świeżo urodzony potomek Arminiusza przegląda wszystkie swoje kieszenie i kieszonki, lecz nie znajduje w nich biletu... Biedak robi się czerwony, potem siny; nagle schyla głowę, jakby miał zamiar wyrzucić kozła albo ukryć się pod ławką i — o cudo! znajduje bilet na podłodze.

Przez ten czas spokojny konduktor przypatrywał się zdenerwowanemu pasażerowi okiem matki, która patrzy na kąpiące się niemowlę. Zdaje mi się, że od razu widział nieszczęsny bilet pod ławką; lecz chyba nie sądził, ażeby do jego obowiązków należało ostrzeżenie podróżnych, iż w niewłaściwym miejscu plasują swoje bilety.

Ta sama refleksja przyszła widać do głowy zgermanizowanemu a la fourchette Słowianinowi. Gniewnie spojrział na flegmatycznego konduktora i — o mały włos nie przystał do Polaków. Przypomniawszy sobie jednak, że nasz pociąg coraz głębiej zanurza się w posiadłościach Niemieckiego Cesarstwa, ochłonął z biletowej tremy i nowej ojczyźnie pozostał wiernym, zapewne na cały czas kuracji w Karlsbadzie.

Załatwiwszy się z biletami konduktor zwraca się do nas z dziwnym pytaniem:

— Czy pan chce siedzieć na tym miejscu, które zajmuje?

— Rozumie się...

— W takim razie zapłaci pan dwie marki — mówi konduktor.

Sędzia płaci, ponieważ zna tutejsze zwyczaje; ja także płacę, bo — niby — cóż innego mam robić? ... Ale dwaj starozakonni wypowiadają całkiem słuszną i obszernie wymotywowaną uwagę, że oni za swoje miejsce już zapłacili po 24 marki z fenigami.

Konduktor słucha ich cierpliwie jak lekarz pacjentów; jego twarz ani na sekundę nie przestaje być pogodną. Ale tymczasem pobiera od nas, którzy ulegliśmy, dwumarkówki, wydaje nam kwity i nad zajmowanymi przez nas miejscami wysuwa numery. Nad moją głową znalazła się liczba 22, która jest znakiem, że tego miejsca nikt inny oprócz mnie, nawet sam Helmut Molski zająć nie może i nie zajmie. Liczba ta również przypomina mi, że kiedyś miałem 22 lata i że w niewinnym łonie moim biło gorące serce, którego ówczesna płeć piękna nie umiała ocenić jak należy!

Po wyjściu konduktora sędzia zapada w sen tak głęboki, jakby znajdował się w trzynastym stopniu hipnozy. Dwaj podróżni na 6 tygodni straceni dla Słowiańszczyzny, siedząc naprzeciw siebie, tak wzajemnie oplątują się nogami, że robią wrażenie istoty podwójnej, która ma cztery nogi. Ja zaś nasuwam umbrellkę na lampę, ażeby śpiącym nic nie przeszkadzało i — znowu wychodzę na kurytarz.

Obok nas, z jednej strony jest przedział pierwszej klasy z amarantowymi pluszowymi kanapami, a ze strony przeciwnej — trzecia klasa z żółtymi drewnianymi ławkami. Widzę, że na dworze ciemność zgęstniała, a odwróciwszy głowę od okna — spostrzegam w kurytarzu siatkę na walizki i hak na paltoty.

„Ciekawy jestem — myślę — kto by, zapłaciwszy 24 marki do Berlina, chciał jechać w kurytarzu? ... Więc dla kogo ten hak, ta siatka?

„Oto — mówię w dalszym ciągu — osławiona praktyczność Niemców! Wydali pieniądze na bezcelowe urządzenia...”

Ledwie zrobiłem tę uwagę, no — może w pół godziny później — nasz pociąg zatrzymał się od razu jak oddział pruskiej piechoty, któremu miody podporucznik falsetowym głosem wrzasnął: h a l t!...

„Cóż u licha — pomyślałem — więc oni tu prędzej hamują pociąg biegnący 60 wiorst, aniżeli u nas jadący z prędkością 30 na godzinę? ...” Jest blisko północ. Na dworcu, którego nie znam, pali się mnóstwo latarni, a pod jedną z nich stoi rower, także z latarką. Służby kręci się pełno, ale zachowują się tak cicho, jakby nie chcieli przerywać snu podróżnym.

O ile przypominam sobie z Reichs-Kursbucha, czyli kolejowego przewodnika po całej Europie, darowanego mi przez jednego z przyjaciół, o ile przypominam sobie, stacja ta musi nazywać się po naszymu Bydgoszcz, po niemiecku Bromberg.

Bromberg — brom bierz?... Jak ten niemiecki język jest podobny do polskiego! I jakie komiczne wyrażają się sytuacje... Chcieli zgermanizować Bydgoszcz — nazwę co prawda nie mającą sensu w języku polskim i zastąpili ją nazwą: brom-bierz!...

A zaprawdę, należałoby tu często zażywać brom patrząc na podobną gospodarzę.

Jeżeli istotnie znajdujemy się w Brom-bierzu, nic nie stracimy przypomniawszy sobie, że jest to miasto posiadające 41 tys. mieszkańców, młyny, fabryki papieru i tektury, gisernię, fabrykę maszyn, garbarnie, octarnie, olejarnie i wyroby tytoniowe.

Brom-bierz razem z posągiem Fryderyka Wielkiego stojącym w rynku należy do Prowincji Poznańskiej. Poznańskie według niemieckich przewodników (jakich u nas brakuje) jest to kraj równy, posiadający wiele jezior. Przemysł odgrywa tutaj podrzędną rolę, głównym zaś źródłem dochodów jest uprawa ziemi i hodowla bydła.

Znowu ruszamy dość nagle i znowu bez dzwonek i świstania. Ale nie jedziemy sami. Jak olbrzymi boa łyka wylęknionego zajączka, tak nasz pociąg łyknął w „Brom-bierzu” nowego pasażera.

Ponieważ jegomość ten razem ze swoim kuferkiem i peleryną idzie prosto na mnie i zatrzymuje się obok naszego przedziału, mogę więc przypatrzeć mu się dokładniej.

Jest to pan ogromny we wszystkich kierunkach: wzdłuż, wszerz i w poprzek. Ma gruby kark, grubą talię, grube palce u grubych rąk, na nich grube pierścienie z grubymi brylantami. Nadto przy kamizelce ma grubą dywizkę, a w grubych ustach bardzo grube cygaro.

Oto jest Prusak od stóp do głów: tęgi, zdrowy, rudawy, rozrzucający się, może trochę zanadto przesycony „ciemnym” i „jasnym” piwem. Ten mógł być pod Sedanem i kolbą cyndnadelgeweru walić w łeb poddającego się Napoleona. A jeżeli tam nie był, z pewnością tego żałuje i — na rachunek — robi nadzwyczajne miny.

Gdyby utłuc w mózdzierzu wszystkich Bismarcków, Moltkich, Steinmetzów, Roonów itd. i z tej papki zrobić jedną osobę, figura ta jeszcze nie miałaby takiej pewności siebie jak ów pan. Nie umiałaby tak sapać, tak pociągać cygara i z taką wściekłością poprawiać na sobie garderoby.

Na domiar niedoli nadzwyczajny ten bohater (zdaje mi się, że to musiał być piwowar albo masarz) upodobał sobie nasz przedziałek, w którym zdarzyło się niemniej nadzwyczajne zjawisko. Oto — trzech śpiących pasażerowie zapełnili sobą ośm miejsc i jeszcze było im ciasno. Z czego wnoszę, że śpiący człowiek musi pęcznieć.

Patrzę tedy na śpiących, patrzę na olbrzymia, który ciągle dyszy wściekłością i w demoniczny sposób zaciąga się cygarem i myśle:

„Założę się, że będzie awantura. Bo jużci taki zajadły Prusak nie będzie stał w kurytarzu, podczas gdy trzech frantów wysypia się na pluszowych kanapach”.

A w tej chwili sędzia, który dotychczas miał postać nimfy Europy porwanej przez byka, przybrał teraz pełną wdzięku pozę Ledy karmiącej łabędzia. Dwaj zaś zgermanizowani starozakonni wciąż wyglądają jak dwa centaury osadzone na wspólnym tułowiu.

Nagle wściekły Prusak wyprężył potężne ramiona... Przymknąłem oczy, ażeby nie widzieć, co nastąpi. Gdy je zaś otworzyłem, przekonałem się, że moi śpiący towarzysze — śpią sobie w dalszym

ciągu, a ich straszliwy antagonistą po to wyciągnął rękę, ażeby swój kuferek postawić na siatce w kurytarzu, a płaszcz powiesić na haku.

W tej krótkiej chwili zrozumiałem dwie rzeczy. 1) że siatka i hak w kurytarzu mogą się przydać, 2) że rozbestwiony zwycięzca spod Sedanu jednakże nie śmiał zająć miejsca w przedziale, ażeby nie obudzić śpiących.

W ten sposób staliśmy obok siebie w kurytarzu dobry kwadrans. Burzliwy Prusak wciąż paląc swoje cygaro, ja zamyślony. A tymczasem sędzia — z Ledy karmiącej łabędzia zrobił Laokoona duszonego przez węże, Niobe płaczącą, Herkulesa w gościnie u Omfali, Magdalenę pokutującą...

I właśnie w chwili gdy wobec swoich równie śpiących sąsiadów miał przybrać pozę Zuzanny wobec starców, do naszego wagonu wszedł konduktor, ażeby ostemplować bilet nowoprzybyłemu. Wówczas niepohamowany Prusak wydobył dwie marki i rzekł:

— Ja chcę mieć ten plac...

To powiedziawszy wskazał grubym -palcem na kanapę, pomiędzy mnie i jednego z tych, którzy na poczekaniu zdradzili Słowiańszczyznę.

Konduktor wziął pieniądze, dał mu drugi bilet, wysunął kluczem wskazany numer i potem — rozbudził śpiących.

Ocknęli się wszyscy trzej i zrobili miejsce okazałemu przybyszowi. Sędzia w pierwszej chwili myślał, że już jesteśmy w Berlinie, a w następnej, że — wcale nie spał. Dwaj zaś starozakonni natychmiast zaczęli z Prusakiem rozmawiać o handlu.

Lecz ponieważ nawet niemiecki piwowar czy maser jest tylko człowiekiem, więc niebawem stało się, że zamiast trzech śpiących było w przedziale czterech. Gdy więc Prusak napęczniał, a sędzia zrobił minkę panny Stefańskiej kokietującej Roberta (patrz operę „Robert Diabeł”), opuściłem kanapę i wyniosłem się z przedziału.

Byłem i czułem się kompletnie sam, więc znowu zacząłem wędrówkę po kurytarzu, od czasu do czasu wyglądając oknem na dwór, gdzie już padał drobny deszczyk z nieba czarnego jak smoła.

Wtem zaczynam spostrzegać, że kurytarz, po którym chodzę, jest jakiś bardzo długi. Czyliżby wagon nasz równał się dwóm zwyczajnym?...

Zaglądam w różne kąty i w jednym miejscu widzę ściany, podobne do ogromnej harmonijki, która drgając to rozszerza się, to znowu skupia.

Czekajcie no... Ależ ja stoję na mostku łączącym dwa wagony, a ta harmonijka jest kurytarzykiem, którym zabezpiecza się podróżnych, aby przechodząc z wagonu do wagonu nie spadali pod koła lub nie doznawali zawrotu głowy.

Wynalazek, o jakim na naszej drodze żelaznej marzyłem, tu został wykonany, o ile zdaje się, dosyć dawno.

Zrobiwszy to odkrycie, które dało mi przedsmak rozkoszy, jakiej doznał Kolumb na widok nowego ładu, wyrzekłem się snu, który zresztą sam ode mnie uciekł i — począłem wałęsać się od wagonu do wagonu, wszędzie delektując się widokiem „harmonijki”.

W jednym przedziale trzeciej klasy zaintrygował mnie wysoki głos przypominający łoskot młyna na tle gwaru górskich potoków.

Była tam jakaś polska niewiasta, której aparat mowny nie milknął ani na chwilę, a w drugim kącie kilku „szwabów”, którzy jednostajnym i przyciszonym głosem opowiadali sobie jakieś zapewnię nudne historie.

Boże mój, melodia ta

Jak wiele mi przypomina ...

pomyślałem i śmiech ogarnął mnie, gdy słuchałem mężnej rodaczki, której kaczkowy głos tak ogromnie górował nad apatyczną rozmową zwycięzców spod Sedanu.

W osobnym przedziale jechał pruski piechur w granatowym mundurze z czerwonym kołnierzem i jeżeli się nie mylę, w białych spodniach. Zdjął z głowy laurami spowitą pikelhaubę, z bioder lakierowany pas i położył się na ławce jak zwyczajny śmiertelnik.

Idę dalej i trafiam na przedział pierwszej klasy. Obok drzwiczek stał elegant widocznie jak i ja cierpiący na bezsenność. Minęliśmy się, a choć żaden z nas nie obtarł się o drugiego, ów jednak — nie patrząc na mnie — szepnął:

— P a h d o n!...

Był to człowiek młody, sztywny w karku, średniego wzrostu i, choć w cywilnym stroju, z podniesionymi w górę ramionami. Miał twarz pełną i różową, żółte wąsiki również podniesione do góry i bladoniebieskie, a raczej stalowe oczy, które patrzyły nie wiadomo gdzie.

Zniecierpliwiła go widać moja obecność w kurytarzu, gdyż cofnął się do przedziału i siedząc sztywno na amarantowej kanapie, patrzył przed siebie.

Myślę, że gdyby wykoleił się pociąg i śmierć usiadła obok niego, on i jej powiedziałby: pahdon!... — i, zawsze sztywny, odsunąłby się nie zaszczyciwszy jej spojrzeniem. Gdy bowiem śmierć na placu bitwy posiada rangę feldmarszałka, wszelka inna śmierć, a osobliwie na kolei, nie jest nawet podporucznikiem.

I tego pana poznałem od razu: był to tak zwany „pruski junkier”, istota stworzona na oficera albo landrata. Ten nie nosił złotych pierścieni na delikatnej ręce, nie robił nadzwyczajnych min. Ale z każdego cała jego istoty wyglądała spokojna pogarda dla ludzkiego rodzaju i spokojna wiara we własną nadludzkość.

Ludzie ci stanowią w Prusach nieomal kastę, a w dodatku panującą. Siły ich podobno nie stanowi nauka albo jakieś osobliwe przymioty, ale to, że każdy prędzej zniszczyłby cały świat i sam zginął, aniżeli uwierzył, że nie jest istotą wybraną, która powinna rozkazywać, a inni słuchać.

Podobno książe Bismarck był najdoskonalszym okazem junkra. Toteż deptał wszystkich: Danię, Austrię, Francję, własny parlament. Aż znalazł się ktoś równie odważny a silniejszy, który „żelaznemu księciu” powiedział: pahdon!...

Z TORUNIA DO BERLINA

[część druga]

Jest już po drugiej w nocy. Nic nie wiem, gdzie znajdujemy się ani którądy jedziemy. Moi towarzysze śpią jak młode małżeństwo w miodowym miesiącu, a ja spaceruję po kurytarzu, liczę minuty do wschodu słońca i już wiem, że nie zmruję oka. Po prostu męczy mnie ciekawość, ażeby nareszcie zobaczyć ów kraj, w którym celnicy (jak na obstalunek!) odegrywają melodramat cnoty, gdzie piwowarzy mogliby Bismarckowi udzielać lekcji wspaniałych mm i gdzie żyją ludzie przekonani, że na ten świat przyszli zupełnie innym sposobem aniżeli reszta śmiertelników.

O jednej rzeczy wiedziałem z góry: że Niemcy są państwem dużym, ludnym i zamożnym. Zajmują one bez kolonii 545 tysięcy wiorst kwadratowych powierzchni i mają około 52 milionów ludności. Terytorialnie są przeszło 4 razy większe od Królestwa Polskiego, a ludnościowo blisko 6 razy.

Po Rosji, której europejskie posiadłości są 10 razy rozleglejsze od Niemiec (5 i pół miliona wiorst kw.), a ludność dwa razy liczniejsza (100 milionów), Niemcy są najpotężniejszym państwem w Europie. Austria ma wprawdzie o 100 tysięcy wiorst kw. rozleglejsze terytorium, ale tylko 44 miliony ludności; Francja ma o 8 tysięcy wiorst kw. mniej ziemi, lecz zaledwie 38 milionów ludności.

Prócz tego między Niemcami i Francją dokonywa się jakiś tragiczny wyścig. Przed rokiem 1870 oba narody posiadały prawie równe ludności; w roku 1885 już Niemcy miały o 9 milionów, a dziś o 14 milionów więcej...

Francja od 25 lat stoi na jednej cyfrze, gdy jej szczęśliwa sąsiadka rośnie jak ciasto na drożdżach.

Cyfry: pół miliona wiorst kwadratowych albo 52 miliony ludności są to pojęcia abstrakcyjne, które — w formie obrazu — chyba lepiej utrwala się w pamięci czytelnika.

Gdyby terytorium Cesarstwa Niemieckiego miało kształt kwadratu, jego bok posiadałby około 739 wiorst długości. Gdyby zaś wzdłuż wszystkich boków kwadratu leżały szyny kolejowe, miałyby one (w okrągłej cyfrze) około 3.000 wiorst długości, a pociąg biegnący 60 wiorst na godzinę objechałby państwo niemieckie w ciągu niecałych 50 godzin.

Rosja Europejska, uważana w ten sam sposób, tworzyłaby kwadrat, którego bok miałby 2.345 wiorst długości; na objechanie zaś dokoła takiego państwa, pociąg biegnący 60 wiorst zużyłby 155 godzin.

Nareszcie, Królestwo Polskie pomieściłoby się w kwadracie, którego bok ma 356 wiorst długości i na objechanie którego dokoła szybkim pociągiem, wystarczyłoby niecałych 24 godzin.

Przechodzę do ludności.

Ulica Marszałkowska od Saskiego Ogrodu do Nowogrodzkiej przedstawia mniej więcej długość jednej wiorsty. Kwadrat mający bok takiej długości nazywa się: wiorstą kwadratową i — mniej więcej — odpowiada następującemu kawałkowi Warszawy.

Weź Aleję Jerozolimską od Marszałkowskiej do Żelaznej jako jeden bok, potem Marszałkowską od Jerozolimskiej do Ogrodu Saskiego, to będzie drugi bok. Następnie weź ulicę *Żelazną* od Jerozolimskiej do Grzybowskiej, to będzie trzeci bok, a czwartym — kawał Grzybowskiej i Królewskiej pomiędzy Żelazną i Marszałkowską.

Część Warszawy zamknięta między wymienionymi ulicami w przybliżeniu przedstawia jedną

wiorstę kwadratową. Na obejście wkoło tej przestrzeni człowiek uchodzący wiorstę w ciągu kwadransa zużyłby — godzinę czasu. (Dla pożytku tych, kogo to interesuje, dodam, że wiorsta równa się 1.500 krokom męskim niezbyt wyciągniętym, ale też i niezbyt drobnym).

Rozumiemy tedy, co jest wiorsta kwadratowa. Otóż na takiej wiorście może pomieścić się milion ludzi stojących i to nie ciasno, ale wygodnie, gdyż na każdego przypadłoby trochę więcej aniżeli 3 łokcie kwadratowe.

Teraz nie trzeba już być prorokiem ani synem proroka, ażeby rozumieć, że:

Ludność Królestwa Polskiego, ustawiona wygodnie, zapełniłaby 9 do 10 takich kwadratów.

Ludność Cesarstwa Niemieckiego zajęłaby 52 wiorsty kwadratowe.

Ludność Cesarstwa Rosyjskiego — 100 wiorst kwadratowych.

Gdyby każdą z wymienionych ludności umieścić w kwadracie, który odpowiadałby liczbie osób, wówczas:

Kwadrat obejmujący ludność Królestwa Polskiego miałby boki po 3 wiorsty, a na obejście ich wkoło (wiorstę w ciągu kwadransa) należałoby zużyć 3 godziny.

Kwadrat ludności niemieckiej miałby boki trochę większe niż po 7 wiorst. Zaś na obejście go wkoło zużyto by trochę więcej niż 7 godzin.

Nareszcie mieszkańców Cesarstwa Rosyjskiego można by zamknąć w kwadracie mającym boki długie po 10 wiorst. Dla obejścia zaś wkoło stumilionowej liczby ludzi trzeba by zużyć 10 godzin.

Ludność tedy Niemiec zebrana w jedną gromadę zajęłaby przestrzeń 52 wiorst kwadratowych. Lecz wyraz „ludność” oznacza pojęcie ogólne, które trzeba rozłożyć na rzeczy podpadające pod zmysły, rozklasyfikować.

Pierwszy wielki podział dotyczy płci i odpowiada na pytanie: ilu też jest mężczyzn, a ile kobiet w Niemczech?

Otóż, gdybyśmy zebrali oddzielnie jednych i drugie, kobiety zajęłyby 261/2 wiorst, a mężczyźni tylko 251/2 wiorst kwadratowych. Kobiet w Niemczech jest o milion więcej aniżeli mężczyzn.

Drugie pytanie dotyczy wieku, a sformułować je można tak: Ile jest dzieci i starców, a ile młodzieży i ludzi dojrzałych w Niemczech?

I na to pytanie można odpowiedzieć dosyć dokładnie za pomocą następującej tabliczki, według której na 100 Niemców przypada:

Dzieci do lat 10.....	25
Wyrastków do 15 lat.....	11
Młodzieży do 21 lat.....	11
Dojrzałych do lat 50.....	37
Starców do 70 lat.....	13
Zgrzybiałych.....	3

Przypuszczając, że połowa wyrastków i połowa starców pierwszej kategorii może pracować, otrzymamy w najogólniejszych zarysach, że na 100 Niemców około 60 pracuje na siebie i innych, a około 40 nie pracuje wcale lub bardzo mało.

Jeżeli więc, czytelniku, usłyszysz kiedy frazes, że „w obronie raz zdobytej Alzacji i Lotaryngii 52 miliony Niemców staną jak jeden mąż” — to nie bardzo bierz do serca tę pogroźkę. Wśród owej bowiem groźnej masy jest zaledwie 15 milionów mężczyzn mniej więcej zdolnych do ciężkiej pracy, którzy muszą dostarczać chleba, mięsa, drzewa, cegły, węgla, *żelaza* itd., nie tylko na potrzebę własną, ale jeszcze dla 37 milionów innych osób nie uzdolnionych do cięższego zajęcia.

I dopiero z owych 15 milionów ludzi silnych i zdrowych można przeznaczyć jakąś część do

obrony raz zdobytych lub do zdobywania nowych obszarów.

Podobne stosunki liczbowe istnieją mniej więcej w każdym narodzie.

Znamy tedy kształt ogólny terytoriów Cesarstwa Niemieckiego: przypomina on głowę i szyję nosorożca. Przypatrzmy się teraz budowie wewnętrznej tych obszarów i ich naturalnym bogactwom.

Otóż — Niemcy północne, czyli głowa owego nosorożca, tworzą równinę wznoszącą się do 100 metrów nad poziomem morza. Niemcy zaś południowe, czyli szyja, jest to kraj pofałdowany wzgórzami dosięgającymi i przekraczającymi 500 metrów wysokości, rozumie się, nad poziom morza.

Wielka własność ziemska skupia się przeważnie w okolicach czoła i górnej szczęki nosorożca (Pomorze, Prusy Wschodnie i Zachodnie); przy czym okolice nosa (między Gdańskiem i Królewcem) słyną z hodowli koni, okolice oka (Szczecin) z hodowli owiec, a okolice ucha (Hanower i Oldenburg) wychowują konie i bydło rogate.

U wejścia do paszczy nosorożca (Poznańskie) znowu zajmują się chowem koni, a na podgardlu i u podstawy szyi (Bawaria) hodują bydło.

Na policzku nosorożca (około Harzu) uprawiają buraki cukrowe. Zaś kark (prowincja Reńska, Baden) zajęty jest przez własność mniejszą, wśród której w okolicach Alzacji hodują wino.

Takimi są główne typy gospodarstwa rolnego w Niemczech.

Co się tyczy przemysłu, ten opiera się przede wszystkim 'na ogromnych kopalniach węgla, które leżą w rozmaitych okolicach państwa.

Najbogatsze pokłady tego paliwa znajdują się na tyle głowy nosorożca (basen Ruhr około Essen); najmniej bogate są na karku (basen Saary), a pośrednie — przy końcu szczęki dolnej (Śląsk) i przy jej nasadzie (Saksonia).

Niemcy więc potężne liczbą i ciągłym wzrostem swojej ludności mają jednocześnie wcale zamożne terytorium. Może (i z pewnością) bogactwa Niemiec pod względem ilości i różnorodności nie dorównują francuskiemu; za to w Niemczech, jak zobaczymy później, jest więcej pracy i ruchliwości.

Przede wszystkim niemieckie terytoria mogą być dokładniej obrabiane aniżeli francuskie dlatego, że — ludność niemiecka jest gęstsza od francuskiej.

We Francji na 1 wiorście kwadratowej mieszka 71 ludzi, podczas gdy w Niemczech siedzi ich 91. Co z tego wynika?

Przede wszystkim to, że gdy 10 Francuzów mają do obrobienia 14 hektarów (około 28 morgów ziemi), to na 10 Niemców przypada tylko 11 hektarów (około 22 morgi) ziemi. Niemcy więc mogą pracować dokładniej, mogą lepiej „pogłębiać” swoją ziemię.

Po wtóre — każda wiorsta kwadratowa Niemiec ma o 12 obrońców więcej aniżeli odpowiedni kawałek ziemi we Francji. W razie zatem, czego Boże nie dopuść, wojny między tymi narodami opór Francji przeciw niemieckiemu najazdowi musiałby być stosunkowo słabszym aniżeli opór Niemiec.

Po trzecie — w czasach najbardziej pokojowych Francuzi nie potrzebują przesiąkać do Niemiec, podczas gdy Niemcy do pewnego stopnia muszą to robić, gdyż we Francji jest luźniej, a w Niemczech ciasniej.

I rzeczywiście Niemców we Francji jest bez porównania więcej aniżeli Francuzów w Niemczech

...

Nareszcie większa gęstość ludności bardzo zbliża do siebie ludzi — i niesłychanie pomnaża ich stosunki.

Do czego zbliża? Bo gdyby owych 71 Francuzów rozstawić jednostajnie na powierzchni jednej wiorsty kwadratowej, jeden od drugiego stałby w odległości 177 kroków. Zaś Niemiec od Niemca w

tych samych warunkach stałby w odległości tylko 160 kroków. Dwaj zatem Niemcy mogą prędzej zejść się i łatwiej dać sobie pomoc aniżeli dwaj Francuzi.

Czytelnik wzrusza ramionami i woła:

— Cóż to znowu za doktryneria!... I co w życiu narodów może znaczyć większa odległość o 17 kroków pomiędzy dwoma ludźmi?...

Zobaczymy, że znaczy.

Przypuśćmy, że jeden Francuz 10 razy w ciągu dnia przechodzi o 17 kroków więcej aniżeli Niemiec, i przypuśćmy, że skutkiem tego traci minutę czasu na dzień.

Strata w ciągu roku wyniesie 6 godzin na każdą jednostkę, a na 23 miliony Francuzów obojey płci w wieku produkcyjnym wyniesie 111/2 milionów dni roboczych, czyli co najmniej 23 miliony franków ...

Jest to cyfra tylko na pozór fantastyczna, która jeżeli nie dowodzi, to przynajmniej ilustruje prawdę, że:

„gęstsze społeczeństwa tracą mniej czasu, sił i pieniędzy aniżeli rzadsze.”

A dlaczego — im społeczeństwo jest gęstsze, tym stosunki wśród niego są liczniejsze? ...

Weźmy dwu ludzi: Piotra i Pawła. Związek między nimi może być tylko jeden, tj., że Piotr z Pawłem — zetkną się w jakimśkolwiek interesie.

Ale weźmy trzech ludzi: Piotra, Pawła i Gawła. Ile między nimi może być zetknięć?

Między Piotrem i Pawłem

Między Piotrem i Gawłem

Między Pawłem i Gawłem

Piotrem i Pawłem a Gawłem

Piotrem i Gawłem a Pawłem

Pawłem i Gawłem a Piotrem

Nareszcie: Piotr, Paweł i Gaweł mogą mieć wszyscy trzej jakiś wspólny interes.

Wynika stąd, że gdy między dwoma osobami istnieje tylko jeden stosunek, to między trzema istnieć może 7 stosunków, między czterema osobami 15 stosunków itd.

Biorąc zamiast jednostek grupy złożone z 10 osób będziemy mieli na wiorście kwadratowej u Francuzów 7 grup, a u Niemców 9. Że zaś z 7 przedmiotów czy grup może być 127, a z 9 grup 511 kombinacji, więc stosunki życiowe między Niemcami mogą i powinny być 4 razy liczniejsze aniżeli między Francuzami.

Dziwactwem byłaby ślepa wiara w te cyfry. W ogólnych jednak zarysach uczą one, że:

„im naród jest gęstszy, tym stosunki między jego członkami są liczniejsze, a zjawiska życia społecznego pełniejsze i bogatsze”.

Ponieważ wzrost ludności w Niemczech dokonywa się daleko prędzej aniżeli rozwój cywilizacji, skutki więc wynikające z gęstości tego narodu mogą jeszcze nie objawiać się z należytą potęgą. Prędzej jednak czy później wystąpić muszą i Francja przekona się, że sąsiedzi mocno wyprzedzili ją w cywilizacji.

Już dziś istnieją groźne objawy i niestety! z każdym rokiem mnożyć się będą, dopóki ludność francuska nie zacznie wzrastać w takim stosunku jak niemiecka.

Złe bowiem nie tylko leży w tym, że gęstość Francuzów jest mniejszą aniżeli Niemców, ale i w tym, że owa gęstość przez cały szereg lat pozostaje bez zmiany. Gdy Niemcy rosną i co roku zyskują nowe rozgałęzienia, Francja nie zmienia się jak stare, drzewo albo jak dojrzały człowiek, który już przestał rosnać.

Takie mniej więcej myśli snuły mi się po głowie. Tymczasem zegarek pokazuje trzecią z rana, a

nasz pociąg już wjechał w granice Brandenburgii. Na dworze pochmurno, deszcz pada.

W przedziale II klasy moi towarzysze śpią; w I klasie sterczy bezsenny „junkier” ze sztywnym karkiem i podniesionymi w górę ramionami; nareszcie, w III jadący Niemcy rozmawiają tym samym głosem równym, spokojnym i nudnym.

Mnie coraz silniej nurtuje ciekawość zobaczenia nowego kraju i przypominają mi się dziecinne lata, kiedy pierwszy raz będąc w teatrze, z gorączką czekałem na podniesienie kurtyny.

Robi się szaro. Przytulam twarz do okna i za zmoczonymi szybami widzę — niby ogromną łąkę, a na niej dużą wodę. Ale czy to jezioro, czy rzeka? jeszcze nie mogę poznać.

Poranne światło wzmacnia się. Pociąg nasz pędzi ku zachodowi przez równinę, na której od północy wznosi się długie i nieprzerwane pasmo wzgórz na kilka pięter wysokich, od południa zaś widać rzekę, która to zbliża się, to oddala od kolei.

Zaczynam odróżniać łąki od pól, widzę domy, jakich u nas nie budują, sznury drzew, oczywiście sadzonych ludzką ręką, żywopłoty....

Około 4 rano stajemy w jakimś mieście, z którego utkwiło mi w pamięci kilka gmachów, zapewne fabryk wybudowanych z cegły czerwonej i żółtej. Na lewo, w dole, widać rzekę szeroką na pół Wisły, ale zasypaną taką ciżbą tratw, czółen i berlinek, jakiej u nas nigdy chyba nie bywa. Na zielonym brzegu leżą ogromne stopy żółtych tarcic.

Miasto jeszcze śpi, ale około naszego pociągu czuć ruch ludzi, słyhać ożywione rozmowy, szcęk naczyń... Wychylam się i widzę, że ze stacyjnej restauracji wysłano gorącą kawę czarną, którą z wielkim apetytem piją podróżni przeważnie z III klasy.

I i II klasiści nie pili trunku; oczywiście wiedzieli, co o nim trzymać. Ale ja skosztowałem owej kawy, która pomimo lekkości orzeźwiła mnie.

Czując, że mi raźniej na świecie, zwracam się do stojącego obok staruszka z zapytaniem: jak się nazywa miasto, w którym jesteście?

Był to starowina mały, suchy, w ciemnoszarym paltocie. Miał twarz wygoloną, pęk siwych włosów na podbródku, ręce założone w tył. Na moje pytanie nie zaraz odezwał się, lecz zwrócony do mnie bokiem przez kilka chwil rozmyślał. Potem odpowiedział prędko i nagle:

— Landsberg ... — wciąż stojąc do mnie bokiem z rękoma założonymi w tył.

Opryskliwy staruszek tak mi się przecież podobał, że byłbym go uściskał. W ogóle od kilku godzin zaczynają mi się podobać Prusacy za to, że każdy jest taki wyraźny junkier — to junkier, piwowar — to piwowar ...

Chociaż popełniłbym istotnie komiczną pomyłkę, gdyby i ów piwowar, i sztywny junkier, i mały staruszek, a nawet żołnierz i konduktor, gdyby wszyscy ci, których uważam za „typowych Prusaków” byli najzwyczajniejszymi Polakami.

Śp. hrabia Emil Olizar często mawiał, że polski szlachcic przede wszystkim chce pokazać się tym, czym nie jest. A kto zaręczy, że i polskie mieszczaństwo nie uległo tej chorobie?

Jeżeli miasto, pod którym stoimy, jest Landsbergiem, w takim razie ta pełna statków rzeka jest Wartą. Z jak daleka przy płynęła ona tutaj, nieboga! Od Częstochowy przez Sieradz i Konin do Pызdrów, a stamtąd przez Poznań do Landsberga, ażeby niedaleko stąd utopić się w Odrze.

O znaczeniu tej rzeki dla pruskiego handlu świadczą następujące cyfry:

W r. 1892 Wartą pod Kustrinem przepłynęło w górę i w dół rzeki około 2600 statków naładowanych, a 1300 pustych; wszystkie zaś razem przewiozły 18 milionów pudów towaru. Prócz tego, w dół rzeki przejechało 16 i pół miliona pudów drzewa w tratwach.

Co się tyczy Landsberga, ma on 25 tysięcy ludności, browar, garbarnię, młyn, fabrykę tytoniu, mydła i świec, kotłów parowych, nareszcie — targ na wełnę i zboże.

Z TORUNIA DO BERLINA

[część trzecia]

Po krótkim postoju wyruszamy. Z tego miejsca do Berlina jest około 120 wiorst i dwie godziny jazdy. Pomimo chmur na niebie zaczyna być widno na ziemi; ludzie jeszcze śpią, ale w niektórych domach już płoną ogniska kuchenne.

Nie potrzeba zbyt silnego wyteżenia uwagi, aby poznać, że kraj, który przejeżdżamy w tej chwili, jest bardzo niepodobny do naszych okolic.

Pomimo że u nas na jednym kilometrze kwadratowym mieszka 71 osób, a w Brandenburgii tylko 64, jednakże bez porównania więcej widzi się tu domów mieszkalnych aniżeli u nas. U nas kilkanaście minut można jechać pustym polem, na którym tylko zagony świadczą, że gdzieś w pobliżu znajdują się ludzkie siedziby. W Brandenburgii zaś co minutę, co kilka minut najwyżej, pociąg nasz przelatuje około jakiejś grupy domów.

Przyczynia się do tego niewątpliwie większa prędkość pociągów pruskich, które w tym samym czasie przebiegają dwa razy większą przestrzeń aniżeli nasze. Muszę jednak dodać, że po większej części patrzyłem tylko w jedną stronę i na południe wagonu. I miałem to wrażenie, że gdybym mógł jednocześnie wyglądać na obie strony, w prawo i w lewo, wówczas widziałbym budynki ciągnące się obok kolei prawie nieprzerwanym łańcuchem.

Może to jednak być złudzenie.

Wiejskie budowle tutejsze różne są od naszych. Można tu widzieć ogromne murowane wiatraki, fabryki, kościołki z czerwonej cegły z wysoką wieżyczką podobną do ostro zatemperowanego ołówka, czasem — nawet kamienice wśród pola, co wywołuje komiczny efekt.

Folwarczek chłopski składa się tutaj z domu mieszkalnego i paru lub kilku budynków takich, jak: obora, stodoła, stajnia i chlew. Wszystko to ustawione dokoła niedużego dziedzińczyka i otoczone drzewami. Parę razy dostrzegłem w przelocie tak gęste i liczne krzaki bzu tureckiego, że wyglądały jak obłoki fiołkowej barwy, które zeszyły na ziemię.

Zdawało się, że nasz wagon napęlnia się zapachem tych kwiatów.

U nas chata jest parterowa, drewniana, pod słomianym dachem. Tutaj domy są murowane lub półmurowane, z pięterkami, z dużymi oknami, dachem z dachówek albo tektury smołowcowej.

Na jednym dachu ciemnej barwy widziałem rok 1893 ułożony z szafirowych tafelek.

Dachy słomiane są tutaj tak rzadkie, że doznałem wzruszenia, gdy mi parę razy mignął taki przed oczami. Częściej widywałem stogi siana takie jak u nas i studnie z żurawiami jak nasze.

Za to wóz z sianem wyglądał trochę inaczej: był większy, aniżeli u nas i... przykryty płótnem bodajże nieprzemakalnym.

Jeżeli dom nie jest otynkowany, wówczas widać, że jego ściana składa się z grubej drewnianej kraty, w której miejsca puste wypełnia mur z cegły.

Nazywa się to „stylem przegrodowym” i jest niby przejściem od budowli czysto drewnianych do czysto murowanych. W stylu „przegrodowym” człowiek jeszcze nie dowierza cegle i wapnu, nie ma odwagi budować z nich ścian, lecz kawałki muru oprawia i ściska drewnianymi ramami.

Nawet krajobraz brandenburski jest różny od naszego. Czasami przedstawia on równinę tak gładką jak u nas pod Iwangrodem, w kilka zaś minut później zamienia się na grupę wzgórz i dolin przypominających najbardziej faliste okolice lubelskie i radomskie. Niekiedy zdaje się, że nawet

horyzont z powodu braku lasów na jego granicach jest większy aniżeli u nas. Wtedy żałujesz lasu, lecz zanim zdążysz westchnąć, pociąg wpada w las, ażeby po upływie kilku minut zostawić go za sobą.

Najciekawiej jednak w porównaniu z naszymi wyglądają tutejsze pola.

U nas jadąc koleją można widzieć kilka i kilkunastomorgowe płaty ziemi dzikiej, porośniętej takimi ziołami, którymi gardzi nawet nasze ubogie bydło. Tu wcale nie widziałem podobnych wygonów, ugorów, nieużytków, lecz pola dobrze porośnięte jęczmieniem i żytem albo — łąki, oczywiście uprawiane, poprzerzynane rowami itd.

Nasze pola leżące jedne obok drugich zlewają się z sobą i tworzą wielką jednostajną przestrzeń, na której gdzieniegdzie stoi zadumana dzika grusza. Tu przeciwnie, każde pole ma swoją indywidualność: jest bowiem oddzielone od innych sznurami drzew, jest ogrodzone.

To stanowi charakterystykę tutejszych równin, że pomimo braku lasu znajduje się mnóstwo drzew. Stoją one gęsto wzdłuż gościńców, rowów, miedz... skutkiem czego równina brandenburska wygląda jak szachownica, nie jest pusta, lecz niby zaludniona.

Czy taki krajobraz złożony z linii równoległych, z kwadratów i prostokątów wysadzonych drzewami jest ładny? nie umiałbym powiedzieć. W każdym razie jest bardzo oryginalny i wielkim głosem woła na podróżnego: „Tu jest kraj pracy drobiazgowej, ciężkiej i uporządkowanej. Tu wszystko jest uporządkowane: nie tylko ludzie, ale drzewa, trawy, wody i bodajże nawet powietrze.”

Patrząc na te domy otoczone małymi, ale starannie utrzymanymi ogródkami, i na te sznury drzew w polach, długie chyba na dziesiątki wiorst, myślałem: „Oto naród, który kocha swoją ziemię, gdyż ją przyozdabia.”

Kto wie zresztą, czy drzewa stojące dokoła pól nie wchłaniają podczas lata elektryczności atmosferycznej i nie zabezpieczają urodzajów od gradobicia?

Tam, gdzie pole nie jest otoczone drzewami, są druciane płoty i żywopłoty, ciągnące się po parę wiorst. Ale co znowu jest ciekawym: oto, że w płocie co kilkaset kroków znajduje się pomalowany na biało kołowrót.

Płot zabezpiecza plony od najazdu, bydła, a kołowrót pozwala wejść tam człowiekowi. Dzięki tym urządzeniom pole przestaje być gołą ziemią, a staje się niby budowlą.

Drogi polne wyglądają niezłe, a mostki na nich są przyzwoite, chociaż w pewnym miejscu widziałem mostek bardzo zły: bez poręczy i z powyłamywanymi deskami.

Ciekawym jest podział ziemi w Niemczech. Otóż ze 100 hektarów przypada tam:

na łąki	20
pola uprawne.....	50
lasy.....	26
nieużytki	4

U nas w roku 1865 na 100 hektarów ziemi było:

łą.....	9
pól	50
lasu.....	25
nieużytków.....	15

Dzisiaj zaś, według A. Suligowskiego, mamy podobno na każde 100 hektarów:

łąk i pól.....	73
lasów.....	22
nieużytków.....	5

W ciągu zatem 30 lat ilość nieużytków zmniejszyła się u nas i jest prawie tak mała jak w

Niemczech. Za to mniej mamy lasów aniżeli Niemcy, a i stosunek łąk do ziemi uprawnej jest u nas bardzo niekorzystny. Gdy bowiem w Niemczech obszar łąk stanowi prawie połowę gruntów ornych, u nas łąki są ledwie piątą częścią ziemi uprawnej.

Brak łąk prowadzi do braku nawozu, a brak nawozu do lichych urodzajów. Rezultaty zaś są następujące:

Porównajmy produkcję rolną Prus z taką produkcją najżyźniejszych naszych powiatów (hrubieszowski, kutnowski) a otrzymamy, że z jednego hektara gruntów zbiera się:

w Prusach u nas

Żyta 1090 — 950 kilogramów ziarna

Pszenicy 1530 — 1300

Owsa 1090 — 842

Kartofli 8460 — 8531

Siana 2010 — 2214

Brandenburgia, którą od świtu przebiega nasz pociąg, jest kolebką dzisiejszego Niemieckiego Cesarstwa.

W XV wieku dynastia Hohenzollernów władała tylko tą posiadłością mającą około 800 mil kwadratowych powierzchni i milion mieszkańców. A dzisiaj książęta tego domu rozkazują państwu, które posiada 12 razy więcej ziemi i 50 razy więcej ludności.

Ale i sama Brandenburgia zmieniła się w ciągu kilku wieków i obecnie liczy przeszło 4 miliony ludności. Ma to być kraj na ogół biorąc piaszczysty i mało urodzajny; posiada jednakże okolice żyzne i piękne, szczególnie nad wodami: Szprewą, Hawelą i Odrą.

Z produktów rolnych udają się w tej prowincji kartofle, buraki, tytuń, ogórki, chrzan. Słynną ma być także hodowla owiec. Za to przemysł stoi wysoko i wyrabia sukna, materie wełniane, przedmioty żelazne, mosiężne i stalowe, wreszcie tak zwane towary krótkie, skórzane, porcelanę, szkło, cegłę i masę kamienną.

Pominąwszy Berlin, w Brandenburgii, znajduje się: 8 miast liczących od 20 do 55 tysięcy ludności, 12 mających 10 do 20 tysięcy mieszkańców i ze 36 miasteczek z ludnością niżej 10 tysięcy. W każdym zaś istnieje po kilka i kilkanaście fabryk wyrabiających najrozmaitsze przedmioty, począwszy od nici kończąc na płótnach i suknach, od złotej biżuterii do wodnych statków i kotłów parowych.

Bardzo często można słyszeć klątwy na życie miejskie i pochwały wsi.

W mieście, mówimy, jest ciasno; na wsi luźno; w mieście nie tylko brakuje powietrza, ale jeszcze unosi się mnóstwo zarazków; na wsi człowiek jest bliższym natury i jej kojących wpływów. W mieście nędza występuje daleko ostrzej aniżeli na wsi, gdzie przynajmniej nie umiera się z głodu. Miasto w końcu jest siedliskiem rozpusty i nadużyć, nie znanych wsiom itd.

Wszystko to prawda, niemniej jednak wsie i miasta są podstawowymi organami życia społecznego i wzajemnie uzupełniają się. Wieś dostarcza zboża, jarzyn, owoców i mięsa, z których miasto wyrabia konserwy. Wieś daje drzewo, kamień i metale, z których miasto robi sprzęty, narzędzia, buduje gmachy, rzeźbi posągi. Wieś dostarcza ludzi silnych i zdrowych, ale surowych, których dopiero miasto przerabia na wytwornych rzemieślników albo artystów i uczonych.

Krótko mówiąc, jeżeli społeczeństwo jest organizmem, to w nim wieś pełni funkcję organów wydobywających z natury materiały surowe, miasto zaś jest tym organem, który owe materiały przerabia, utrwała i uszlachetnia.

Wieś jest jakby ustami narodu, miasto jego żołądkiem i ogniskiem życia duchowego. Otóż łatwo pojąć, że im więcej jest w pewnym społeczeństwie organów „przerabiających” i ognisk duchowych,

tym bogactwa krajowe przynoszą więcej korzyści, są lepiej użytkowywane, a cywilizacja jaśniejszym błyszczy światłem.

My na przykład mamy drzewo, len, wełnę, lecz zamiast przerabiać na miejscu, wysyłamy je za granicę i dopiero stamtąd otrzymujemy piękniejsze sprzęty, lepsze gatunki sukien i płócien, co naraża nas na wielkie straty. Niemcy tych strat nie ponoszą, gdyż posiadają dostateczną liczbę organów przerabiających, czyli — miast.

Na ogół biorąc w Cesarstwie Niemieckim znajduje się 376 miast liczących więcej niż 10 tysięcy mieszkańców. O miasteczkach nie wspomina wykaz, jaki mamy pod ręką.

Z tej cyfry wynika, że jedno miasto w Niemczech przypada na 133 tysiące ludności i 1.450 kilometrów kwadratowych powierzchni. Wieśniak ma — najwyżej — 3 mile do miasta, gdzie są fabryki, sklepy i szkoła, gdzie może sprzedać swoje produkty, kupić, co mu potrzeba, kształcić nieco lepiej swoje potomstwo itd.

W Królestwie Polskim liczy się 125 miast, jedno więc przypada na 80 tysięcy mieszkańców i 1.000 kilometrów kwadratowych powierzchni. Stosunek niby to korzystniejszy aniżeli w Niemczech. Na nieszczęście, w miastach naszych przemysł i oświata nie stoją zbyt wysoko ani zbyt korzystnie oddziałują na życie społeczeństwa.

Ciekawym jest podział ludności według miejsca zamieszkania i zajęć.

Kiedy u nas (w r. 1866) ze 100 mieszkańców tylko 25 żyło w miastach, a 75 na wsiach i stosunek ten do dziś dnia niewiele się zmienił, w Niemczech na wsi mieszka zaledwie 47 — 50%, a 50 do 53% w mieście.

Z tego zapewne powodu, że posiadamy ogromną liczbę wieśniaków a niewielu mieszczan, panowała u nas moda nazywania się z wielką dumą „narodem rolniczym”.

Jest to fałsz i przesąd, w porównaniu bowiem z Niemcami nie mamy prawa nazywać się „narodem rolniczym”.

Rolnikiem jest ten, kto wydobywa z ziemi najwięcej zboża i drzewa, z krów najwięcej mleka, z owiec — wełny, z wołów mięsa, z koni najwięcej pracy. I Niemcy rzeczywiście wydobywają z gospodarstw wiejskich co tylko można, ale nie my.

My jesteśmy po prostu narodem półbarbarzyńskim, który przeważnie mieszka na wsiach nie dlatego, że miłuje swoją ziemię i kocha naturę, ale dlatego, że jeszcze nie wyrobił w sobie zdolności do prac mieszczańskich wymagających większej siły, zręczności i inteligencji aniżeli nędzna uprawa roli.

Wracając do Niemców, ze względu na rodzaje pracy podzielić ich można na następujące grupy:

Rolnicy, hodowcy bydła, ogrodnicy, leśnicy i rybacy 41,6%

Górnicy i hutnicy 5,1% 46,7%

Wyrabianie jada, odzieży, utrzymywanie gospod 10,0%

Przemysł budowlany 6,2%

Przemysł papierowy i drzewny 3,8%

Tkactwo 4,0%

Przemysł chemiczny 0,6%

Przemysł żelazny i metalowy 4,4%

Handel i ubezpieczenia 5,8%

Komunikacje lądowe i wodne 3,2% 11%

Usługi domowe 2,0%

Urzednicy, duchowni, nauczyciele 4,6%

Artyści, adwokaci, inżynierowie, lekarze 0,9% 7,1%

Kapitaliści, emeryci 1,6%

Wojsko, żandarmi, policja 1,2%

Osoby bez określonego zajęcia 5,0%

Tabliczka ta niesłychanie ważna, przedstawia bowiem obraz, jakby budowę anatomiczną społeczeństwa nie tylko potężnego, ale bardzo zdrowego, które ciągle się rozwija.

Ludy mniej dojrzałe znajdują tu nakreśloną drogę, po której muszą wstępować na wyższy stopień cywilizacji. Rodzice zaś mają tu cenne wskazówki co do wybierania zawodu dla potomków.

Wskazówki te, niestety, po największej części są wprost przeciwne kursującym u nas poglądom.

Ileż to razy np. korespondenci prowincjonalni narzekają na brak rąk do robót wiejskich, a każdy wypadek wyniesienia się chłopca do miasta przejmuje ich strachem? Tymczasem u nas jest o 50 proc. za dużo ludzi na wsi i właśnie należałoby wytworzyć ruch, który wiejską ludność kierowałby do miejskich zajęć, do rzemiosł i handlu.

Po wtóre — Żydzi, którzy tworzą u nas 13 — 14 proc. ludności, przede wszystkim zajmują się handlem. Tymczasem w tak zdrowym społeczeństwie jak niemieckie zaledwie 5 — 6 proc. należy do klasy handlowej. To zasklepienie się w jednej gałęzi pracy wytwarza w niej nadmiar pracowników i skazuje Żydów na zgubną jednostronność zajęcia, naszej zaś ludności nie pozwala rozwinąć handlowych uzdolnień.

Rasa żydowska, wyłącznie zajęta handlem, potwornieje, ludność chrześcijańska nie umiejąca handlować jest jakby okaleczała.

Po trzecie — klasy inteligentne w Niemczech stanowią ledwie 7 proc. ludności, zaś pozostałe 93 proc. zajmują się rolnictwem, przemysłem, handlem. Więcej zatem szans powodzenia w życiu będzie miał młodzieniec kształcący się w kierunku „praktycznym” aniżeli taki, który chce zostać lekarzem, inżynierem, artystą itp.

Nie znaczy to jednak, że społeczeństwo powinno wyrzec się np. studiów uniwersyteckich. Ludzie bowiem, którzy kończą wyższe zakłady naukowe (uniwersytety, politechniki, akademie sztuk pięknych), tworzą w Niemczech 7 proc, co w naszych stosunkach odpowiada 700 tys. jednostek.

Mamy zatem dosyć miejsca dla pracowników praktycznych i teoretycznych, i to jest pożądane, ażeby: uboga młodzież zwracała się do przemysłu i handlu, a zamożni do uniwersytetów. Rozumie się, nie dla zabijania tam czasu, ale — zdobycia wyższej wiedzy.

Poznaliśmy dwa wielkie organy społeczeństwa niemieckiego: wsie, które są jakby ustami czerpiącymi z natury potrzebne materiały i — miasta, które niby żołądki przerabiają zdobyte materiały. W miastach obok tego mieszczą się, niby system nerwowy, inteligentne klasy narodu, które kierują jego pracami i uszlachetniają, uduchowniają wyroby.

Z kolei musimy poznać trzeci wielki organ społeczny: środki komunikacyjne.

Jedne z nich jak drogi żelazne służą do przenoszenia ludzi i towarów: są to niby żyły i arterie w ciele ludzkim. Inne jak druty telegraficzne przenoszą tylko myśli ludzkie, a raczej drgania i te są jakby nitkami nerwowymi.

Mechanizm ruchu komunikacyjnego jest bardzo prosty. Z pewnej na przykład wsi w ciągu całego roku wywozi się do miast kilkaset korcy zboża, kilkadziesiąt sztuk bydła, drzewo, wełnę, owoce, wreszcie kilkoro dzieci do szkoły średniej.

W ciągu tego samego roku przybywa z miasta do wsi: kilkanaście sprzętów, ubrań, beczki piwa, pługi i brony, lekarstwa a nadto: nauczyciel elementarny, pomocnik aptekarski, cieśla itp.

Tym sposobem między wsiami i miastami utrzymuje się nieustanne krążenie ludzi i przedmiotów: ze wsi wyjeżdżają do miast materiały surowe, z miast wracają do wsi przedmioty i ludzie już wyrobieni.

Trzeba jeszcze dodać, że miasta mniejsze wysyłają wyroby prostsze, miasta wielkie — produkta bardziej skomplikowane.

Pług, siekiera, kosa, nauczyciel domowy przychodzi na wieś i z powiatowej mieściny; ale piękny obraz, luneta, koncertant przybywają ze stolicy.

Łatwo pojąć, że im liczniejszymi są środki komunikacyjne, tym ruch ludzi i towarów dokonywa się częściej, a życie społeczne zamiast wlec się jak smoła po piasku kipi niby gorąca woda w kotle.

Otóż w Niemczech tak potężnych środków komunikacyjnych jak szosy, a nade wszystko — koleje żelazne, jest bardzo wiele. Z dużych państw europejskich tylko Wielka Brytania ma Więcej kolei aniżeli Niemcy; zaś Francja ma ich mniej. Długość dróg żelaznych w Niemczech wynosi przeszło 44 tysiące, a we Francji niecałe 39 tysięcy kilometrów. W Niemczech na 100 kilometrów kwadr. powierzchni kraju przypada 8 kilometrów kolei, a we Francji tylko 7.

Z czego wynika, że Francuz mieszkający na wsi ma przecięciowo 7 wiorst do kolei, gdy Niemiec ma tylko 6 wiorst. Z czego znowu wypływa ostateczny rezultat, że Francuz, ażeby dostać się do linii kolejowej, zużywa 10 do 15 minut więcej czasu aniżeli Niemiec.

Jest to poważna strata i ciężko może zaważyć w wypadku wojny!

Linie telegraficzne odgrywają rolę nerwów i rozumie się, że im więcej jest tych linii, tym łatwiej porozumiewać się ze sobą mogą ludzie z rozmaitych okolic. Otóż Niemcy mają 117 tysięcy kilometrów linii telegraficznych, Francja 96 tysięcy; w Niemczech na 100 kilometrów kwadr. przypada 21 kilometrów telegrafu, we Francji na taką samą powierzchnię tylko 18 kilometrów telegrafu.

„Wrażliwość” zatem albo „czucie” społeczeństwa niemieckiego jest cokolwiek większe aniżeli francuskiego.

I „ruchliwość” Niemców, choć nazywamy ich narodem „ociężałym”, jest bardzo znaczna. Dowodzi tego statystyka kolejowa za pomocą dwu rubryk. Jedna wskazuje, jak często mieszkaniec pewnego kraju jeździ koleją żelazną, druga — ile kilometrów przejeżdża w ciągu roku?

Pod tymi względami istnieją kolosalne różnice między narodami. Podczas gdy Włoch jeździ koleją raz lub dwa razy na rok, Anglik jeździ 20 razy, Amerykanin 23 razy. Gdy Austriak odbywa 3 lub 4 podróże rocznie, a Węgier tylko 2, Szwajcar korzysta z kolei 13 razy, a Belgijczyk 14 razy na rok.

Otóż według tej tablicy Niemiec 9 do 10 razy rocznie jeździ koleją, a Francuz ośm razy, choć zdawałoby się, że powinno być przeciwnie.

Co do ilości kilometrów przejechanych średnio przez każdego mieszkańca w ciągu roku, dowiadujemy się, że przeciętny Włoch przejeżdża rocznie 74 kilometry, a Belgijczyk 300, Niemiec 237 km, a Francuz 244.

W rezultacie — Francuz przejeżdża rocznie o 7 wiorst więcej aniżeli Niemiec; ale za to Niemiec odbywa o jedną lub dwie podróże więcej na rok aniżeli Francuz.

A my? ... Nie posiadam cyfr pod ręką, zdaje mi się jednak, iż nie bardzo omyłę się przypuszczając, że — przeciętny mieszkaniec Królestwa odbywa jedną podróż kolejową na rok lub na dwa lata i że przejeżdża Około pięćdziesięciu wiorst.

Z tych cyfr niech czytelnik wyprowadzi wniosek o naszej nieruchomości, w porównaniu z ruchliwością Europy zachodniej.

Godzina pół do piątej rano; jesteśmy w Kustriniu, Kostrzyniu, fortecy zbudowanej przy ujściu Warty do Odry. Z okien wagonu widać dużą wodę, dwa żelazne mosty i bastion, a przy nim pruskiego sztyldwacha.

Z górą przed 150 laty w tutejszym zamku odsiadywał więzienie Fryderyk Wielki, jeszcze jako

następca tronu. Dostał się do kozy za zamiar ucieczki od swego ojca, założyciela przyszłej potęgi Prus, o którego złości i skąpstwie pisała rodzona córka:

„Zupełnie nie mam brzucha, gdyż brat i ja pijamy tylko białą kawę i jadamy suszone wiśnie. Widać dla kompensaty karmią nas krzywdą i obelgami”.

Fryderyk Wilhelm I głodząc i tyranizując własne dzieci, na jedną rzecz nie skąpił pieniędzy — na żołnierzy. Kupował ich po 2.400, po 12 tysięcy franków, a nawet za pewnego Irlandczyka mającego 7 stóp wzrostu zapłacił przeszło 30 tysięcy franków.

Fryderyk Wilhelm I tak kochał ludzi ogromnych, że nawet próbował wytworzyć ich rasę. I w tym celu żenił swoich grenadierów z najwyższymi i najsilniejszymi dziewczętami.

Pomimo takich dziwactw, umierając zostawił Fryderykowi II 37 milionów franków i 76 tysięcy żołnierzy. Miał więc czym obetrzeć łzy dawniejszy więzień z Kostrzyna.

Dzisiaj Kostrzyn posiada ze 17 tysięcy mieszkańców, fabryki maszyn, cygar, słoju, krochmalu. Jest tu także młyn parowy, browar, fabryki wyrobów miedzianych i mosiężnych.

I okolica za Kostrzyniem wcale nie przypomina mazowieckich piasków. Co chwilę wymijamy pagórki, zakłęśnięte doliny, pola wysadzone drzewami i obwiedzione żywopłotem, lasy, jeziora.

Nagle wjeżdżamy na rozległą, pełną zieloności równinę, a w parę minut znajdujemy się na szczycie pagórka, skąd znowu widać: dolinki, jeziora, lasy, a tu i owdzie eleganckie pałacyki...

Z obu stron linii kolejowej ciągną się dwa nieskończone szeregi słupów telegraficznych. Zdaje mi się, że na prawo słupy są jak u nas podobne do litery I wielkiego, a na lewo stoją jakieś rusztowańka podobne do litery A. Może myślę się co do kształtu słupów, ale jestem pewny, że na każdym opiera się mnóstwo drutów.

Wśród drogi często spotykamy długie pociągi towarowe, które od Berlina toczą się ku wschodowi. Wiele zresztą innych znaków na niebie i ziemi zapowiada, że zbliżamy się do stolicy. Szybko mijają nas pola i ogrody; natura zaczyna ustępować na drugi plan wobec dzieł ludzkich. Nie zwracam już uwagi na drzewa, ale na fabryki ukazujące się coraz częściej; nie patrzę na krzaki bzu, ale na murowane wille, niekiedy bardzo ładne.

Budowle ukazujące się dotychczas pojedynczo coraz bardziej zbliżają się do siebie, zaczynają tracić charakter indywidualny i zamieniają się na nieprzerwany szereg domów tworząc ulicę.

— Chyba to już Berlin? — zapytuje sędziego.

— Jeszcze nie.

Czymże są tedy Niemcy, których pomimo tak bliskiego sąsiedztwa wcale nie znamy? Czym są w porównaniu na przykład z Francją, którą według naszych opinii znamy do gruntu?

Terytoria obu narodów są prawie równe, ale ludność bardzo nierówna. Gdybyśmy chcieli przedstawić je w formie posągów, to gdy dla odlania Francji wystarczyłoby 38 centnarów metalu, dla Niemiec potrzeba zużyć 52 centnary.

Oprócz tego materiał na odlanie Niemców musiałby być trochę gęstszy aniżeli na Francuzów.

Dalej — państwo niemieckie jest nieco tańsze od francuskiego. Gdy bowiem na Niemca przypada rocznie 52 marki wydatków państwowych, Francuz płaci na ten sam cel 73 marki. I długi państwowe są bardzo nierówne: Niemcy winne są 111/2 miliardów, Francja 25 miliardów marek. Skąd na jednego Niemca przypada 221, a na Francuza 652 marki publicznego długu.

Prawda, że przeciętny Francuz jest bogatszy od przeciętnego Niemca: Francuz sprowadza rocznie obcych towarów za 94 marki, Niemiec za 82; Francuz wysyła obcym swoich wyrobów za 74, Niemiec tylko za 63 marki.

Lecz, co z pozoru wygląda na paradoks, naród niemiecki jest bogatszy od narodu francuskiego, gdyż — jest liczniejszy. Dzięki czemu, gdy Francja sprowadza rocznie obcych towarów za 3.600

milionów marek, Niemcy, sprowadzają za 4.200 milionów. Gdy Francja wywozi od siebie za 2.800 milionów, Niemcy wywożą za 3.200 milionów marek.

Wiemy już, że ruch osobowy w Niemczech jest większy aniżeli we Francji; tak samo dzieje się i z ruchem interesów. Gdy bowiem Francuz odbiera przecięciowo 27 listów rocznie, Niemiec odbiera ich 34. Choć co do telegramów Francuz otrzymuje jedną depezę na rok, Niemiec jedną na 15 miesięcy.

Za to ruch umysłowy w Niemczech jest większy aniżeli we Francji. Na jednego Francuza przypada rocznie 16Va egzemplarza gazet, gdy Niemiec czyta ich około 20 na rok.

Nareszcie, pod tym względem, który można by nazwać „żywością” narodu, Niemcy są silniejsze od Francji. Wzrost ludności we Francji jest najpowolniejszy z całej Europy: na 1.000 bowiem mieszkańców przybywa zaledwie 2 rocznie, gdy w Niemczech na 1.000 przybywa 9 lub 10, czyli około pięciu razy więcej...

Co jednak jest dziwne i smutne, że Francja pomimo wybornego klimatu i bogactw odznacza się największą w Europie śmiertelnością: z 1.000 bowiem Francuzów umiera rocznie 29, gdy z 1.000 Niemców tylko 25.

— Brrr!... kiedyż nareszcie skończą się te cyfry? — zapytuje czytelnik.

— Kochany rodaku — odpowiadam — kiedy przed laty wprowadzono do Europy kartofle, nikt ich jeść nie chciał pod pozorem, że to „ciężka strawa”. Dzisiaj zaś nikt bez nich nie może się obejść.

Toż samo z „cyframi”: nie lubimy ich, dopóki nie zrozumiemy ich znaczenia; gdy zrozumiemy, znajdziemy w nich nawet poezję.

Przypominam wreszcie, że każdy z was, panowie, lubi „politykę”, która nawet z tego powodu zapełnia większą połowę naszych gazet. Otóż jakim sposobem moglibyśmy rozprawiać o stosunkach zewnętrznych i wewnętrznym gospodarstwie narodów nie wiedząc, czym one są i jakie one są?

Naród, jak człowiek, ma pewien wzrost, wiek, jest zdrowy lub chory, zamożny lub ubogi, czymś się zajmuje, jest potężny lub słaby, czegoś, potrzebuje od innych i coś daje innym. Słowem — każdy naród ma pewną fizjognomię i charakter, które musi poznać ten, kto chce zajmować się „polityką”, choćby jako zabawką.

Z drugiej strony, literatura może na usługi czytelnikowi malować obrazy narodów, lecz — musi przy tym posługiwać się... cyframi, gdyż one odgrywają rolę farb i kanwy.

Bez statystyki — nie ma znajomości narodu, a opis, który nie posługuje się cyframi, nie jest opisem, lecz zbiorem wrażeń osobistych.

A my już znamy przecież Europę z „wrażeń”, odbywamy podróże, czytamy książki i gazety, o ludach europejskich mówimy tak śmiało jak o pokojach własnego mieszkania.

Lecz jaki z tego naprawdę rezultat? Oto ten, że gdy człowiek nieco uważniejszy wyjedzie za granicę, otwiera szeroko usta. Nie tylko bowiem widzi rzeczy, o których mu nie wspomiano w kraju, ale przekonywa się, że o owej zagranicy miał fałszywe wyobrażenie.

Jak niebezpieczną jest „lekka strawa” w rzeczach społecznych, dowiodą dwa fakty:

W roku 1870 cała Francja, z wyjątkiem kilku ludzi wyższego umysłu, była pewna, że pobije Niemcy. Tymczasem np. w Szwajcarii i Anglii nie było tego złudzenia i — odzywały się głosy przepowiadające zwycięstwo Niemcom.

Przyczyna prosta: Francuzi podobnie jak i my mają wstręt do „ciężkich opisów”; Anglicy zaś i Szwajcarowie nie dławią się cyframi i dlatego już wówczas mogli wiedzieć, że Niemcy są silniejsze.

A ileż to razy małe państwa rozpoczynały lekkim sercem wojny z ogromnymi dlatego tylko, że nie znały statystyki? Ile razy chore społeczeństwa pogrążyły się w coraz większą niemoc tylko dlatego,

że mając odrazę do „ciężkiej stawy” umysłowej, nie znały własnej nędzy ani sposobów wydobycia się z niej?

Drugi fakt jest jeszcze bardziej krzyczący. Francuzi podobnie jak i my, ciągle mając odrazę do cyfr wyobrażają sobie, że będą równie silni jak Niemcy, gdy będą mieli armię równie liczną jak niemiecka. Jest to błąd; o sile bowiem narodu stanowi nie tylko armia, ale tysiące innych czynników, o których już wspominaliśmy tutaj, a które sprawiają, że Francja jest o wiele słabszą od Niemiec.

Podobnież publiczność francuska z dumą mówi o tryumfach swojej armii w Tonkinie, na Madagaskarze i cieszy się, że zdobyto dla niej piękne kraje!

Tymczasem może nie należałoby tryumfować z nowych posiadłości, wobec tego, że gdy w całej Francji w ciągu roku przybywa ledwo 77 tysięcy dzieci, sam Madagaskar w ciągu kilku miesięcy pochłonął 5.000 żołnierzy, czyli — ludzi w kwiecie wieku i siły!...

Z przykładów tych widzimy, że publiczność, nawet tak dojrzała i genialna jak francuska, niekiedy miewa — nieszczęśliwe gusta. Jedną zaś z największych klęsk jest rozprawianie o polityce, cywilizacji itd. bez odpowiednich materiałów faktycznych.

Oto usprawiedliwienie „cyfr”, którymi posługuję się tak często. Może nie dają one „lekkiej” stawy umysłowej, ale kto wie, czy nie ochronią czytelnika od fałszywych poglądów.

BERLIN. PIERWSZE WRAŻENIA

O g. 6 rano okolica zmieniła się zupełnie: zamiast pól, drzew, zapachów — występują place, murowane budynki, hałasy i dymy. Plant kolei z obu stron gęsto zabudowany robi chwilami wrażenie, jakbyśmy dojeżdżali do Warszawy od rogatek Jerozolimskich.

Są jednak duże różnice. Kominów fabrycznych widać bez porównania więcej aniżeli u nas. Wysoko na ścianach domów unoszą się nazwiska fabryk i fabrykantów układane z ogromnych liter. Na lewo mignęła woda — najpierw gdzieś z daleka, potem bliżej. Potem zamiast budynków fabrycznych poczynają ukazywać się całe szeregi domów mieszkalnych, jakbyśmy jechali środkiem ulicy.

Wtem — co u Pana Boga!... Mijamy dziwny most, pod którym ... chodzą ludzie i jeżdżą dorożki... A teraz nasz pociąg toczy się tak blisko domów, że z okien wagonu mogę zaglądać w okna mieszkań, ale nie parterowych tylko... leżących na pierwszym piętrze! ...

Istotnie, już nie jedziemy po ziemi, jak nakazuje przyzwoitość, ale — po murowanym wiadukcie wysokim na piętro. Z początku myślałem, że wiadukt zaraz się skończy; widzę jednak, że on ciągnie się przez całe wiorsty ponad ulicami, niekiedy i nad rzeką.

O g. 6 m. 15 z rana pociąg nasz nareszcie stanął. Sędzia G. i ja wysiedliśmy z wagonu i, niby dwa kwiaty, znaleźliśmy się w budynku przypominającym olbrzymią oranżerię.

Jest to dworzec kolei miejskiej Friedrichstrasse Bahnhof. Jego podłoga wznosi się na piętro nad poziom ulicy, jest przykryta dachem cylindrycznym, wysokim może na dwa piętra, a zbudowanym z żelaznych obręczy i szklanych tafli.

Wagony, lokomotywy, podróżni wyglądają tu jakby pod kloszem. Dworzec ma ze 200 kroków długości i ze 60 szerokości, jego zaś podłoga dzieli się na trzy pasy: prawy i lewy — po którym jeżdżą wagony i środkowy — gdzie czekają podróżni.

Oprócz nas, przybyłych z za granicy, chodzili i siedzieli tutaj ludzie miejscowi, na coś oczekujący. Wtem od zachodu bez świstania zajechał pociąg: w wagonach pootwieraly się drzwiczki, zaczęły wyskakiwać podróżni, a ich miejsca zajęli oczekujący. Potem drzwiczki zatrzasnęły się i pociąg ruszył bez gwizdań na wschód.

Jeszcze nie ochłonałem ze zdziwienia, aliści wpadł nowy pociąg, tym razem ze wschodu. Znowu otworzyły się drzwi wagonów, jedni podróżni wysiedli, drudzy szybko wsiedli i — potoczyli się na wschód.

Wszystko to dzieje się bez nawoływań, bez dzwonek, bez konduktorów, pod ogromnym szklanym dachem, o piętro nad ulicami. Są to pociągi drogi żelaznej Śródmiejskiej, które przebiegają tędy co 4 minuty na wschód i zachód. Ile zaś osób korzysta z tej komunikacji, dowodzi fakt, że w roku 1892 z samego dworca Friedrichstrasse wyjechało 52/2 milionów podróżnych.

Jest tu zawiadowca w czerwonej czapce, sztywny w karku, jakby połknął repetierowy karabin z bagnetem. Jest tu i jego biuro, drewniany budynek przypominający warszawskie „szalety”. Nie widzę jednak ani śladu policji, ani konduktorów, pomimo że kręci się mnóstwo podróżnych. Jedni przychodzą nie wiadomo skąd, inni znikają nie wiadomo gdzie.

„Ładny porządek! — myślę. — Nikt nie pilnuje wagonów, więc zapewne przynajmniej połowa osób bezpłatnie jeździ koleją Śródmiejską...”

— No, panie, chodźmy — mówi sędzia.

— A nasze walizki?... — pytam nie bez ciekawości.

— Znajdą się w hotelu.

Idziemy tedy; sędzia z torbeczką, a ja z laseczką i — z biletem kupionym w Toruniu. Wciąż śmiać mi się chce z tutejszych porządków i rozmyślam: czy rzucić bilet na podłogę, czy też zachować go jako dowód, że i ja byłem kiedyś za granicą?

Niezbyt prędko zbliżamy się do schodów.

— Ach — mówię — więc tymi schodami wyjdziemy na ulicę.

Na nieszczęście przed schodami stoją dwa niby kojce, a w każdym woźny. Rad nierad, wsuwam się między owe kojce, a tymczasem woźny bardzo grzecznie prosi, ażebym mu oddał bilet...

Ciż sami woźni oglądają bilety osób przychodzących tutaj z dołu.

Rozumiem teraz manipulację biletową na kolei Śródmiejskiej. Kto chce nią jechać, kupuje bilet w kasie na dole i po schodach dostaje się na górę do dworca.

Gdyby nie miał biletu, woźni nie puszcza go. Jeżeli zaś posiada takowy, ma prawo zaczekać na właściwy pociąg, sam do niego wsiąść, sam zamknąć drzwiczki i jechać — gdzie mu potrzeba.

Na stacji zaś, na której wysiądzie, musi oddać bilet woźnym przy schodach, albo ... zapłacić za jazdę, co zawsze jest połączone z pewnym skandalem.

W pociągach Śródmiejskich chodzą tylko wagony III klasy po 10 fenigów miejsce i II po 15 fen., jeżeli nie zawodzi mnie pamięć. W każdym razie jest to jazda bardzo tania, szybka i bezpieczna, o ile kiedy jakiemu pociągowi nie przyjdzie fantazja zeskoczyć z wiaduktu na bruk.

Po szerokich schodach zwolna staczamy się do sieni, gdzie znajdują się kasy kolejowe, sklepiki z gazetami i książkami, sale bagażowe, budka wekslarza i — gdzie kręci się pełno ludzi. Jedni kupują bilety, inni pisma; jedni wbiegają na schody, inni schodzą z góry... Na ścianie (jeżeli dobrze pamiętam) jaśnieje napis zaklinający interesantów, aby strzegli się złodziei.

Przemykamy się pod szeroką arkadą wiaduktu, po którym w tej chwili przejeżdża pociąg i — znajdujemy się na Friedrichstrasse. Jest to jedna z pierwszorzędných ulic w Berlinie, charakteryzuje się zaś wielkim ruchem i wielką ciasnotą. W tym miejscu nie jest ona szerszą od naszej Chmielnej ulicy, a ruch na niej no — jest mniej więcej taki jak u nas na Żabiej.

Na chwilę zatrzymuję się i patrzę, aby pochwycić „pierwsze wrażenie”. I oto ono.

Kamienice w tym miejscu są wyższe od warszawskich, gdyż mają po cztery piętra; są także ozdobniejsze od naszych i pomalowane na barwę ciemną.

Wszystkie mieszkania parterowe zapełniają sklepy, których szyby są niekiedy wielkie jak bramy, a wystawy przepelnione towarami.

Latarnie uliczne są takie jak u nas, bruk bardzo gładki, chodniki wąskie.

Ale charakterystyczną cechą ulicy berlińskiej, cechą, która zastępuje drogę, skacze do oczu, krzyczy w uszy jest — czystość. Czystość, o jakiej my nie mamy pojęcia.

Berlińska ulica — to nie ulica, ale starannie utrzymany pokój.

Ruch kołowy jest bardzo ożywiony, jak u nas na Żabiej. Dopiero co przejechał furgon z pieczywem, za nim karetą, za nią dorożka, furgon ze sklepu bławatnego, wielki dylizans barwy kanarkowej okryty płóciennym dachem, furgon meblowy, znowu kilka dorożek, furgon z mlekiem, mały wózek ciągnięty przez psy, trójkołowy welocyped, na którym siedzi jegomość w liberii i wiezie duże pudło...

Z lewej strony słyhać dzwonięcie... To przez Dorotheenstrasse jedzie tramwaj z ławkami na dachu i baldachimem.

Z prawej strony grzmot... To po wiadukcie, na wysokości pierwszego piętra toczy się pociąg ziejący kłębami pary....

Na wąskich chodnikach ruch niemniejszy. Idzie pan siwy, pan w średnim wieku, dwie damy z prowincji, kilku żołnierzy w granatowych mundurach z pąsowymi kołnierzami i w kaszkietach z małutkimi daszkami; dalej służąca z koszykiem, znowu damy, znowu panowie cywilni, oficerowie, wyrobnicy ...

We wszystkich tych ludziach uderza jedna cecha: wszyscy są bardzo czysto ubrani, bez porównania czystszej aniżeli u nas i — zamożniej.

Gdyby się tu pokazał człowiek obdarty albo brudny, zrobiłby takie wrażenie jak u nas — obsypany brylantami.

Kobiety nie wydają mi się ładne, za to mężczyźni bardzo przystojni i... podobni do naszych szlachciców!... Te same wąsy, te same twarze „ogorzałe”, rysy inteligentne, oczy siwe lub niebieskie... Słowem — nie czuję się tu obcym.

Ponieważ jednak sędzia niecierpliwi się, daję więc spokój chwytaniu „pierwszych wrażeń” i idziemy do hotelu.

Mieści się on w wielopiętrowym domu, który stoi na rogu dwu ulic i na każdej ma po kilka okien frontu. Wchodzimy do sieni — wita nas umundurowany szwajcar, człowiek średnich lat, z rozumną fizjognomią i przyzwoitym zachowaniem się.

Gdyby mi powiedziano, że człowiek ten skończył uniwersytet (co wreszcie jest tu rzeczą możliwą), wcale nie zdziwiłbym się.

W chwilę później nadbiega oberkelner we fraku, a w głębi sieni ukazuje się „bursz” w zielonym fartuchu. Jest to chłopak, który czyści rzeczy i ma minę dobrego chłopaka; jak znowu kelner wygląda na młodziana bardzo wyniszczzonego, zapewne pracą.

Panowie ci ofiarują nam mieszkanie na czwartym piętrze, a po wielu targach — na trzecim. Nie lubię pięter, na które prowadzą grajcarkowate schody... Na szczęście wśród owego grajcarka jest winda zbudowana z żelaznych sztab i drucianych siatek. Włazimy tedy w ową windę, szwajcar z nami, zamykają się drzwi i — jazda na trzecie piętro!

A oto nasz pokój, dosyć spory, z dwoma oknami. Ma on (o ile pamiętam) ciemne ściany, ozdobny piec, dwie ogromne umywalnie, dwa olbrzymie łóżka, kanapę, fotele, nocne szafki itd. Ma także elektryczny dzwonek, ale nie ma elektrycznego oświetlenia, kranów do wody ciepłej i zimnej, do ogrzanego powietrza itd.

Wszystkie te wygody są już znane w berlińskich hotelach, ale nasz jeszcze do nich nie dojrzał.

Lokaj otwiera dubeltowe okna, ja zaś z przyjemnością spostrzegam, że tutejsze okna otwierają się nie na zewnątrz, ale do wewnątrz. Berlińskie więc kucharki, o ile myją okna, nie potrzebują przy tym zajęcia wylatywać na ulicę, jak się to trafia naszym.

— Cóż robimy? — pyta sędzia.

— Połóżmy się chyba spać — odpowiadam.

W tej chwili ktoś przyniósł z dworca nasze walizki, a jednocześnie weszła pokojówka (biały czepek, biały fartuch, czyściutko ubrana) i ściele nam łóżka.

Znowu robię spostrzeżenia: pokojówka wygląda tak, jakby „skończyła pensję”, a na naszych łóżkach leżą pierzyny...

Najprawdziwsze wielkie pierzyny podobne do białych obłoków!...

— Nigdy nie spałem i nie będę spał pod pierzyną — mówię.

W kilka minut kładę się do morgowego łóżka; ale ponieważ bezsenna noc nabawiła mnie dreszczów, więc pomimo obrzydzenia jakoś nie bardzo odsuwam pierzynę.

Jeden jej róg oparł mi się na nodze, więc niechcący przykryłem obie nogi. Później schowałem się do połowy i poupuływie minuty cały wyciągałem się pod pierzyną jak Moltke w czasie oblężenia

Paryża.

Kiedy zaś gasnące oko zwróciłem na lewo, już nie dojrzałem sędziego, tylko wznoszącą się i opadającą pierzynę.

Od siódmej rano do dwunastej w południe wyspaliśmy się, jak należy. Naturalnie, umywszy się, zeszliśmy na pierwsze piętro na „kawę”.

Ta kawa berlińska... A może ta śmietanka berlińska... Czy może masło? ... A może i kawa, i śmietanka, i bułki, i masło berlińskie? ...

Mnie się zdaje, że lepiej będzie na teraz pominąć tę kwestię i ograniczyć się na zaznaczeniu, że — coś wypiliśmy i czymś zakąśliśmy.

Sędzia z wielką stanowczością wlał do filiżanki przypadający na niego kieliszek czarnego Fluidu i zabarwił go naparstkiem substancji nazywanej tu śmietanką. Nacieszywszy się zaś taką uwerturą do berlińskich przysmaków odetchnął głęboko i rzekł:

— Wiesz pan, że muszę ja poszukać herbaty... Jakoż na drugi dzień sprowadził sędzia funt herbaty, torbę cukru i dwa porcelanowe imbryki, tak wysokie i szerokie, że z daleka można je było...

W każdym razie zachwyciłem się herbatą na berlińskim bruku, a chwile picia jej zaliczam do najmiłszych w obcym, kraju.

Po wypiciu kawy sędzia widząc, że jest cichy i pokornego serca, ubezważnowolnił mnie i na własny koszt zaczął obwozić po Berlinie.

Bywało, chcę wyjść z hotelu na ulicę.

— Gdzie pan idziesz? — pyta sędzia.

— Przejść się ... popatrzeć ...

— Zaczekaj pan ... Gdzie pan sam możesz pójść? ... Do czego to podobne — mówi sędzia.

Potem bierze laskę i kapelusz i wychodzimy na ulicę.

Na ulicy oglądamy się: przed siebie, za siebie, na prawo i na lewo. Nagle sędzia woła dorożkę, pakuje mnie do niej, siada sam i jazda!

— Gdzie jedziemy, panie?

— Zaczekaj pan...

Innym razem wprost z hotelu idziemy na kolej: sędzia kupuje bilety, włączymy na górę, przylatuje pociąg, zabiera nas ...

— Gdzie jedziemy, panie sędzio?

— Zaczekaj no pan ...

No i w ten sposób w ciągu kilku dni objechaliśmy z pół Berlina, ba! zawadziliśmy nawet o Potsdam.

Dusza ze mnie wychodziła, ale byliśmy w Aquarium, w Panoramie morskiej, w Uranii, w Ogrodzie Zoologicznym, na wystawie obrazów, w Teatrze Ludowym, w teatrze Apollo, w Panopticum...

Z pobożnym skupieniem ducha oglądałem wszystkie te ciekawości, starając się jednak obok nich zebrać jak najwięcej „pierwszych wrażeń” z miasta.

„Miły Boże! nieraz myślałem, gdyby można zamiast opisywać pokazać to czytelnikowi...”

W starym Berlinie są całe ulice podobne do warszawskich: tak długie i szerokie, z takimi kamienicami jak u nas, tylko ... trochę czystsze. Ale w środkowych dzielnicach, na przykład na Friedrichstrasse, znajduje się mnóstwo domów innych aniżeli nasze.

Ich dachy są albo całkiem płaskie, otoczone balustradą, albo wysokie, zakończone na szczycie grzebieniem. Prawie każdy dom ma jakąś kopułę wielościenną lub okrągłą; na rogach znajdują się wieżyczki. Ściany rzadko są gładkie, częściej pokryte ornamentami, kolumnami, posągami. Niekiedy

ozdobione są majolikowymi taflami albo freskami.

Wystawy sklepowe pomieszczone w ogromnych oknach zabierają tyle miejsca co średni pokój i ogarniają setki rozmaitych przedmiotów. Sklepy zajmują nie tylko parter, ale pierwsze piętro i suteryny.

Gdy towary mieszczą się w suterynie, wówczas przy kamienicy znajdują się głębokie murowane fosy, do których wychodzą okna suteryn, wielkie jak na parterze i również wypełnione próbkami.

Ulica berlińska także cokolwiek różni się od warszawskiej, nie tylko czystością i gładkością, ale rozmaitymi budowlami.

Są więc na niej „szalety” jak w Warszawie, tylko liczniejsze i do pewnego stopnia bezpłatne. Są grube słupy ogłoszeniowe, jak u nas, pokryte afiszami z dziedziny sztuki, przemysłu i handlu. Są wodociągi z napisami: czy woda jest zdatna lub niezdatna do picia i — gdzie znajduje się najbliższy sygnał pożarny?

Cóż to za sygnał?

Jest to żelazna szafka malowana na czerwono; u góry ma szybę, za którą leży klucz. Na wypadek pożaru, każdy, kto go spostrzegł, powinien rozbić ową szybę, wydobyć klucz, otworzyć szafkę, w której znajduje się telefon i — zawiadomić straż ogniową o miejscu, gdzie się pali.

W roku 1892 za pomocą takich aparatów 600 razy doniesiono o pożarach.

Przy Bahnhofe Friedrichstrasse widziałem znowu szafę — zieloną, znacznie większą od alarmowej i także stojącą na ulicy. Objasniono mnie, że przez drzwiczki tej szafy rzuca się śmiecie do kanału. Ale czy tak jest, nie miałem możliwości sprawdzić.

Jeszcze jednym typem szafek są skrzynki pocztowe. Są one też odlane z żelaza, przybite do ścian domów i pomalowane na szafirowy kolor. Z frontu znajdują się napisy o godzinach wyjmowania listów.

Innym budynkiem, jakiego nie znamy w Warszawie, są kioski „Towarzystwa Uranii”. Oprócz ogłoszeń znajdują się na nich: mapa tej części Berlina, w której stoi kiosk, zegar, a nareszcie samopiszzące przyrządy: barometr, termometr i higrometr.

Dzięki tym narzędziom publiczność w każdej chwili wie: jaki jest stan atmosfery i o ile zmienił się od rana? Kioski te są niby oczami miasta skierowanymi na atmosferę. Oczami, które nie tylko ciągle patrzą, ale i pamiętają.

Na pryncypalnej ulicy Berlina, tak zwanej „Pod Lipami”, oprócz słupów, rozmaitych kiosków i szafek znajduje się jeszcze cztery rzędy drzew, trzy szeregi latarni elektrycznych, ławki dla publiczności ustawione przez magistrat i — składane fotele prywatnego przedsiębiorstwa, które otwierają się za wrzuceniem 10 fenigów w odnośną szparkę.

Chcąc użyć wszystkiego na tym świecie, wsunąłem dziesięć fenigów, gdzie należy, lecz fotel — pozostał zamkniętym. Przybiegła jakaś dziewczynka, kilka razy wypytała mnie: czy naprawdę włożyłem 10 fenigów? Stawiała nieszczęsny fotel, szarpała go, biła nim o ziemię ...

Ale zacięty mebel ani myślał otwierać się, a ja musiałem wyrzec się nadziei ucieszenia się nim i odejść — uboższy o 10 fenigów, bogatszy o jeden zawód w życiu.

„Pod Lipami” znajdują się inne jeszcze osobliwości, jakich nie znamy w Warszawie. Na przykład — bardzo wielki konny posąg Fryderyka Wielkiego, który pochłonął blisko 900 centnarów metalu.

Na drugim końcu ulicy „Pod Lipami” wznosi się brama tryumfalna zwana „bramą Brandenburską”.

Na kolumnach wysokich na trzy. piętra leży murowana belka, na niej stoi wóz zaprzężony we cztery spiżowe konie, a na wozie — bogini zwycięstwa. Wszystko to razem ma około pięciu pięter wysokości.

Bramę tę budowano przy końcu zeszłego wieku, nie wiem już na pamiątkę jakich tryumfów. Zaś w początkach bieżącego wieku zdaje się, że Napoleon miał zwyczaj wchodzić tędy do Berlina, choć zresztą może się myłę.

W ogóle na tej ulicy gęsto są rozrzucone budowle w stylu klasycznym. Obok bramy Brandenburskiej — odwach i biuro telegraficzne, obok arsenału — nowy odwach, teatr Opery i kilka innych gmachów. Wszystko to posiada na frontach szeregi kolumn uwieńczonych murem mającym formę trójkątną.

Ile razy zawadziłem o taki gmach, zawsze przychodziła mi na myśl Grecja z jej aorystami w koniugacjach, liczbami podwójnymi w deklinacjach, a nareszcie jedynym, jaki pamiętam, frazesem:

He methe mikra mania esti

Pałace i kamienice berlińskie z ich frontonami, ornamentami, kopułami, wieżyczkami itd. przez parę pierwszych dni tak mi imponowały, że na widok każdej nowej budowli miałem ochotę zawołać:

— Ach! jakież to... jakie to...

Lecz w tym miejscu brakowało mi stosownego przymiotnika.

Lecz po kilku dniach wszystkie te dziwy zaczęły mnie drażnić i nudzić tak, że uciekałem na ustronne ulice, ażeby nareszcie znaleźć jakiś dom niski, gładki, podobny do naszych. I wtedy spostrzegłem, że berlińskie kamienice są przeładowane ozdobami, że spoza tych pałaców wyglądają browary, a spoza wieżyczek — fabryczne kominy ...

Dopiero później wynalazłem kilkanaście domów, których oglądanie robiło mi przyjemność; którym przypatrywałem się, gdym był znużony i smutny.

W sumie — architektura berlińska robi takie wrażenie, że miasto posiada wielu ludzi bogatych i wielu budowniczych mających fantazję; że jednak jedni i drudzy nie zawsze mają dobry smak i miarę.

W każdym razie Berlin jest miastem ładnym, bez porównania ładniejszym od Warszawy, a nawet pod pewnymi względami...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Wracam znowu do ludzi, jakich spotyka się w Berlinie.

Wiadomo, że po ulicach kręcą się dwa typy ludzkie: przechodnie i stali.

Najstalszą figurą w każdym mieście jest — policjant. W Berlinie nosi on ciemnogrnatowy mundur z dwoma rzędami guzików z białego metalu, krótki (o ile pamiętam) pałasz w skórzanej pochwie pod mundurem i na głowie pikielhaubę ozdobioną ornamentami z białego metalu.

Policjanci berlińscy są to przeważnie ludzie przystojni: wysocy, silni, z twarzami inteligentnymi. Nie można też nazwać ich niegrzecznymi, owszem... mają jednak takie miny, jakby każdy z nich był panem życia i śmierci wszystkich przechodniów.

Obfite raczenie się piwem nadaje im formy dosyć okrągłe, których nie można jeszcze nazywać otyłością.

W ruchliwszych punktach miasta stoją niby posągi Fryderyka Wielkiego — policjanci konni. Ci mają pałasze w żelaznych pochwach, zresztą ubrani tak jak policja piesza.

Drugim stałym gościem ulicy jest posłaniec. Sterczy on, jak zwykle, na rogu ulic; nosi cywilną odzież i czerwoną czapkę, a odznacza się fizjognomią melancholijną.

I zaprawdę posłaniec nie może i nawet nie powinien być wesołym w mieście, które ma tyle tramwajów, omnibusów, dorożek, poczt i w dodatku — specjalne towarzystwo do rozwożenia pakietów...

Bardzo miłym typem berlińskim jest dorożkarz, z których prawie każdy ma rumianą, uśmiechniętą twarz i wesołe oczy.

Nosi on ceratowy cylinder biały lub czarny, granatowy surdut z czerwonym, wykładanym kołnierzem, czerwoną kamizelkę, wreszcie sukienne kamasze barwy musztardowej, długie do kolan, a zapinane na guziczki.

W razie chłodu lub deszczu dorożkarz nadziewa na siebie olbrzymi płaszcz z peleryną, który zaciera w nim formy ludzkie, a robi go podobnym do stodoły.

Woźnica dyliżansowy zawsze jest w płaszczu; jego koziół zaś ustawiony na wysokości dachu posiada ogromny fartuch, dzięki czemu furman wygląda tak, jakby siedział w płaszczu i w wannie na wysokości pierwszego piętra.

Dyliżansy, omnibusy, furgony i w ogóle większe wozy są zaopatrzone w hamulec, którego korba znajduje się obok kozła.

I słusznie, na bruku bowiem tak gładkim trudno byłoby zatrzymać powóz w razie wypadku.

Włóczyłem się po różnych kątach Berlina, widywałem dorożki, powozy, kariolki elegantów, furgony rzeźników i piwowarów, ale nigdzie nie widziałem takiej jak u nas... „jazdy kawalerskiej...”

Woźnice berlińscy nie tylko zwalniają biegu na rogach, ale i przez ulice jeżdżą tak powoli i uważnie, że przed ich końmi bez trudu przesuwają się kobiety i dzieci.

Nie widziałem też nigdzie, ażeby człowiek tak strasznie bił konie, jak to czynią u nas figlarze zwani dorożkarzami. I jestem pewny, że gdyby nasi dorożkarze pojechali na popis do Berlina, w ciągu jednego dnia osiedliby w kozie, a znaczna liczba ich utraciłaby prawo powożenia.

Częstymi gośćmi ulic berlińskich są żołnierze spacerujący dwójkami lub trójkami. Zamiast hełmów mają na głowie kaszkiety z małymi rondami i jeszcze mniejszymi daszkami, które ledwie zasłaniają im czoła ...

Żołnierz pruski, osobliwie piechur, jest to człowiek dobrze zbudowany, czerstwy, wzrostu średniego. W Warszawie nieraz słyszałem o ogromnym wroście Prusaków i bardzo drobnym Francuzów. Własnymi oczyma jednak nie zdarzyło mi się widywać owych olbrzymów. Owszem, wracając z Paryża z profesorem S., spotkaliśmy na Friedrichstrasse trzech tak małych żołnierzy, że z tyłu wzięliśmy ich za uczniów szkoły wojskowej. I dopiero wąsy sumiaste przekonały nas, że widzimy ludzi dojrzałych, może karłów? ...

Odkładając na później uwagi o pruskim wojsku, wspomnę tylko, że spacerujący żołnierz pruski nie odznacza się zręcznością: ma ręce krótkie i odstające, pierś nienaturalnie wypukłą i zbyt szerokie biodra.

Wszystko to jednak nie przeszkadza mu wygrywać bitew.

Oficerowie jazdy i piechoty wyglądają bez porównania lepiej i pomimo bardzo „junkierskich” min, robią wrażenie ludzi dobrze wychowanych i grzecznych — jednak bez uprzejmości. Zaś oficerowie artylerii, o ile pamiętam, nie okazują „junkierstwa”, lecz wyglądają jak profesorowie i uczeni w wojskowych mundurach.

Księżda na ulicach Berlina nie spotkałem ani jednego. I nie dziw. Jest to miasto protestanckie; duchowni zaś tego wyznania ubierają się jak zwykli obywatele.

Ucniowie szkół średnich nie mają mundurów, lecz ubiory cywilne. Odróżnić więc ich można na ulicy o tyle, o ile są obładowani książkami. Robią oni wrażenie chłopców zdrowych, wesołych i uprzejmych.

Za to studenci wyższych zakładów, choć także nie noszą mundurów, jaskrawo odcinają się od reszty przechodniów.

Typowy student jest to młodzieniec duży, tęgi, z twarzą pełną i okrągłą, a nade wszystko — pokrytą bliznami od cięć pałaszem.

Spotkałem studentów mających tak porąbane policzki, a właściwie jeden policzek, że skutkiem

tego twarzom ich brakowało symetrii.

Siekanina taka nie jest ani ładna, ani potrzebna; niekiedy robi wprost nieprzyjemne wrażenie. Za to jednak student niemiecki nie tylko nie uderzy kolegi, ale wystrzega się nawet ostrego wyrazu, a jeszcze bardziej pokątnych plotek. Gdy bowiem kogoś choćby najlżej obrazi, spotka się z wyzwaniem na pojedynek, przed którym nie może się cofnąć pod karą infamii.

Młodzież więc dosyć wcześnie uczy się tu szanować cudzą godność.

Lecz nie blizny na twarzy, nie fantastyczne nakrycia głowy charakteryzują tutejszego studenta. Od reszty śmiertelników różni się on przede wszystkim — miną, która istotnie jest nadzwyczajna.

Jeżeli pruski mieszczanin zadziera głowę pozując na junkra, jeżeli junkier spogląda z góry na świat pozując na „nadczłowieka”, to już student wyrabia takie miny, jakby był nie tylko nadczłowiekiem, ale nawet „nad-junkrem”.

Trzeba widzieć ten wyrzut głowy, te zamaszyste ruchy, ten niby wojskowy chód, tę pogardę w spojrzeniu i w grymasie ust, ażeby ocenić jak dalece — przynajmniej niektórzy studenci — usiłują wyróżnić się od reszty śmiertelników.

Może rozbudzenie w sobie ultrajunkierskiej buty ma na celu jakąś gimnastykę charakteru. Pewnym jest jednak, że na obcych robi to niemiłe wrażenie. Raz idąc z sędzią przez Friedrichstrasse spotkaliśmy *na* chodniku grupę studentów, oczywiście wracających z pojedynku: jeden z nich bowiem miał rękę zawiniętą jak dziecko w powijaku. Miny ofiar czy tryumfatorów, czy świadków były takie, że szybko usunęliśmy się na bok, aby nie zepchnięto na ulicę nas, ludzi spokojnych.

Taka bezceremonialność jeżeli nie impertynenckość niektórych studentów zastanawia tym bardziej, że zwykły berlińczyk zachowuje się na ulicy całkiem przyzwoicie.

Chodzi on szybko, w jego twarzy i całej postaci widać zajęcie jakimś interesem, lecz mimo to — nie pamiętam, ażeby mnie w Berlinie potrącano. A tymczasem w Warszawie bardzo często — jeden zawadza o mnie, drugi podłazi pod rękę, trzeci wpada mi w objęcia ...

Warszawiacy nie tylko nie umieją jeździć, ale nawet chodzić! ...

W miastach europejskich każdy trzyma się zawsze albo prawego chodnika, albo prawej strony na chodniku, a wymija idącego przed nim — z lewej strony. Tymczasem my chodzimy zygzakiem i nierzadko można spotkać na ulicy zabawną parę idących, którzy nagle zatrzymawszy się naprzeciw siebie odtancowują jakąś figurę z kontredansa,

A stróże Berlińscy?.

Oto ciekawa rzecz, że w miastach niemieckich wcale nie widziałem osób, które można by nazywać stróżami w naszym pojmowaniu wyrazu. Ale o tym później.

Za to w bocznych ulicach spotykałem żebraków, co prawda tylko dwu przez cały czas pobytu w Berlinie. Jednym był staruszek bez. nogi, drugą — kobieta niewidoma.

I tamten, i ta — czyściutko ubrani — stali pod ścianą domu ze skrzyneczkami zapałek.

Nie żebrali, lecz — sprzedawali. Ale wyznaję, że głęboko wzruszyły mnie te okazy schludnej, cichej i pokornej niedoli. Bo kiedy nasze dziady są brudne i zuchwałe, tamci byli prawie zawstydzeni, że tylko w ten sposób mogą pracować — sprzedając zapałki.

Berliński listonosz w mundurku, w wojskowym kaszkieciku, z czerwoną torbą zawieszoną przez ramię chodzi tak szybko, że przeważnie widzi go się tylko z tyłu. Dopiero jest na chodniku, już wpada do domu, już przebiega ulicę, już wskakuje do tramwaju...

Ludzie ci tak ciągle się śpieszą, że chyba nawet sam czas nie może ich dopędzić. Toteż nie widziałem między listonoszami starego.

Tak wyglądają najbardziej wyraziste krople tego potoku, który nazywa się ruchem ulicznym. Rzadko kto, chyba jakiś przyjezdny, staje przed oknem sklepowym, aby przypatrzeć się towarom,

albo na rogu ulicy, żeby zorientować się, gdzie jest?

Ogromna zaś większość przechodniów pędzi, jedni na północ, drudzy na południe, ci na wschód, tamci na zachód, zajęci jakimiś myślami, zafrasowani, jakby lękali się spóźnić.

Każdy biegnie gdzie indziej i w innym celu. Ten z pieniędzmi, tamten po pieniądze, ów na widowisko, ten do sklepu, tamten do restauracji, do szkoły, na targ... Jeden ma kogoś powitać lub pożegnać, drugi chce wyklócić się, ten śpieszy z pomocą, tamten z zamiarem wycisku, ten na schadzke miłosną, tamten już do doktora...

Pomimo tylu rozmaitych interesów wszyscy oni tworzą jeden ruch uliczny złożony z dwu prądów: tego, który biegnie na północ albo wschód i tego, co toczy się na południe albo zachód.

Oba prądy są niby częściami tego samego pasa, za pomocą którego jedno koło — udziela ruch innemu kołu, motor — mechanizmowi wykonawczemu.

Przez każdą ulicę przechodzi taki pas z ludzi jezdnych i pieszych i w każdym punkcie miasta znajdują się takie dwa niewidzialne koła. Motorem — jest interes osobisty każdej jednostki, mechanizmem poruszonym — życie społeczne.

MIASTO

Po kilkodniowym pobycie w hotelu przy jednej z najruchliwszych ulic, uczułem znużenie. Począłem rozmyślać o wynalezieniu jakiegoś cichego kąta, gdzie można by nie używać windy i nie mieszkać na trzecim piętrze.

Ale gdzie *znaleźć* taki kąt, a nawet jak zabrać się do szukania?

Na szczęście nie tylko ja rozmyślałem o tej kwestii, ale i dobrzy ludzie w Warszawie. Dzięki czemu, właśnie w chwili gdy byłem mocno rozstrojony, zgłosił się do hotelu młody student politechniki p. G. i zawiadomił, że — ma dla mnie pokój w Charlottenburgu na pierwszym piętrze.

— A skądże pan wie o tym, że ja szukam mieszkania? — zapytałem.

— Pisał do mnie ojciec z Warszawy.

Pożegnawszy tedy jak najserdeczniej sędziego, pojechałem do Charlottenburga. A gdym rozejrzał się w mieszkaniu, które widać było z okna w cichej ulicy, żałowałem, że mój kolega p. G. nie znajduje się w Berlinie i że oprócz syna, nie ma jeszcze wnuka. Taką miałem ochotę uściskać wszystkich G., jacy tylko byli na świecie!

Muszę przyznać, że nie jestem stworzony do dwu rzeczy: do jeżdżenia wagonami bez kurytarzy i — do mieszkania w hotelu.

Ledwie przeniosłem się na nową siedzibę, dokąd mówiąc nawiasem w parę godzin przysłano mi walizkę z hotelu, ledwie tu osiadłem — przyjechał do mnie z wizytą sędzia, w dodatku z funtem herbaty. Znowu więc upłynęło mi parę godzin w towarzystwie.

Niebawem jednak sędzia powierzył siebie i swoje losy niespokojnym falom Bałtyku, innymi słowy — szczęśliwie popłynął sobie do Stokholmu. A że znowu młody p. G. prawie całe dni przepędzał w politechnice, zostałem się więc sam jak palec i — na własną rękę zacząłem rozpatrywać się w Berlinie.

Dzięki rozmaitym korespondencjom oryginalnym i symulowanym, razem z tysiącami czytelników gazet wyobrażałem sobie, że ja wiem, co to jest wielkie miasto, stolica.

Stolica według moich warszawskich wyobrażeń było to takie miejsce, gdzie można znaleźć kilka teatrów, parę sal koncertowych, czasami wystawę obrazów. Takie wreszcie miejsce, gdzie odbywają się kłótnie między członkami parlamentu, którzy tylko i tyle robią, że sobie wymyślają jawnie za cichy współdział w rozmaitego rodzaju panamach.

Stolica wreszcie był to taki punkt społeczeństwa, gdzie od czasu do czasu zdarzy się jakaś niezwykła zbrodnia, wystąpi nieznany dotychczas śpiewak albo autor, najczęściej — dramatyczny. No — są tam także ładne kobiety, genialne modystki, odbywają się wyścigi konne, bale kostiumowe et cetera.

A ponieważ nasza kochana Warszawa również posiada teatry, koncerty, modystki, wyścigi i ładne kobiety, więc oczywiście w mojej tutejszokrajowej wyobraźni była ona jednym ze świeczników cywilizacji, może nieco mniejszym pod względem rozmiarów, ale nie słabszym pod względem światła.

Później dopiero... No, może i nie później, ale. w każdym razie nie z „korespondencji zagranicznych” począłem trochę rozumieć, czym jest wielkie miasto. A najgorętszą moją ambicją stało się — wytłomaczyć tę zagadkę czytelnikowi.

Przejdę na chwilę do innego szeregu pojęć.

Koral, z którego robią paciorki, jest to niby minerał barwy czerwonej, z kształtu podobny do jelenich rogów albo gałązki.

W morzach południowych istnieją nie tylko gałązki, ale całe krzaki, a nawet całe lasy koralowe. Są zaś one wyrobem bardzo drobnych zwierzątek, które w ten sposób budują sobie mieszkania. . .

Kiedy młody koralik przyjdzie na świat, jest w pierwszych chwilach istotą bardzo ruchliwą, może nawet lekkomyślną. Pływa, kręci się, skacze...

Lecz gdy, w miarę wieku, zdobędzie rozsądek, wówczas przestaje brykać, zbliża się do macierzystej gałązki i buduje sobie malutkie mieszkanie, w którym osiada na starość.

Lasy zatem koralowe są nagromadzeniem wielkiej liczby kamiennych czy murowanych mieszkań, w których wnętrzu kryją się i stamtąd w morze wybiegają właściwe żyjące istoty.

Otomyś wielkie miasto podobne jest do koralowej ławicy z tego względu, że jego murowane budowle są mieszkaniami, skorupą, szkieletem wreszcie zbioru istot żywych, który to zbiór nazywamy społeczeństwem.

W morzu są miasta koralowe, a w nich społeczeństwa koralowe; na lądzie są miasta kamienne lub ceglane, a w nich społeczeństwa ludzkie.

Miasto ziemskie czy ludzkie jest nie tylko zbiorem mieszkań i istot żywych, ale jeszcze samo tworzy jakby istotę żyjącą.

Istota żywa rośnie, miasto także rośnie w rozległość i ludność. Istota żywa rozmnaża się, miasto też rozmnaża się w ten sposób, że jego obywatele emigrują i zakładają nowe kolonie.

Istota żywa karmi się i miasto karmi się substancjami, które napływają do niego przez wszystkie rogatki. Istota żywa ma żołądek, w którym gromadzą się pokarmy, miasto ma hale dla produktów spożywczych i składy różnych innych towarów. Istota żywa przerabia produkta, które przychodzą do niej z zewnątrz; miasto także przerabia napływające z zewnątrz materiały, przerabia je w fabrykach i rzemieślniczych warsztatach.

W istocie żywej krążą soki za pośrednictwem specjalnych rurek; w mieście krążą ludzie i towary za pośrednictwem ulic i środków komunikacyjnych. Istota żywa posiada organy oddechowe; miasto zaś ma ogrody i skwery, które odświeżają powietrze.

Wreszcie istota żywa posiada system rur do wydzielania produktów zużytych; taką zaś samą usługę miastom oddaje system kanałów.

Później przekonamy się, że miasto jest nie tylko podobne do istoty żywej, ale także — do istoty duchowej: posiada bowiem rozmaite instytucje odpowiadające rozmaitym zdolnościom naszej duszy.

Prawda, że niektórzy socjologowie bardzo gniewają się za przeprowadzanie analogii między miastem czy społeczeństwem a organizmem. Ale czytelnik niech się tym nie przestrasza.

Pierwszym stopniem zrozumienia jakiejś rzeczy bądź bardzo nowej, bądź zanadto skomplikowanej jest — upodobnienie jej z inną rzeczą, którą lepiej znamy. Otóż pojęcie „społeczeństwa” czy „miasta” jest strasznie skomplikowane i dopiero zaczyna być cokolwiek zrozumiałym, gdy przyrównamy je — do istoty żyjącej.

Swoją drogą, miasto ani społeczeństwo nie jest dokładnie istotą żyjącą, organizmem; jest ono właściwie „supra-organizmem”, czyli czymś wyższym, czymś doskonalszym od organizmu, od istot żywych, na które patrzymy i które znamy w najogólniejszych zarysach.

Zdaje mi się (nie wiem czy każdy podzieli ten pogląd), że traktowanie miasta jako „istoty żywej” przedstawia nierównie Większy i szlachetniejszy interes aniżeli uważanie miasta za zbiór teatrów, koncertów i skandalów.

I rzeczywiście miasto nie jest ogromnym Mokotowem, wypełnionym tancbudami, panoramami i knajpami, ale raczej olbrzymią istotą — mającą życie i ducha.

Z tego stanowiska będziemy przypatrywać się nie tylko Berlinowi, ale każdej miejscowości, do której los nas rzucił.

Jeżeli powiem, że Berlin leży pod 52 i 1/2 stopniem szerokości północnej a pod 11 stopniem długości wschodniej odnośnie do Paryża, to czytelnik niewiele zrozumie.

Zobaczmy więc, co to znaczy długość geograficzna. W połowie maja słońce wschodzi w Warszawie o g. 4:30 z rana. Gdybyśmy, mogli w oka mgnieniu przelecieć z Warszawy do Berlina, przekonalibyśmy się, że w chwili gdy w Warszawie ukazuje się na widnokręgu słońce, w Berlinie jeszcze go nie ma i że ukaże się dopiero w pół godziny później aniżeli w Warszawie.

Podobnie w Paryżu słońce wschodzi o trzy kwadransy później aniżeli w Berlinie, a blisko o pięć kwadransów później aniżeli w Warszawie.

Geografowie i astronomowie obierają sobie na kuli ziemskiej jeden punkt, na przykład Paryż, do którego odnoszą wszystkie inne miejsca i mówią:

Długość Warszawy względem Paryża jest wschodnia i wynosi 5 kwadransów. A długość Nowego Jorku także względem Paryża jest zachodnia i wynosi 5 godzin.

Co znaczy, że słońce w biegu dziennym pierwiej wschodzi w Warszawie aniżeli w Paryżu, ale za to o 5 godzin wcześniej wschodzi w Paryżu, aniżeli w New Yorku. A co to jest szerokość geograficzna?

Na kuli ziemskiej znajduje się pasek, który dzieli ją na dwie połowy i na którym zawsze jest najgoręcej, dzień zawsze jest równy nocy, a słońce zawsze świeci wprost nad głowami mieszkańców jak w teatrze żyrandol nad krzesłami, które pod nim stoją.

Pasek ten nazywa się równikiem, a odległość jakiegoś miejsca od równika nazywa się szerokością geograficzną.

Przyłądek Północny w Norwegii, Lwów w Galicji i wyspa Kreta na Morzu Śródziemnym mają mniej więcej w tym samym, czasie południe, czyli mają prawie taką samą długość geograficzną. Ale ich szerokości, czyli oddalenia od równika są inne: najbliżej niego leży wyspa Kreta, najdalej Przyłądek Północny a Lwów gdzieś w pośrodku.

Praktyczny rezultat różnych szerokości geograficznych jest ten, że — im jakieś miejsce leży bliżej równika, tym słońce w czasie południa wznosi się nad nim wyżej.

Gdybyśmy mogli którego dnia w południe w oka mgnieniu przelecieć od Przyłądka Północnego przez Lwów do Krety, przekonalibyśmy się, że nad Przyładkiem słońce świeci najniżej, nad Kretą najwyżej, a we Lwowie — pośrednio.

A że od wzniesienia się słońca nad jakimś miejscem zależy mniej więcej jego temperatura, więc na Przyładku jest najchłodniej, we Lwowie trochę cieplej (w ciągu roku), a na Krecie najcieplej.

Wiem, że osoby młode, a nawet i starsze, doznają pewnych kłopotów w zapamiętaniu takich pojęć jak — długość i szerokość geograficzna. Otóż łatwo będzie zapamiętać w ten sposób:

Długość geograficzna oznacza — długość czasu, jakiego potrzebuje słońce, ażeby w dziennym biegu przejść od jednego punktu ziemi do innego. Mierzy się to godzinami.

Szerokość zaś geograficzna oznacza: jak szerokim jest pas ziemi, zawarty między równikiem a np. Paryżem, Warszawą itd.

Szerokość mierzy się stopniami, z których każdy ma 15 mil siedmiowiorstowych. Np. szerokość geograficzna Warszawy (czyli odległość od równika) wynosi 52 stopnie, czyli — 780 mil.

Berlin ma prawie taką samą szerokość geograficzną (52) jak Warszawa. Toteż słońce nad obu miastami świeci w jednakowej wysokości i roczna temperatura i tu, i tam wynosi 8 do .9 stopni ciepła.

Ale ponieważ oba miasta mają niejednakową długość geograficzną, więc ranek, południe i

wieczór następują w Berlinie o pół godziny później aniżeli w Warszawie, a warszawiak przyjechawszy do Berlina musi cofnąć swój zegarek o 32 minuty.

I Warszawa, i Berlin leżą wśród obszernych równin: nasza jednak jest wyższą. I podczas gdy Warszawa wznosi się o 125 metrów nad poziomem Morza Bałtyckiego, Berlin wznosi się tylko na 35 nad ten poziom.

Stoimy więc o 22 piętra ponad Berlinem i przynajmniej pod tym względem mamy prawo patrzeć na niego z góry.

Oba miasta mają przy sobie rzeki, lecz gdy nasza szeroka Wisła płynie z południa ku północy obok Warszawy, wąska i brudna Szprewa toczy się od wschodu ku zachodowi przez środek Berlina.

Wreszcie Warszawa ma tylko jedną wodę, w dodatku rzeczną wodę — od wschodu; podczas gdy Berlin od wschodu i zachodu otoczony jest szeregi jezior ciągnących się po obu stronach miasta na przestrzeni chyba 40 wiorst.

Te jeziora rozległe, dziwnie porozgałęziane i powydłużane, a ożywione mnóstwem pływających statków: wiosłowych, żaglowych i parowych, tworzą bardzo charakterystyczną cechę Berlina. Ośmielę się nawet powiedzieć, że tamtejsze krajobrazy pofałdowane małymi pagórkami, posrebrzone taflami wód, pełne pól, lasów i ogrodów utrzymywanych bardzo starannie, z prawdziwą miłością, że krajobrazy tamte są bez porównania ładniejsze od naszych, podwarszawskich...

Co się zaś tyczy budynków wiejskich w okolicach Berlina, o tych może by lepiej nie wspominać w chwili, gdy mówi się o przedmieściach Warszawy

Grunta, na których stoi Berlin, mają z północy na południe około 8 kilometrów, a ze wschodu na zachód około 10 kilometrów długości. Powierzchnia jednak miasta zajmuje 63 kilometry kwadratowe, czyli na naszą gospodarską miarę ze 420 włók. W nawiasie dodamy, że długość Warszawy wynosi około 6 wiorst, szerokość około 3 i 1/2 wiorst, a cała powierzchnia około 14 wiorst kwadratowych, czyli około 93 włók.

W sumie — powierzchnia Warszawy jest 4 i 1/2 razy mniejsza od powierzchni Berlina.

Każda rzecz stała, więc i miasto, ma jakąś formę. Warszawa np. (według planu z r. 1887) ma nieco podobieństwa do... głębokiego kalosza, który w dodatku jest mocno poszarpany na palcach.

Berlin, ze względu na ogólniejszą formę, przedstawia bardzo nieregularny wielobok. W „Przewodniku” Al. Goldschmidta znajduje się mapka okolic Berlina, na której stolica Niemiec jest nieco podobna do... szkaradnej głowy ludzkiej widzianej z profilu.

Dziwołag ten, zwrócony twarzą ku zachodowi, ma pałkowaty nos, który ciągnie się od stacji Wedding w stronę Tegel.

Jego okiem jest „gaik Humboldta” (Humboldt Hain), wargą górną — cyrkuł miasta północno-zachodni, wargą dolną — cyrkuł zachodni. Otworem ust poczwarą jest Thiergarten, a uchem — środkowa część miasta, mniej więcej ta, którą tworzy wysepka na Szprewie.

Nareszcie drogi żelazne: Obwodowa i Śródmiejska formują system linii trochę podobny do kagańca, co łatwo sprawdzić na wskazanej mapie.

Tak wyglądają ogólne kontury Berlina, które za kilka lat skutkiem zabudowywania się miasta mogą zupełnie ulec zmianie.

Już wspomnieliśmy, że miasto, jako istota żywa, posiada organy biologiczne: odżywcze, oddechowe, krążeniowe... tudzież posiada rozmaite instytucje, które odpowiadają różnym uzdolnieniom duszy. Obecnie spróbujemy przedstawić najogólniejszy układ tych organów, czyli pokazać czytelnikowi niby — anatomię i psychologię Berlina.

Parę tygodni temu uczeni prascy czy wiedeńscy wzięli rękę zmarłego człowieka, zastrzyknęli w nią substancje kolorowe, a potem — fotografowali ją za pomocą modnego dziś sposobu Rontgena.

Otóż na fotografii wystąpiła przede wszystkim ogólna forma ręki, a po wtóre — bardzo gęsta sieć żył i arterii, czyli organów krążeniowych.

I w planie każdego miasta rzuca się w oczy naprzód jego ogólna forma, a po wtóre — cała sieć ulic i w ogóle dróg komunikacyjnych, które odpowiadają żyłom i arteriom.

My także zaczniemy od dróg komunikacyjnych.

Ulic w Berlinie jest około tysiąca, a długość ich (mówię to na chybił trafił, gdyż brakuje mi cyfr stanowczych) wynosi 300 do 400 kilometrów.

Przypomnijmy sobie teraz nasze pole, gdzie na przestrzeni setek morgów znajduje się parę lichych dróg i kilkanaście ścieżyn, a zrozumiemy jedną z zasadniczych różnic pomiędzy wsią i miastem.

Wieś ma bardzo niewiele, miasto zaś ma — bardzo, ale to bardzo wiele — środków komunikacyjnych.

Aby jeszcze silniej podkreślić różnicę, jaka w tym względzie istnieje między wsią i miastem, dam przykład.

Belgia jest państwem, które najwięcej w świecie posiada kolei żelaznych. Na każdym kilometrze kwadratowym tego kraju znajduje się 180 metrów dróg szynowych.

Tymczasem w Berlinie w r. 1892 dróg szynowych (tramwaje i kolej Śródmiejska) na jeden kilometr kwadratowy przypadało przeszło 4.000 metrów, czyli 22 razy więcej aniżeli w Belgii.

W ogóle zaś na jednym kilometrze (czyli 200 morgach) Berlina znajduje się przeszło 6.000 metrów ulic, to jest bardzo wygodnych dróg komunikacyjnych.

Rozumie się, że w tej ogromnej sieci dróg komunikacyjnych nie wszystkie są jednakowo ważne. Nie tylko dlatego, że na jednych ulicach odbywa się kolosalny ruch osób i wozów, gdy inne stoją prawie pustką, ale dlatego, że — w sąsiedztwie pewnych dróg komunikacyjnych umieściły się ważne organa miejskie tudzież instytucje państwowe i społeczne.

Jak niektóre zwierzęta posiadają kręgosłup, tak miasta, a Berlin w szczególności, posiada pewien rodzaj osi głównej w swojej anatomicznej budowie.

Oś ta jest splotem dwu odmiennych dróg komunikacyjnych, mianowicie: 1) rzeki Szprewy. 2) kolei Śródmiejskiej.

Zarówno rzeka jak i kolej przebiegają skrętami miasto od wschodu na zachód; dzielą Berlin na dwie części: północną i południową; kilkakrotnie przecinają się i prawie na całej długości blisko sąsiadują ze sobą.

Pomijam kanały, które są splawne i dzięki którym Berlin robi wrażenie kilku wysp dających się opływać wokoło. Pominąwszy tedy kanały, główne koryto Szprewy toczy się w licznych zakrętach jak wąż przez środek miasta, ze wschodu na zachód, na przestrzeni — czy ja wiem — może 10, a może 15 wiorst? ...

Szerokość Szprewy w mieście dosięga czasem 150 kroków, najczęściej jednak nie przekracza 90 kroków. Jest to rzeka płynąca gdzieś w dole i mająca pięknie obmurowane brzegi, co robi ją podobną do fortecznej fosy, w której zwierciadło wody leży na piętro w głębi.

Woda Szprewy jest brzydka, wygląda prawie czarno. Mimo to znajdują się na niej przystanie dla statków, kąpiele, szkoły pływania, a nade wszystko — ze 70 mostów... (U nas o trzeci trudno!...) Mosty te są zazwyczaj murowane i szerokie jak' ulica, tak że nie wiadomo, kiedy na niego wjeżdżasz i przejeżdżasz.

Niektóre mosty są ozdobne, np. Zamkowy. Jest on długi na 75, szeroki na 48 kroków i z obu stron, na barierach, ma ośm marmurowych grup, w których rozmaite boginie mitologiczne uczą młodych berlińczyków sztuki odnoszenia zwycięstw nad zewnętrznymi i wewnętrznymi nieprzyjaciółmi

państwa.

Wisła obok Szprewy wyglądałaby jak słoń przy cielęciu, choć niestety! mimo nie imponującej powierzchni Szprewa jest użyteczniejsza ...

I tak, w r. 1892 przywieziono do Berlina wodą 4.230 milionów kilogr., wywieziono z Berlina — 396 mil. kg, przewieziono przez Berlin — 360 mil. kil. Innymi słowy: Szprewa w granicach miasta przeniosła na swych mętnych falach około 5 miliardów kilogramów (przeszło 300 milionów pudów) rozmaitego towaru.

W taki sposób ludzie umieją korzystać nawet z bardzo skromnych darów natury.

Drugą linią komunikacyjną, która znajduje się w bliskim sąsiedztwie Szprewy jest kolej żelazna Śródmiejska. Ponieważ kolej ta przecina mnóstwo ulic, więc ażeby nie tamowała ruchu, ułożono ją na wiadukcie.

Wiadukt jest to budowla podobna do naszego Nowego Zjazdu, tylko znacznie niższa: wznosi się bowiem ledwie na piętro nad bruki miasta. Wystawiony jest z żółtych cegieł, ma ze 12 kilometrów długości, składa się z przeszło 300 arkad — i w granicach miasta posiada 11 stacji, zbudowanych z żelaza i szkła. Otwarta w r. 1882 droga ta kosztowała 61 milionów marek.

Od 5 rano do północy przebiega każdą stację co godzinę w jedną i drugą stronę po 16 pociągów osobowych, które przewożą z górą 32 miliony podróżnych na rok.

Oprócz zysków z przewozu, kolej ta ma jeszcze dochód z wynajmowania swoich arkad na sklepy, warsztaty, składy, stajnie, piwiarnie. Jedną z takich podarkadowych instytucji jest sławna piwiarnia i restauracja „Zum Franciskanen”.

Mieści się ona pod kilkoma arkadami dworca Friedrichstrasse; ma przeszło 100 kroków długości, a ze 30 szerokości. Sklepione sale tej piwiarni ozdobione są ściennymi malowidłami, girlandami kwiatów, stylowymi meblami.

W dzień restauracja wygląda ponuro z powodu małego światła. Ma bowiem okna gotyckie złożone z grubych soczewek oprawnych w ołów.

Ta średniowieczna w oknach wydawała mi się trochę dziwną: nie jest bowiem rozsądnie psuć ludziom oczy dla utrzymania stylu budowli. Wnet jednak przekonałem się, że takie okna są bodaj niezbędnymi w lokalach mieszczących się pod koleją. W innym bowiem punkcie drogi Śródmiejskiej widziałem kuźnię ze zwyczajnymi szybami, które za każdym przejściem pociągu trzęsły się i prawie wszystkie były popękane.

VII

MIASTO, BUDOWA WEWNĘTRZNA

Szprewa i Śródmiejska kolej tworzą parę, która dość zgodnie przebiega Berlin. I kolej, i rzeka wpadają do miasta przez jego południowo-wschodnią granicę i w licznych skrętach dążą ku północy; przez kilka wiorst idą od wschodu na zachód; potem obie zawracają ku południowi i przez południowozachodnią granicę wychodzą z miasta.

Krótko mówiąc — przez Berlin biegną one od wschodu ku zachodowi łukiem mocno powyginanym.

We wschodniej stronie miasta, poniżej mostu Jannowitz, rzeka Szprewa dzieli się na dwa ramiona, które jakiś czas płyną niezależnie, a później znowu zlewają się razem.

Skutkiem tego rozdziału wód utworzyła się wysepka z 1i 1/2 wiorsty długa a z 500 kroków szeroka.

Wyspa ta jest jednym z najważniejszych organów niemieckiego społeczeństwa: na niej mieści się cesarski pałac i mieszka cesarz, w którym koncentruje się świadomość i osobistość państwa, j a państwowe...

Na północ od pałacu znajduje się ładny skwer zwany Lustgarten, a w nim ogromny posąg Fryderyka Wilhelma III. Zaś na północ od Lustgarten wznosi się chluba Berlina: Stare i Nowe Muzeum i Galeria Narodowa.

Dwie te instytucje reprezentują niby pamięć miasta, pamięć o sztuce. W Starym i Nowym Muzeum mieści się historia powszechna rzeźby i malarstwa począwszy od dzieł egipskich i greckich aż do naszych czasów. Zaś w Galerii Narodowej gromadzi się historia nowożytnej sztuki — wyłącznie niemieckiej.

Królewska ta wyspa łączy się z sąsiednimi ładami za pośrednictwem chyba 12 mostów, między którymi są dwa najznakomitsze. Jeden — most Cesarski prowadzi na wschód, drugi — most Zamkowy na zachód.

Na wschód od królewskiej wyspy leży kawałek miasta ze wschodu zamknięty wiaduktem Śródmiejskiej kolei. W tym kawałku znajdują się bardzo ważne organa społeczne, a mianowicie:

Ratusz, gdzie koncentruje się rozsądek, czyli zarząd miasta, gmach Prezydium Policji będącej pięścią miasta, Hala Centralna, która jest żołądkiem miasta ...

Tu wreszcie wznosi się gmach Giełdy, organu, który ma ułatwiać wymianę usług między ludźmi i sprawiedliwy podział społecznego majątku. Nie musi jednak dobrze spełniać obu tych funkcji, gdyż wszystkie rządy myślą dziś o kontrolowaniu giełdowych operacji.

Królewska wyspa i ta municypalno-handlowa dzielnica tworzą razem — miasto środkowe.

Obejrząwszy tutejsze osobliwości czytelnik może wrócić do Lustgartenu i wciąż idąc na zachód przejść most Zamkowy. W chwili gdy minąwszy go postawi nogę na twardej ziemi — będzie już jakby Unter den Linden — Pod Lipami.

Patrząc od mostu na zachód, mamy przed sobą prostą jak strzała, szeroką i długą ulicę. Składa się ona z trzech kawałków: placu Arsenałowego i placu Opery, które oba razem mają z 500 kroków długości, a kończą się konnym pomnikiem Fryderyka Wielkiego — i — ulicy Unter den Linden, która, długa na wiorstę, jest chyba półtora raza szersza od naszych Alei Jerozolimskich i wysadzona czterema rzędami lip niezbyt zresztą starych.

Ta ulica, a osobliwie jej część przylegająca do królewskiej wyspy, jest nasycona, przeładowana

instytucjami wielkiej doniosłości.

Przede wszystkim tuż przy moście stoją na lewo: pałac Komendantury Wojskowej, na prawo — Arsenał, a właściwie: muzeum pruskich zdobyczy wojennych. Są to niby dwa lwy pilnujące wejścia do cesarskiego zamku.

Dalej na lewo za Komendanturą stoi pałac następcy tronu, dalej Opera, a w głębi za nią kościół Św. Jadwigi. Za Operą jest drugi pałac cesarski z wielką Biblioteką Publiczną, a za nim gmach Instytucji Kredytowej Ziemskiej.

Zaś po prawej ręce, za Arsenalem, znajduje się Odwach Główny — siedziba siły zbrojnej, gotowej do natychmiastowego użytku, dalej — Uniwersytet i Akademia, dwa ogniska najwyższej mądrości w państwie, przynajmniej pruskim.

Na południe od Opery i Biblioteki ciągnie się ulica Margrafów a przy niej: rynek Żandarmski, na którym stoi teatr (cokolwiek podobny do naszego) między dwoma kościołami „Francuskim” i „Nowym”, z których każdy troszeczkę przypomina nasz kościół Św. Aleksandra.

Na północ od Arsenалу i Odwachu leży — Akademia Śpiewu i — Ministerium Finansów. Jeżeli zaś nadmienimy, że za pałacem Komendantury i następcy tronu, w sąsiedztwie pałacu żandarmskiego, znajduje się Bank Państwa i Mennica, które są jakby sercem handlu, to wypadnie, że bardzo ważne organa życia państwowego mieszczą się około wyspy królewskiej.

Właściwa ulica „Pod Lipami” rozpoczyna się za pomnikiem Fryderyka II. Na jej lewej (południowej) stronie mieszczą się: słynna kawiarnia Bauera, pasaż Panopticum, teatr Unter den Linden tudzież ambasady: ruska i angielska. Zaś po prawej, północnej stronie, zasługują na uwagę: Aquarium, Ministerium Spraw Wewnętrznych i ambasada francuska.

Ulica „Pod Lipami” kończy się na zachodzie placem Paryskim i bramą Brandenburską, za którą leży Thiergarten. Thiergarten jest to park mający ze trzy wiorsty długości i z wiorstę szerokości; bez przesady więc można go nazwać płucami Berlina.

W sąsiedztwie ulicy „Pod Lipami”, mianowicie na północ od niej, gęsto osiadły rozmaite instytucje/Wzdłuż Dorotheenstrasse, równoległej do Lindów, a oddalonej od nich na 200 do 300 kroków, posuwając się od wschodu ku zachodowi znajdujemy: Bibliotekę Uniwersytecką, chemiczne laboratorium, salę gimnastyczną, gimnazjum, kilka hotelów, lożę wolnych mularzy, gmach targowy, kościół Doroty, Akademię Wojenną, Instytut Fizyczny i Fizjologiczny i — jeszcze jedno gimnazjum. A wszystko to na długości półtorej wiorsty.

Powiedzieliśmy, że, ulica „Pod Lipami”, którą zaczyna most Zamkowy, kończy się na zachodzie bramą Brandenburską. Otóż stanąwszy za ową bramą zwróceni twarzą na zachód zobaczylibyśmy trzy drogi:

1) Droga środkowa zwana szosą Charlottenburską idzie przez środek Thiergartenu. Przecina się ona z koleją Śródmiejską, potem ze Szprewą i prowadzi dalej na zachód, do Charlottenburga.

Na lewo, czyli na południe od tej drogi, już w Charlottenburgu, leży wspaniały gmach Szkoły Politechnicznej.

2) Gdybyśmy za bramą Brandenburską skręcili na prawo, znaleźlibyśmy się na placu Królewskim. Na jego środku wznosi się kolumna Zwycięstwa wybudowana z francuskich armat i przypominająca wysoki a ciężki komin fabryczny.

Przy placu Królewskim na wschód, obok Szprewy, stoi nowy gmach niemieckiego parlamentu niby olbrzymia i wytworna bombonierka.

W północno-wschodnim kącie placu, także nad Szprewą, wznosi się surowy gmach sztabu generalnego, w którym przez szereg lat układano plany zadziwiających zwycięstw pruskich.

Wreszcie na prawo od sztabu a na północ od placu stoi na Szprewie most Moltkego, przez który

można dostać się do dworca kolei Śródmiejskiej, do Lehrter Bahnhofu.

Ale wróćmy jeszcze raz do bramy Brandenburskiej.

3) Droga na lewo, między Thiergartenem z jednej a ogrodami różnych ministeriów z drugiej strony, prowadzi do Lipskiego placu, skąd bierze początek ulica Lipska równoległa do Lindów.

Poznaliśmy trzy najważniejsze kawałki Berlina: miasto środkowe z królewską wyspą — ulicę Unter den Linden i — plac Królewski, który stanowi część Thiergartenu.

Jaki jest wzajemny stosunek tych części?

Bardzo prosty: ulica Unter den Linden jest jakby kładką, która idąc ze wschodu na zachód łączy wyspę królewską z Thiergartenem, respec. z placem Królewskim.

Ulica „Pod Lipami” długa na 1 i 1/2 wiorsty, na wschodnim krańcu ma most Zanikowy, a na zachodnim — bramę Brandenburską.

A jakież jest położenie rzeki i wiaduktu kolei Śródmiejskiej?

A oto ten: i rzeka, i wiadukt obiegają ze wschodu wyspę królewską, potem ciągną się na północ ulicy Unter den Linden i Thiergartenu, a nareszcie okrążają Thiergarten od strony zachodniej.

Lehrter Bahnhof, jeden z dworców kolei Śródmiejskiej, ma dwa znaczenia. Naprzód stoi naprzeciw gmachu generalnego sztabu, mostu Moltkego, kolumny Zwycięstwa itd., które względem niego znajdują się po drugiej stronie rzeki, na południe.

Po wtóre — tuż przy Lehrter Bahnhofie leży Park Wystawowy, Panorama Morska, instytut Urania, dalej na zachód leży sąd kryminalny, na północ — więzienie celkowe, a na wschód za wodą (port Humboldta) znajduje się Instytut Patologiczny Charite i baraki dla chorób zaraźliwych.

Również z dworca Lehrter, idąc przez ulicę Inwalidów ku północo-wschodowi, w odległości wiorsty leży grupa gmachów mieszczących: Muzeum Historii Naturalnej, Akademię Górniczą, Zakład Geologiczny Krajowy, a dalej: Akademię Rolniczą i jej piękne muzeum.

Każdy wreszcie dworzec kolei Śródmiejskiej ma jakieś, znaczenie.

Zacznijmy od wschodu.

Jannowitz Bahnhof stoi tuż nad Szprewą, obok przystani statków parowych pływających na wschód, w górę rzeki.

Aleksander Platz Bahnh. sąsiaduje z gmachem policji, Halą Centralną, panoramą Sedanu i Muzeum Higienicznym. Borse Bahnh. leży w pobliżu Giełdy, a także Nowego i Starego Muzeum i Galerii Narodowej. Dalej na zachód — Friedrichstrasse Bahnhof jest, zdaje się, geometrycznym środkiem Berlina.

O Lehrter Bahnhofie już mówiliśmy. Thiergarten Bahnhof leży blisko Szkoły Politechnicznej w Charlottenburgu, a Zoologischer Garten Bahnhof sąsiaduje ze szkołą artylerii i z Ogrodem Zoologicznym, który podczas lata ściąga tłumy spacerujących.

Kto by zapamiętał wymienione wyżej kierunki i punkty ten już dałby sobie radę z bardzo ważnymi częściami Berlina. Lecz wewnętrzny rozkład tego miasta posiada jeszcze parę osobliwości, o których zaraz powiemy.

Unter den Linden ciągnie się ze wschodu na zachód. Podzielmy tę ulicę na dwie prawie równe części i przez punkt podziału, równo oddalony od mostu Zamkowego i od bramy Brandenburskiej, przez ten punkt poprowadźmy bardzo długą, ulicę, prostopadłą do Lindów, z północy na południe.

To będzie Friedrichstrasse.

Friedrichstrasse rozciąga się na północ od Lindów przeszło na wiorstę drogi i w tym kierunku przecina kolej Śródmiejską i Szprewę. Ta sama Frydrychowska ulica biegnie jeszcze i na południe Lindów przeszło dwie wiorsty i wpada do placu Belle Alliance.

Idąc ulicą Frydrychowską wciąż na północ, a potem nieco ku zachodowi, moglibyśmy dojść

akurat do Akademii Rolniczej na ulicy Inwalidów.

Zaś idąc ulicą Frydrychowską na południe, w odległości tysiąca kroków od Lindów, spotykamy ulicę Lipską.

Jest ona równoległa do Unter den Linden, ciągnie się więc ze wschodu na zachód i ma przeszło 1 i 1/2 wiorsty długości. Mieszczą się przy niej, mianowicie w zachodniej połowie, takie instytucje jak: Ministerium Rolnictwa, Handlu, Wojny, Admiralicja, Izba Panów, Reichstag i Generalny Poczamt z bardzo ciekawym muzeum.

Dwie te ulice, Frydrychowską i Lipską, są podobno najruchliwszymi i najbardziej handlowymi w Berlinie. Przecinają się one ze sobą i tworzą krzyż, którego ramiona są zakończone placami. Ulica Frydrychowską, głowa krzyża, kończy się niby gałką placem Belle Alliance, a ulica Lipska, ramiona krzyża, kończy się placem Denhofa na wschodzie, a placem Lipskim na zachodzie.

Z placu Lipskiego rozbiega się kilka dróg w różne strony, a dosyć ważną jest ulica Konigratzka. Kto by szedł nią na północ, doszedłby do bramy Brandenburskiej. Kto zaś udałby się na południe, trafiłby do dworca Anhalckiego, a jeszcze pierwszej musiałby zawadzić o róg ulicy — Prinza Albrechta.

Jest to ważny róg, tu bowiem stoją dwa muzea — jedno: Etnograficzne, drugie: Przemysłowe, oba wielkiej piękności.

Teraz możemy streścić nasze spostrzeżenia o anatomii Berlina.

Ma on w ogólnych zarysach formę — głowy ludzkiej w kagańcu.

Pod względem rozkładu wewnętrznego, z tysiąca linii komunikacyjnych na szczególną uwagę zasługują rzeka Szprewa i kolej Śródmiejska; wzdłuż nich bowiem rozległy się najważniejsze części miasta.

Oprócz tego Berlin posiada trzy ważne ulice: Pod Lipami, Frydrychowską i Lipską. „Pod Lipami” jest droga, która łączy wyspę królewską z placem Królewskim, kolumną Zwycięstwa itd. Ulica zaś Lipska z Frydrychowską tworzą krzyż, którego podstawa osadzona jest w samym środku Lindów.

Przypadkowy krzyż w środku miasta hodującego tradycje krzyżackie, zaprawdę, jest to ciekawy zbieg wydarzeń!...

Jeżeli jeszcze przypomnimy Lehrter Bahnhof z otaczającymi go instytucjami i plac Lipski z sąsiednimi muzeami, to już czytelnik mógłby sobie dać radę z oglądaniem Berlina.

Przypatrzmy się bliżej ulicom.

Człowiek zamieszkały w mieście starym, które rozszerza się zwolna, często wyobraża sobie, że — ulica jest to miejsce puste między szeregami domów. O ile istnieją domy, o tyle istnieje ulica; bez nich nie ma jej.

Otóż w Berlinie można przekonać się, że ulica jest — czymś samodzielny, co może istnieć bez kamienic. Na przykład w południowej części Charlottenburga jest cała sieć ulic mających szosę do jazdy, chodniki, latarnie, drzewa, nawet kanalizację... Słowem wszystko — oprócz domów.

Na przecięciu się podobnych ulic stoją słupy jak u nas przy gościńcach drogowaskazy, do których są przytwierdzone wąskie a długie tabliczki szafirowe z białymi napisami oznajmiającymi nazwiska ulic.

Przed paroma laty jeden ze znajomych opowiadał mi, że pod Londynem można wśród pól znaleźć wyloty kanałów jak u nas na środku Warszawy.

Coś podobnego spotkałem pod Berlinem za wsią czy osadą Deutsch-Wilmersdorf.

Tam na polu kartoflanym, przy nędznej drożynie wiejskiej *leżała* żelazna tarcza zamykająca wejście do kanału...

Musiał gdzieś być i wodociąg, gdyż jakiś pan wcale porządnie ubrany napelniał wodą polewaczkę i skrapiał nią... zagony kartofli!...

Wyznaję, że pierwszy raz widziałem „porządnego pana”, który nie wstydził się ciężkiej roboty. I także pierwszy raz widziałem skrapiane pole. Nasi bowiem ludzie dopiero umieją martwić się, gdy susza niszczy im jarzyny. Ale podlewać! ... Na tak dziwny pomysł jeszcze u nas nikt nie wpadł.

Od tego Pan Bóg stworzył deszcz, ażeby pola były skropione.

Co do położenia ulic berlińskich, biegną one w rozmaitych kierunkach; przy bliższym jednak wpatrzeniu się można odkryć dwa układy.

Pierwszy, że dokoła miasta „środkowego” wiele ulic rozchodzi się promieniście, jakby np. wybiegały z Ratusza. Widoczne to jest szczególnie na wschód od miasta środkowego.

Drugi układ można by nazwać kratowym. Np. między Lindami i placem Belle Alliance znajdują się 4 ulice biegnące z północy na południe, które przecinają się z 11 ulicami idącymi ze wschodu na zachód i razem tworzą niby kratę.

W ogóle system krat przeważa w nowszych dzielnicach.

Co do wymiarów ulic, te bywają bardzo rozmaite. Ulica Rozmarynowa ma z 80 kroków długości, a Fyzylierska jest jeszcze krótszą. Są jednak i bardzo długie.

Unter den Linden ma 1 i 1/2 wiorsty długości przy 90 krokach szerokości. Friedrichstrasse, długa na 3 wiorsty, jest wcale wąską i w sąsiedztwie wiaduktu ma ze dwadzieścia parę kroków szerokości. Ulica Lipska przy półtorawiorstowej długości jest szeroka chyba na 30 kroków.

Szosa Charlottenburska ciągnie się przez Thiergarten 3 wiorsty i jest szersza od Alei Jerozolimskich. Ulica Berlińska w Charlottenburgu ma 2 wiorsty długości a 70 kroków szerokości, zaś Schlosstrasse, także w Charlottenburgu, jest chyba na 100 kroków szeroka.

Jak u nas tak i w Berlinie większość ulic składa się z dwu chodników dla ludzi pieszych i środkowego gościńca dla powozów. Ale bywają ulice i inaczej zbudowane, na przykład:

Unter den Linden składa się z następujących pasów, rozumie się, idących wzdłuż ulicy:

- 1) prawy chodnik dla pieszych,
- 2) brukowana ulica dla powozów,
- 3) aleja żwirowa pod drzewami dla pieszych,
- 4) gościniec cesarski, którym cesarz, zdaje się, nigdy nie jeździ,
- 5) droga miękka dla jeżdżących konno,
- 6) ulica brukowana dla jazdy kołowej,
- 7) lewy chodnik dla pieszych.

Razem więc ulica dzieli się na 7 pasów, z których trzy służą dla pieszych.

Ulica Berlińska w Charlottenburgu ma 4 rzędy drzew, a dzieli się na pięć pasów: dwa chodniki po 10 kroków, dwie aleje dla pieszych po 14 kroków i gościniec środkowy na 22 kroków szeroki.

Układ ten przypomina nasze Aleje Jerozolimskie.

Bardzo ładna jest ulica Zamkowa w Charlottenburgu. Dzieli się ona na 7 pasów: 1) chodnik, 2) ulica dla wozów, 3) chodnik, 4) skwer na 20 kroków szeroki, 5) chodnik, 6) ulica wozowa, 7) (zdaje mi się) znowu chodnik. Pas skweru z obu stron jest wysadzony drzewami.

Niewiele mogę powiedzieć o sposobie brukowania ulic. Na ogólną ich długość 300 do 400 (?) kilometrów — ósma część jest wylana asfaltem, mniej niż setna część posiada bruk drewniany, a zresztą wszystkie mają kamienną powierzchnię.

W policyjnych sprawozdaniach odróżnia się aż 9 klas bruków. Ja spostrzegłem tylko trzy klasy: zwyczajny bruk (ale gładszy aniżeli u nas) kostkowy — i — bruk z białego kamienia niby wapniaka.

Wspomniałem o czystości berlińskich ulic. Po kilkutygodniowym przypatrywaniu się im nie

pamiętam, ażebym kiedy spostrzegł słomę, mierzwę, patyki, gałgany, plwociny, potłuczone butelki, które u nas stanowią codzienny widok.

Zresztą pierwsze wrażenia są najcharakterystyczniejsze. Otóż, kiedy pierwszego dnia wyszedłem na Berlin z papierosem, byłem formalnie zakłopotany nie wiedząc, gdzie rzucić mundsztuk?... Zupełnie, jak gdybym był w salonie!...

Ten szacunek dla cudzych porządków może ochronił mnie od niejednej przykrości. Opowiadano mi, że raz w Berlinie stanął sobie na moście jakiś frant, jadł wiśnie, a pestki rzucał na most.

I gdy w ten sposób umieścił ostatnią pestkę pod nogami przechodniów, nie wiadomo skąd, jak duch Bańka wyszedł policjant; kazał roztrzepanemu niechlujowi pozbierać z mostu wszystkie pestki i — schować je do kieszeni! ...

Nie byłem przy tym. Historia ta jednak bardzo harmonizuje i z czystością Berlina, i z wszechwładztwem policjantów.

W jaki sposób utrzymuje się porządek na ulicach? Jest to pytanie o tyle ciekawsze, że obok berlińskich kamienic nie widziałem ani stróżów, ani ich miotłowej działalności.

Otóż zdaje mi się, że przede wszystkim porządną jest berlińska publiczność, która nie rzuca papierosów, kijów ani butelek na ulicę.

Po wtóre — zdaje mi się, że właściciele sklepów dbają o czystość przed domami. I jeżeli się nie mylę, widziałem raz, jak subiekt sklepowy w gorący dzień oblewał chodnik wodą z koneweczki.

Najwięcej jednakże dla czystości miasta robi specjalna komenda, o której zaraz powiem.

Aby zapobiec kurzowi, od d. 1 kwietnia do 1 października skrapia się wodą wszystkie ulice dwa razy, trzy, a nawet cztery razy dziennie.

Do operacji tej, którą u nas wykonywa straż ogniowa, w Berlinie znajduje się specjalna służba i oddzielne beczki.

Beczek liczy się 160. Są one *żelazne*, malowane na czerwono i mają 1.500 — 2.000 kwart objętości. W tyle ich znajduje się podziurkowana rura, skąd woda wypływa jak z przetaka i zrasza ulicę na szerokości sześciu kroków.

Przypatrywałem się raz takiej operacji. Na beczce zaprzężonej w jednego konia siedział człowiek niemłody, bardzo skromnie ubrany, z jakimś numerem czy napisem na czapce. Gdzie ulica była wilgotna, człeczyna jechał spokojnie; gdzie zaś był kurz, jegomość ów wołał na przechodniów, aby ich ostrzec, a następnie przyciskał rączkę umieszczoną przy koźle i — robił prysznic.

Sikawek ręcznych nie widziałem ani takich stróżów jak u nas, którzy nie odmawiają sobie przyjemności kropienia wodą przechodniów albo zamywania chodnika pod nosami bliźnich, z najwyższą złością.

Na operację zraszania ulic wychodzi w Berlinie w ciągu roku około miliona kubicznych metrów, czyli — około miliarda kwart wody... Bądź co bądź, skrapianie ulic znane jest i u nas. Za to, o ile wiem, nieznanie jest mycie ulic ani — zamywanie ich mechaniczne.

Myją się ulice asfaltowane. W tym celu naprzód — jedzie beczka, która obficie polewa asfalt wodą. Zaś za beczką postępuje trzech elegantów, którzy za pomocą długich listew, obłożonych kauczukiem i osadzonych na drągach, z połowy szerokości ulicy zgarniają błoto do kanału.

Co się zaś tyczy mechanicznej szczotki, przeżyłem z nią cały dramat.

Przede wszystkim ile razy wyszedłem z domu rano, uderzyła mnie czystość ulicy, na określenie której nie starczy wyraz: „zamykana”, gdyż ulica była raczej wyglansowana, wyfroterowana...

Niezbyt uważne nawet przypatrzenie się nauczyło mnie, że tego glansowania nie mogły dokonać ludzkie ręce. A zatem co?...

Pewnego wieczora, około g. 11, leżąc na łóżku usłyszałem dziwny szum ...

Każda machina ma swój język, którym opowiada o sobie światu: inaczej mówi młyn, inaczej młocarnia, inaczej lokomotywa, inaczej wóz z ciężarem, inaczej kariolka eleganta.

Otóż machina, którą usłyszałem wówczas, przemawiała tak oryginalnym językiem, że zaciekawiony pobiegłem do okna. I zobaczyłem wśród nocnej pomroki jakiś dziwny wóz niby żniwiarkę, która wnet usunęła mi się z oczu.

Schwyciłem, co było pod ręką, ażeby odziać się. Potem za klucze, aby wydostać się z domu ... Zanim otworzyłem drzwi na ulicę (w Berlinie i do tego nie ma stróżów), już moja machina zniknęła jak piękny sen ...

Zobaczyłem tylko na środku ulicy pasek śmieci szeroki może na pół łokcia i tak równy, jakby go wykreślili inżynierowie.

Z daleka zaś ujrzałem szeroki wóz z latarką zawieszoną między kołami i — parę ciemnych postaci, które dopuszczały się jakichś tajemniczych praktyk.

Figury te i ich rusztowanie, nędznie oświetlone z dołu, krok za krokiem zbliżały się w moją stronę. Więc i ja zebrawszy energię poszedłem naprzeciw nich i zobaczyłem, że to dwaj panowie zbierają łopatomi ów wąski pasek śmieci i wsypują je do wozu.

Oczywiście ten pasek śmieci ułożyła szczotka mechaniczna: zgarnęła je z całej ulicy i zsypała na środku z matematyczną dokładnością.

Od tej chwili niejedną wieczór spędziłem na wałęsaniu się po ulicach, ażeby nareszcie złapać szczotkę na gorącym uczynku. Ale ponieważ machina ta jest rodzaju żeńskiego, zatem — im więcej uganiałem się za nią, tym ona zrećniej wymykała się przede mną.

— Ha! — powiedziałem sobie w końcu — trudna rada. Już nie zobaczę szczotki mechanicznej.

W parę dni po tym akcie rezygnacji idę przez Charlottenburg w biały dzień ulicą Berlińską i — na rogu jakiejś bocznej uliczki widzę... moją szczotkę. Ona sama zastąpiła mi drogę!...

Zbytecznym byłoby dodawać, że żaden kochanek z czułością tak delikatną nie przypatruje się wdziękowi swojej ubóstwianej, z jaką ja oglądałem przedmiot długo nie spełnionych marzeń. I nie mogę nawet powiedzieć, ażebym był zadowolony, ażebym wszystko zrozumiał!

Szczotka mechaniczna jest to wózek o czterech kołach, zaprzęgnięty w jednego konia. W tyle wózka leży poziomo i ukośnie kilkołokciowy wał, gruby na człowieka, nabity pręcikami jak szczotka. Nad tylnymi kołami góruje siodełko, na którym siedzi woźnica; ten zaś nie tylko kieruje koniem, ale jeszcze za pomocą rękojeści — albo podnosi i unieruchamia szczotkę, albo zniża ją do poziomu bruku i puszcza w ruch obrotowy.

Widziałem szczotkę, kiedy jechała beczynn timer i widziałem, kiedy wał dotykał bruku, obracał się z szumem, zgarniał śmiecie na całej swej długości i zsypywał je na środku ulicy w wąski pasek.

Wszystko to widziałem, ale — po dziś dzień nie wiem, dlaczego śmiecie zbierane całą powierzchnią szczotki skupiają się w jednym jej końcu?

Jest to kwestia, którą może zechce rozstrzygnąć ktoś z naszych rodaków tak często wyjeżdżających za granicę.

Muszę dodać, że w Berlinie nie tylko ulice są czyste, ale nadto każdy plac kipi roślinnością. Prozaiczni bowiem Niemcy kochają się w roślinach i sadzą je, gdzie tylko znajdzie się miejsce i sposobność.

Mimo to znajdują się i w Berlinie zaułki, które trzeba obsypywać proszkiem karbolowym. I on jest inny tam aniżeli u nas: ma bowiem kolor czerwony ...

Przypatrzmy się ruchowi ulicznemu.

W r. 1892 było w Berlinie przeszło 300 kilometrów szyn kolei konnych, po których przewieziono tramwajami około 148 milionów osób. Ze zaś zwyczajne omnibusy miały 30 milionów podróźnych,

razem więc — tramwaje i omnibusy przewiozły 178 milionów osób.

Dodawszy do tego 32 i 1/2 milionów podróżujących koleją Śródmiejską otrzymamy, że:

W 1892 r. tylko wewnątrz miasta i tylko zbiorowymi powozami przejechało 210 milionów osób. A że Berlin liczył wówczas 1.700.000 mieszkańców, więc każdy berlińczyk odbył w ciągu roku około 123 podróży w towarzystwie.

Dorożek tegoż roku było w mieście około 5.800; wykonały one przeszło 500 tysięcy kursów do samych dworców kolejowych.

Dorożki berlińskie dzielą się na dwie klasy: II tańszą i I droższą. Pierwsza klasa ma na koźle aparat, który nie tylko oblicza długość przebytej drogi, lecz nawet obrachowuje: ile należy zapłacić dorożkarzowi?

Jechałem raz z taką maszyną i spostrzegłem, że w ciągu podróży dorożkarz zanadto często ... dotykał samoliczącego aparatu. Zresztą, może robił tak tylko przez roztrzepanie.

Oprócz tramwajów, omnibusów i dorożek przewożących osoby Berlin ma jeszcze instytucję do przewożenia pakunków. Jest to towarzystwo akcyjne, które posiada około 1.000 skrzynek listowych, przeszło 1.000 biur do przyjmowania paczek i 120 jednokonnych wozów.

W r. 1892 przewiozło ono 2 miliony paczek; cyfra zaś listów jest nieznaną.

Czytelnik zapewne spostrzeżł odróżnienie „tramwajów” od „omnibusów”.

Istotnie są to dwa odmienne rodzaje komunikacyjnych maszyn: tramwaj toczy się po szynach, omnibus po zwyczajnym bruku.

Tramwaje bywają jak u nas: letnie — otwarte, z kilkoma ławkami równoległymi do osi i zimowe — zamknięte, w których są tylko dwie długie ławy równoległe do dyszla powozu.

W tramwajach zamkniętych przejście między ławkami jest szersze aniżeli u nas. Nie ma też dwu klas, tylko jedna, a płaci się stosownie do odległości: za dalszą odległość cena wyższa.

Za pozwoleniem... W tramwajach zamkniętych bywa dwie klasy, ale druga mieści się na dachu wagonu i wchodzi się do niej po schodkach.

Omnibusy są to powozy duże, ale zgrabne i lekkie. Niektóre z nich mają miejsca na dachu i — na tejże wysokości kozioł dla woźnicy, obok którego znajduje się korba hamulca. I w tramwajach, i w omnibusach konduktor ma siedzenie w tyle powozu.

Wszystko to jeszcze nie wyczerpuje berlińskich środków komunikacyjnych. Często bowiem można widywać na ulicach wózki ciągnięte przez psy albo przez psa i człowieka tudzież — trójkołowe welocypedy, za pomocą których pewne sklepy odsyłają interesantom kupione przez nich drobiazgi.

Psie wózki i sklepowe trójkołowce służą do odgradzenia urządzeń komunikacyjnych prywatnych od tak potężnej instytucji, jaką jest — poczta państwowa.

Posiada ona w samym Berlinie 119 biur do przyjmowania listów, 10 do telegramów, 116 do paczek, 44 do poczty rurowej vel powietrznej i około tysiąca skrzynek do listów.

W r. 1892 odebrano i wysłano 6 milionów depesz, 284 miliony listów i kart pocztowych i 262 miliony egzemplarzy gazet. Wartość zaś nadeszłych i wysłanych listów i paczek dosięgała cyfry około 3 miliardów marek! ...

Do poczty należą telefony.

W r. 1892 było w Berlinie 21.000 aparatów, dla związania których zużyto 47 tysięcy wiorst drutów(!). Przeprowadzono zaś rozmów 98 milionów...

Że elektryczność wielką odgrywa rolę w tym mieście, dowodzi tego ilość drutów. W jednym miejscu narachowałem 32 druty telegraficzne, w innym — kilkaset drutów telefonicznych ...

Biura pocztowe, skrzynki pocztowe, telegrafy, telefony i tym podobne rzeczy mieć można

wszędzie. Berliński jednak urząd pocztowy posiada dwie osobliwości. Naprzód — genialnego dyrektora Stephana, który dla niemieckich poczt zrobił mniej więcej to, co Bismarck dla polityki, a Roon dla armii. Po wtóre — ma Muzeum Pocztowe, urządzone w gmachu pocztowym (ul. Lipska) przez tegoż dyrektora Stephana.

Muzeum mieści się na parterze, a choć zajmuje zapewne kilkanaście sal (dobrze nie pamiętam) czuć, że jest ciasno.

W muzeum znaleźć można prawie wszystko, co w biegu dziejów odnosiło się do urzędzeń pocztowych, poczynając od staroegipskich czółen, asyryjskich wozów, indyjskich szybkobiegaczy aż do dzisiejszych wagonów pocztowych, telegrafów, telefonów, a nawet fonografu.

Wszystko to, rozumie się, jest uporządkowane z niemiecką systematycznością, dzięki której przed okiem widza roztacza się nie tylko wewnętrzny mechanizm, ale i historyczny rozwój środków i sposobów łączenia ludzi między sobą.

Pierwszym łącznikiem jest pismo: mamy więc próbki pisma egipskiego, klinowego, greckiego, chińskiego ... Przy czym okazuje się, że ludzie używali rozmaitych materiałów na listy: papyrusów, liści palmowych, skóry, nawet cegieł.

Jakimi drogami przesyłano i przesyła się listy? Niekiedy bezdrożną pustynią piaszczystą lub śnieżną, zwykle jednak gościńcami, szosami, rzekami, morzem, kolejami żelaznymi, a czasami i powietrznym szlakiem.

Jakich używa się motorów? Także rozmaitych. List niesie pieszy człowiek albo konny posłaniec, albo pocztarek na wozie. Można go też posyłać: wielbłądem, sankami ciągnionymi przez psy lub reny, lokomotywą. Niekiedy listonoszem bywa gołąb, a niekiedy balon albo silny prąd powietrza w rurze.

Po motorach należy się miejsce: torbom i skrzynkom pocztowym, furgonom, wagonom, statkom i trąbkom. Po nich trzeba pokazać ciekawym wewnątrz biur pocztowych, ba! nawet modele gmachów. Nie podobna też pominąć ubioru urzędników i oficjalistów, spośród których pocztylioni w różnych krajach nosili szaty najrozmaitszych barw: czarne, zielone, czerwone, żółte, niebieskie ...

Wszystkie te szczegóły są albo oryginalne, albo przedstawione za pomocą modeli wykonanych bardzo starannie i mogących funkcjonować.

Dwie rzeczy utkwiły mi w pamięci z owego muzeum.

Pierwsza — sposób odbierania i oddawania worków pocztowych pędzącym pociągom.

Wyobraź sobie, czytelniku, że twój znajomy jedzie bryczką na północ. Stajesz więc przy drodze, wyciągasz rękę na północ, a na rękę jak na kiju wieszasz koszyk z listami, gazetami itd.

Sąsiad nadjeżdża, wyciąga laskę, wkłada ją w pałaczek i zsuwa z twojej ręki koszyk, wcale nie zatrzymując wozu. Owszem, właśnie dlatego może zdjąć koszyk, że jego bryczka jechała.

W podobny sposób ty od jadącego sąsiada mógłbyś wziąć koszyk. Tym razem on musiałby wyciągnąć rękę na południe i lekko zawiesić na niej ciężar. Ty zaś w chwili, gdy mija cię bryczka, wsadziłbyś laskę w kablączek koszyka, który zsunąłby się na nią z ręki sąsiada.

Na tej zasadzie pociągi angielskie (i podobno amerykańskie) nie zatrzymując się oddają i zabierają poczty.

Na stacji znajduje się drogowskaz niby człowiek z rozkrzyżowanymi rękoma. Stacja wiesza pocztę na tej ręce, która idzie z biegiem pociągu, a wagon pocztowy zdejmuje ją drążkiem.

Na odwrót — wagon pocztowy ma ramię skierowane ku końcowi pociągu, na nim wiesza pocztę, a drążek stacyjny zgarnia ją.

Drugą ciekawością muzeum jest poczta rurowa, czyli powietrzna.

Nie ma chyba czytelnika, który by kiedy nie strzelał z dmuchawki. Jest to rurka szklana lub

metalowa; do niej wkłada się np. ziarno grochu, dmucha się i ziarno wylatuje ze znaczną siłą.

Wyobraźmy sobie rurę długą na kilka wiorst. Do tej rury wkłada się metalowe pudełeczko (formy walcowatej) z listami i dmucha się, choćby za pomocą silnego miecha. Wówczas pudełko przesunie się na drugi koniec rury z szybkością wiorsty na minutę i — przeniesie zamknięte w nim listy.

Poczta rurowa miała w Berlinie 44 stacje w r. 1892 i — o ile wiem — cieszy się dużą popularnością. Rury, którymi przesuwały się korespondencje, są zakopane w ziemi.

Na zakończenie o pocztach dodam, że Muzeum Pocztove berlińskie należy do tych instytucji, które warto obejrzeć. Czy miejscowa publiczność ocenia je, jak należy? nie śmiem twierdzić. Prawda, że będąc tam, zastałem kilkadziesiąt osób; wszystkie one jednak skupiały się w Sali, gdzie śpiewał i krzyczał fonograf...

Numeracja domów w ulicach berlińskich jest inna aniżeli w Warszawie. U nas po jednej stronie ulicy są numera nieparzyste, po drugiej parzyste. W Berlinie zaś numer idzie za numerem zawsze „po prawej ręce”.

Przypuśćmy, że wchodzisz pan w naszą ulicę Miodową od strony Senatorskiej. Stajesz tedy na „prawym” chodniku i widzisz numer domu 1, za nim 2, 3... aż do Placu Krasińskich.

Przypuśćmy, że na ostatnim domu z prawej strony był nr 25. Wówczas przechodzisz na drugi chodnik, który znowu będzie „prawym” jeżeli zwrócisz się twarzą do ulicy Senatorskiej. I po tej „prawej stronie” Miodowej znajdziesz numera: 26, 27, 28... aż do 50, który będzie stał naprzeciw pierwszego.

Słowem, że u nas chcąc widzieć „kolejne” numery domów trzeba by przebiegać z jednej strony ulicy na drugą; zaś w Berlinie, trzeba zawsze tylko iść prawą stroną.

No — a jakież bywają nazwiska ulic?

W każdym razie charakterystyczne. Dzięki nim, Berlin niby streszcza w sobie Niemcy i ich cywilizację obok politycznej historii Prus.

Mamy tedy naprzód nomenklaturę geograficzną, a więc ulice: Drezdeńską, Norymberską, Karlsbadzką, Paryską, a nawet Warszawską... Następnie nazwy królewskie i książęce: Frydrychowską, Wilhelmowską, Augusty, Prinza Albrechta ...

Potem nazwy militarne: Artyleryjska, Kanonierska, Grenadierska, Dragońska ...

Nie brak też nazwisk znakomitych generałów i dyplomatów: Bluchera, Moltkego, Steinmetza, Bismarcka ... Ani miejscowości słynnych pruskimi i niemieckimi zwycięstwami: Waterloo, Belfort, Sedan, Metz, Nachod...

Obok tego jednak berlińczycy pragną czcić wielkich mężów niemieckich, skutkiem czego mamy ulice: Goethe, Schiller, Lessing, Kant, Schlegel, Scrllemann, Virchow, Luther, Melanchton, Liebig itd.

Ale ponieważ społeczeństwo nie może wiecznie stąpać po wyżynach: polityki, wojny, poezji i filozofii, więc pomiędzy przesławnymi nazwiskami znajdują się i sielankowe: Lipowa, Akacjowa, Kasztanowa, albo ulica Zofii, Luizy, Amelii...

Wszystko, o czym mówiliśmy dotychczas, odnosiło się do „powierzchnowości” Berlina. Obecnie spróbujemy streścić i uzupełnić ten pierwszy rzut oka.

Otóż, kiedy chodzi o zarysy ogólne, Berlin jest miastem płaskim jak Warszawa; co znaczy, że jego ulice nie idą na dół i pod górę, ale wciąż poziomo. Ja przynajmniej dopiero za Charlottenburgiem widziałem ulicę Spandawską, wspinającą się pod górę jak nasza Bednarska, lecz znacznie wyżej. W połowie bowiem swej wysokości przechodzi nad plantem kolei żelaznej.

Dalej — Berlin jest znakomicie bogatszym od Warszawy. Widać to po jego ludności czysto i zamożnie ubranej, po strojach kobiet w Zoologicznym Ogrodzie (miejsce spacerowe jak u nas Ogród

Botaniczny), wreszcie po domach.

Domy berlińskie są wyższe od naszych, są budowane jeżeli nie z kosztowniejszych to z pewnością z lepszych materiałów i mają daleko więcej ornamentów aniżeli nasze.

W ogóle w Berlinie każdy kwadratowy sążeń czy to ściany, czy chodnika, czy bruku jest zrobiony starannie i ładniej aniżeli u nas. Ozdoby te są logicznie połączone między sobą.

Dalej, Berlin jest — zdrowszy i jako miasto, i jako społeczeństwo. Nie widziałem tam potrzaskanych chodników, zapadniętych bruków, spękanych, odrapanych albo zawilgoconych domów.

I większość ludzi odznacza się daleko zdrowszą cerą i energiczniejszymi ruchami aniżeli warszawiacy.

Dalej — w Berlinie jest dużo natury skutkiem wielkiej obfitości drzew, krzaków, gazonów, kwiatów, za pomocą których ogrodnicy tamtejsi nie tylko upiększają miasto, ale wypowiadają, wyśpiewują całe poematy.

Jest to rzetelna przyjemność znaleźć się np. w parku Charlottenburskim albo choćby przez kratę zaglądać do małego, prywatnego ogródka, w którym z widocznym zamiłowaniem oczyszcza i podlewa rośliny sam „pan” domu...

Co się tyczy ulicznego ruchu, jest on naturalnie większy aniżeli u nas, ale nie o tyle, jak można by przypuszczać. Ludność Berlina jest przeszło 3 razy liczniejszą od naszej, lecz ruch nie jest potrójny.

Pewnej niedzieli o trzeciej po południu na Friedrichstrasse rachowałem przejeżdżające wozy, w obu kierunkach wypadło mi, że przesuwa się tamtędy 9 powozów, dorożek, dyliżansów itd. na minutę.

Powróciwszy do Warszawy zrobiłem takiż rachunek na Nowym Świecie, także w niedzielę, o 3 po południu i naliczyłem na minutę 5 powozów.

Co się tyczy pieszych, tych innej niedzieli mijają mnie na Nowym Świecie 40 na minutę i tylko na jednym chodniku. Lecz jest to ruch chwilowy, ruch ludzi wychodzących z kościoła. Takiego jednak — na codzień — nie posiada żadna z ulic Berlina, może — środkowe bulwary paryskie ...

W ogóle jednak nigdzie nie ma tylu włóczykijów tułających się bez celu — jak u nas. Gdzie indziej interes wypędza ludzi na ulicę; u nas — nudy w domu i potrzeba zabicia czasu.

Ostatnia uwaga dotycząca Berlina będzie ta, że miasto szybko rośnie i zawsze jeszcze długo będzie się powiększać. Kiedy patrzyłem na całą sieć ulic już skanalizowanych, oświetlonych, wybrukowanych, choć nie zabudowanych; kiedy widziałem po kilkanaście nowych domów wznoszących się na jednej ulicy, a nareszcie — kiedy pomyślę o obszernych równinach otaczających Berlin, przypuszczam, że to miasto w ciągu 20 lub 30 lat będzie miało trzy miliony ludności.

Chyba, że zaszłyby jakieś nadzwyczajne zdarzenia.

A teraz — znowu małe pro domo sua.

Od czasu gdy piszę „Kartki z podróży”, uległem prawie powszechnej nienawiści czytelników. Nieznajomi chcieliby mnie wysadzić w powietrze, znajomi przestali mi się kłaniać, a przyjaciele obsypawszy głowy popiołem wymyślają mi, na czym świat stoi.

Słowem — na kogokolwiek spojrzę, widzę w jego twarzy krwawymi głoskami wypisany wyrok tej treści:

— Biedny Prus, zmarnował się!... Już pisuje nudne artykuły ...

Kiedy widzę podobne miny i słyszę ludzi błagających mnie, ażebym „pisał z humorem”, zazdroszczę Jeremiaszowi.

Bo co tak przeraża, co tak boli, co tak nudzi tych panów?..; To — że znalazł się Polak, który śmie opisywać Berlin w sposób, o ile można, dokładny.

Światły Anglik albo Niemiec wzruszyłby ramionami na tę dokładność. Ale dla brata Polaka jest ona nawet zabójczą...

Cóż to bowiem za występki, co za upadek umysłowy opisywać na przykład, jak miasto jest zbudowane wewnątrz? Które jego ulice są ważne — i jaki kształt formują razem? ...

Postaram się wytłomaczyć.

Zapytajcie młodego studenta czy rzemieślnika, a choćby tylko uważnego turystę, jaka to przykrość znaleźć się w wielkim mieście, którego człowiek nie zna i nie rozumie, o którym nie wie nie tylko, gdzie czego szukać, ale — gdzie jest rdzeń, kręgosłup miasta?

Otóż, starałem się tak opisać Berlin, ażeby czytelnik od razu poznał główne arterie i ich wzajemny związek, ażeby — „miał w głowie plan miasta”.

Tego nie daje *żaden* przewodnik po Europie ...

Po wtóre chodziło mi o to, ażeby rozważnemu turyście polskiemu wskazać: na co powinien zwracać uwagę, przy zwiedzaniu miast?

Ja sam kiedyś słyszałem zdanie, że Berlin ma tylko jedną ciekawość: kawiarnię Bauera!... Następnie jednak przekonałem się, że jest to las osobliwości, w którym można zobaczyć wiele rzeczy nowych i wiele się nauczyć.

Tych, którzy w spacerach po Europie nie szukają „cywilizacji”, ale „wrażeń”, nie nawrócę do moich poglądów. Ale tobie, zwyczajny Polaku, który pragnąłbyś czego dowiedzieć się, tobie radzę — czytaj z największą uwagą właśnie to, co wyda ci się najnudniejszym.

Świat, niestety! jest tak urządony, że nawet dla wydobycia kawałka chleba musimy przewracać całe zagony ziemi. Jednym zaś z wielkich nieszczęść naszych jest to, że my znamy świat — tylko z „wrażeń”...

LUDNOŚĆ CECZY OGÓLNE

Dotychczas mówiliśmy o budynkach i ulicach, czyli — o kamiennej skorupie, w której mieści się istota „nad-organiczna”, zwana miastem. Obecnie zwrócimy uwagę na właściwą substancję żyjącą tej istoty, na ludność. Osoby, które jeździły balonem, utrzymują, że patrząc na tłum ludzki z wysokości kilkuset metrów, już nie rozróżniamy osób pojedynczych, lecz widzimy dużą plamę, którą tworzy cały tłum i — mniejsze plamki i nitki, czyli rozmaite grupy tego tłumy.

Statystyka w gruncie rzeczy nie jest niczym innym, tylko — Jakby oglądaniem ludzkiego rodu z wysokości kilkuset metrów. Prawda, że dla podobnej obserwacji znikają jednostki ze swymi uczuciami i interesami; w zamian jednak ukazuje się „całość społeczeństwa” i jej rozmaite części składowe w najogólniejszych zarysach.

Z iluż tedy jednostek składa się ludność Berlina? W tej chwili jest ich przeszło 1.800.000. Gdyby więc ustawić owych ludzi jednego przy drugim, utworzyliby „plamę” mającą niecałe dwie wiorsty kwadratowe powierzchni.

„Ludzka plama” tworząca Berlin nie zawsze była tak wielką. W r. 1840 liczyła ledwo 323.000 jednostek, które ustawione przy sobie zajęłyby powierzchnię 66 morgów; zaś w roku 1892 liczyła już 1.657.000, co odpowiada powierzchni jednej wiorsty kwadratowej i 132 morgów.

Zatem „plama” ludnościowa berlińska nieustannie rosła i w ciągu pół wieku powiększyła się 5 razy.

Przyrost ten jednak nie dokonywał się równomiernie: niekiedy słabnął, ale niekiedy potęgował się z zadziwiającą siłą. I tak:

Między latami Ludność wzrosła o

1840 — 1850 30%

1850 — 1860 18%

1860 — 1870 57%

1870 — 1880 47%

1880 — 1890 40%

Z liczb tych można by wnioskować, że — stolica Prus i Niemiec karmi się wojnami i tyje przez wojny; największy bowiem przyrost ludności miał miejsce między 1860 i 1880 rokiem, po trzech wojnach, prawda, że zwycięskich ...

W każdym wypadku Berlin jest miastem, które rośnie szybko i energicznie, co jest dowodem sił i zdrowia.

Już wspomnieliśmy, że pod względem budowlanym najcharakterystyczniejszą różnicą między wsią i miastem jest wielka obfitość arterii komunikacyjnych, ulic. Mianowicie w mieście jest kilkaset razy więcej ulic aniżeli na wsi.

Podobnie rzecz się ma z ludnością.

W całych Niemczech na 1 kilometr kwadratowy przypada 91 ludzi; tymczasem w Berlinie na takiej samej przestrzeni żyje 28.000 ludzi, czyli 300 razy więcej.

Gdy więc na wsi na jednego człowieka przypada 2 morgi ziemi, w Berlinie na jednostkę przypada około 40 metrów. Gdy na wsi człowiek od człowieka jest oddalony średnio na 150 kroków, w mieście ledwo na 9 — 10 kroków.

Stąd na wsi człowiek ma dokoła siebie więcej natury i częściej z nią przestaje; zaś w mieście bez

ustanku ociera się o ludzi. Na wsi jego praca i szczęście zależą od zjawisk przyrody, w mieście od bliźnich, którzy co chwilę mogą pomagać mu lub przeszkadzać, dobrze radzić albo oszukiwać.

Powiedzieliśmy, że masa ludzka Berlina ustawiona gęsto, zajęłaby około 2 wiorst kwadratowych powierzchni.

Czy masa ta jest jednolita? czy nie przedstawia żadnych różnic?

Przeciwnie — różnic jest dużo i bardzo rozmaitych.

Przede wszystkim ludność rozpada się na dwie olbrzymie grupy: płeć męską i płeć żeńską. Liczebny zaś stosunek między nimi jest taki, że na 100 mężczyzn przypada 110 kobiet.

Lecz nie zawsze tak było. Na przykład w r. 1840 na 100 mężczyzn przypadało tylko 91 kobiet.

Przewaga mężczyzn utrzymała się w ciągu 28 lat; dopiero w r. 1869 na 1870 liczba kobiet dorównała liczbie mężczyzn i od tej pory kobiety wzięły górę.

Następny podział wskaże liczbę jednostek należących do rozmaitego wieku. I tak stanowią w Berlinie:

dzieci do 10 lat 20%
ludności
wyrostki od 10 — 15 lat 8%
młodzież od 15 — 20 lat 9%
dojrzały od 20 — 50 lat 52%
starsi nad 50 lat 11%
Połowę zatem mieszkańców tworzą ludzie w sile wieku, przeszło trzecią część dzieci i młodzież, a ledwie dziewiątą część ludzie starsi.

Miasto więc wygląda dzielnie i młodo, albowiem na 9 ludzi w zaraniu lub w sile życia trafia się jeden mający prawo do siwizny.

Jak w czasie przyboru rzeki mamy dwa ruchy: nieustanne wznoszenie się poziomu wody i — falowanie jej powierzchni, tak w rozwoju ludności miejskiej widzimy dwa zjawiska. Jednym jest ciągle powiększanie się ludności, drugim — jej falowanie z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc.

Falowanie to zależy od — urodzin i śmierci, od przybyłych do miasta i wyjeżdżających z niego. Na przykład między rokiem 1891 i 92 miało miejsce:

urodzeń 3%

przyjazdów do miasta 11%

wyjazdów z miasta 9%

śmierci 2%

W tym więc roku miasto zyskało:

skutkiem przewagi urodzonych nad zmarłymi: 1 %, skutkiem przewagi przyjezdnych nad tymi, którzy wyjechali: 2%, razem trzech ludzi na każdą setkę mieszkańców, co w stosunku do 1 i 1/2 miliona ludności, daje 45 tysięcy osób przyrostu.

Cyfry powyższe odsłaniają wewnętrzny mechanizm powiększania się ludności berlińskiej.

Śmiertelność Berlina — 21 zmarłych na każdy 1.000 mieszkańców — wcale nie jest wielka. Opierając się na niej można by przypuścić, że berlińczycy żyją przecięciowo po 48 lat, co nazywa się dobrą cyfrą.

W każdym razie śmierć nie oszczędza nawet... berlińczyków; umierają zaś oni z powodu aż 138 rozmaitych chorób!... Najwięcej ofiar zabierają: suchoty płucne (4.042 ofiar), a dalej: zapalenie płuc, cholera (w r. 1892), słaba kompleksja niemowląt, rozmaite kurcze (?), dyfteryt, rak, zgrzybiałość, wada serca, a nareszcie — zapalenie żołądka i kiszek (959 ofiar).

Wróćmy jednak do podziału na grupy ludności berlińskiej. Poznaliśmy dwie kategorie różnic: różnicę płci i różnicę wieku. Obie one opierały się na cyfrach dokładnych. Następujące zaś kategorie ludności obrachowywałem sposobami ubocznymi, cyfr bowiem bezpośrednich nie posiadam.

Jakież są na przykład grupy wyznaniowe w Berlinie? Otóż, w braku liczb dokładnych — można przypuścić, że jest:

ewangelików około 84%

katolików 14%

izraelitów 4%

Zdaje się jednak, że wśród powyższych grup jakieś 10% do 13% można zaliczyć do — bezwyznaniowców.

Widzimy z powyższego, że Berlin jest miastem stanowczo protestanckim, a po wtóre, że izraelitów jest w nim bardzo niewiele, gdybyśmy chcieli porównać go np. z Warszawą, gdzie liczba izraelitów dosięga 30%

Masom żydowskim bez względu na ich pociąg do niemczyzny Berlin nie służy. Chociaż ci, którzy tam są, zajmują poważne stanowiska, albowiem liczba izraelitów w gimnazjach jest 5 razy, a izraelitek w wyższych szkołach żeńskich 8 razy większa aniżeli wśród ogółu.

Mają widać nie tylko pieniądze, ale, — i ochotę do nauki.

Czymże zajmuje się ludność Berlina i w jakim stosunku dzieli się między rozmaite gałęzie pracy?

I na tę odpowiedź brakuje cyfr dokładnych, dam więc tylko przypuszczalne, oparte na rachunku pośrednim.

Według tej hipotezy dzieliłaby się ludność Berlina na trzy grupy.

I. Inteligencja i urząd stanowi — 7i 1/2% ogółu.

II. Pracownicy specjaliści — 60%

III. Niespecjaliści — 32%.

Bliższe rozejrzenie się w tych wielkich konarach pracy daje następujące rozgałęzienia:

I. Inteligencja. Sztuką, nauką, służbą bożą zajmuje się — 2%; opieką nad zdrowiem — 1%; do zarządu sprawiedliwości należy 3%; do armii i floty 1%. W końcu, rentierzy i emeryci stanowią 1/2% ogółu mieszkańców.

Ten skromny pół procent daje jednak cyfrę 9.000 osób!...

II. Pracownicy specjaliści. Rolnicy, ogrodnicy, rybacy, górnicy, kamieniarze i grabarze stanowią razem w Berlinie 1%; pracujący około żywności 4%; pracujący przy gospodach, hotelach itp. 3%. Obróbką metali zajmuje się 7%; w komunikacji lądowej i wodnej służy 5%; w budownictwie 7%. Nad odzieżą i czystością pracuje 9%; nad machinami i narzędziami 2%, tkaczów jest 1%.

Nareszcie rozmaici inni rzemieślnicy tworzą 12%, a handlem zajmuje się 9%.

Tu znowu widać kolosalną różnicę między wsią i miastem choćby tylko w pierwszej grupie pracowników. Rolnicy, górnicy itp. na prowincji stanowią prawie 47% ludności, gdy w Berlinie jest ich tylko 1%!...

Niech zaś kto nie sądzi, że Berlin nie posiada autentycznych rolników i rolnictwa. Owszem, w r. 1892 miasto miało 340 morgów pod sianem łąkowym, 420 morgów pod żytem, 300 morgów pod kartoflami itd. Gospodarowano zatem, ale o ileż skromniej aniżeli na prowincji...

III. Pracownicy bez specjalności zajmujący się usługami osobistymi wśród ogółu mieszkańców tworzą 6%, wyrobnicy 20% i — ludzie bez oznaczonego zajęcia 6%.

Tu, na polu pracy, występuje duża różnica między mężczyznami i kobietami. Podczas gdy mężczyźni pracują w 19 rozmaitych gałęziach zajęć, kobiety — zaledwie w dwu wyraźnych, a trzech niewyraźnych.

Pracujące nad odzieżą i czystością stanowią 32% ogółu kobiet; usługami osobistymi zajmuje się 24%. Wyrobnice tworzą 11%, pracownice bez określonego zajęcia — 24% i — wszelkie inne — 9%.

Wracając do rozmaitych grup pracujących w Berlinie, powtarzam, że cyfry przytoczone są tylko prawdopodobnymi. Otrzymałem je z ubocznych źródeł w zamian jednak źródła te pozwolą w

najogólniejszych zarysach wskazać, które grupy ludności berlińskiej należą do zamożnych, a które do proletariatu.

Otóż — mamy pod ręką cyfry dotyczące małżeństw, urodzin i śmiertelności ludzi różnych zajęć. Wszystkie zaś owe grupy, ze względu na dobrobyt, można podzielić na dwie kategorie:

Pierwszą będzie ta, wśród której małżeństwa i narodziny zdarzają się częściej aniżeli wypadki śmierci. Druga zaś ta, wśród której na odwrót — częściej występuje śmierć aniżeli wesele lub narodziny.

Otóż do tej drugiej grupy należą

Procenta:

Małżeństw Urodzin Śmierci

Wśród pracujących nad odzieżą i czystością 9% 9% 10%

Wyrobników 15% 18% 20%

Nieokreślonego zajęcia 1/2% 1/2% 10%

Trzy powyższe klasy już można *zaliczyć* do proletariatu. I gdyby z zewnątrz nie napływali do nich nowi ludzie, klasy te musiałyby wyginać: mają bowiem więcej umierających aniżeli rodzących się.

Ale najędźniejszym jest los kategorii „nieokreślonego zajęcia” (która w naszym na przykład społeczeństwie jest bardzo liczną!...). Ta bowiem klasa na jednego urodzonego daje 20 zmarłych...

Trzeba dodać na zakończenie rozdziału, że Berlin posiadał w 1892 roku — około 23 tysięcy osób żyjących z jałmużny. Z tysiąca zatem mieszkańców Berlina 13 musi oglądać się na cudzą pomoc. Miasto wydaje na nich blisko 3 i 1/2 milionów marek rocznie, no — ale za to nie ma ulicznej żebraniny.

Gdyby teraz chodziło o ogólne scharakteryzowanie Berlina pod względem ludności, powiedzielibyśmy, że — jest to wielkie miasto, które szybko rośnie.

Wielkie miasto!... Słowo to przypomniało nam, że jakkolwiek świat posiada setki miast mniejszych od Berlina, ma jednakże i trzy większe, a mianowicie:

Londyn, który liczy przeszło 5 i 1/2 milionów ludności, Paryż mający 2 miliony 800 tysięcy i New York (w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej) z 2 milionami 700 tysiącami mieszkańców.

Cyfry te wskazują, że aczkolwiek Berlin należy do najwyższych szczytów w ludzkości, to jednak jest jeszcze kilka takich, które mocno go przerastają. Sam Paryż jest 1 i 1/2 raza, a Londyn — trzy razy liczniejszy od Berlina. Jeżeli więc od wojny francuskiej stolica Niemiec pod względem politycznym odgrywa rolę słońca, do którego ruchów stosuje się kilka innych państw, to rola ta nie odpowiada jego społecznym i ekonomicznym siłom. Berlin jest z pewnością wielkim ogniskiem cywilizacji, ale nie największym i ma przed sobą inne potęgi. Berlin należy do miast „wszechświatowych”, ale nie zajmuje między nimi pierwszorzędnego stanowiska.

CHARAKTER LUDNOŚCI.

[część pierwsza]

Na mocy tego, co powiedziało się dotychczas, czytelnik może już w najogólniejszych zarysach scharakteryzować Berlin.

Z wyżyn statystyki, niby z łódki balonu, patrzyliśmy na berlińską ludność, która na powierzchni naszego globu mogłaby uformować płamę mającą dwie wiorsty kwadratowe powierzchni.

Plama ta składa się z wielu odcieni, na mocy których możemy określić Berlin jako miasto — protestanckie, w którym przeważają kobiety, miasto zdrowe, szybko rosnące, bardzo ruchliwe itd.

Jest to więc charakterystyka zbiorowiska ludzkiego, organicznej całości zwanej „miastem”.

Teraz zniźmy nasz balon i wysiadźmy z niego, ażeby wejść między ludzi i przypatrzeć się — już nie gromadom, ale pojedynczym osobom. Przypatrzeć się zaś nie tylko ich postawom i fizjognomiom, ale nawet duszom.

Takie obserwacje pozwolą nam przynajmniej do pewnego stopnia zdefiniować ów materiał, z jakiego jest zbudowane społeczeństwo berlińskie.

Poprzednio oglądaliśmy cały gmach, teraz zobaczymy jego cegły; pierwaj widzieliśmy całą istotę żyjącą, zwaną „ludnością miejską”, teraz zobaczymy pojedyncze komórki tego organizmu.

— Ależ to będą niesłychanie powierzchowne obserwacje! — zawoła czytelnik. — Jeżeli dla poznania jednego człowieka trzeba zjeść z nim beczkę soli, ileż należałoby zjeść kopalń soli dla poznania blisko dwu milionów ...

— Prawda — odpowiadam — ale jednak — spróbujmy... Mimochodem wspomnę, że dawniej ludzie, nawet bardzo poważni i dostojni, nie robili ceremonii z określaniem charakteru narodów. Na dowód czego przytoczę kilka opinii dotyczących przeszłości Berlina.

W r. 1779 pisał do Jakobiego Georg Forster:

„Aż do chwili obecnej mylnie oceniałem wasze miasto; jego zewnętrżność jest wprawdzie piękniejsza, ale za to wewnątrz brudniejsza, aniżeli mogłem przypuszczać. Berlin z pewnością należy do najładniejszych miast w Europie, ale jego mieszkańcy!... Najszlachetniejsze rozrywki przekształcili oni w lubieżność, orgie i żarłoczność, a swobodę myślenia w rozkielżnaną swawolę. Kobiety prawie wszystkie są zgubione. Ze smutkiem widziałem najrozumnějších ludzi oślepionych bałwochwalstwem dla Fryderyka i sławiących nawet jego strony fałszywe, złe i śmieszne”.

Włoski poeta Alfieri nazywał ówczesny Berlin „niezmierną kordegardą”, zaś ambasador angielski, lord Malmesbury, pisał w r. 1772:

„Ze stanowiska społecznego nie ma na świecie miejsca, które mogłoby być gorsze od Berlina: jest to miasto, w którym nie znalazłby ani jednego zacnego człowieka, ani jednej niewinnej kobiety.

„W obu płciach i w ogóle warunkach społecznych góruje absolutny brak moralności i rozwiązłość obok niedostatku... Przybyłem tutaj bez uprzedzeń i przesądów i jestem w ciągłych stosunkach ze zbyt wieloma osobami różnych klas społecznych, ażebym mógł się mylić”.

Zaś w r. 1776 ten sam lord dodał:

„W ogólności Prusacy są ubodzy, pyszni, nieukształceni i bez zasad ... Ciemnota zagłusza w nich wszelki instynkt swobody, a brak zasad robi ich posłusznymi narzędziami, które nigdy nie pytają, czy rozkaz wydany im godzi się ze sprawiedliwością?...”

Opinie te, odnośnie do pewnej klasy, nie musiały być oszczerstwem, skoro przytacza je J. Scherr

jako charakterystykę ludzi tamtej epoki. Czy one jednak mogły charakteryzować całą ówczesną ludność Berlina?

Przede wszystkim zobaczmy, w jaki sposób należałoby wydawać o ludziach sądy mające wartość.

Zacznijmy od jakiegoś Pawła. Chcąc określić ten pojedynczy charakter, musielibyśmy spisywać różne jego czyny i przygody życiowe, z których ludzie rozważni mogliby wywnioskować, że:

Ten a ten Paweł jest to osobistość zdrowa, prawdomówna, logiczna, mało. wrażliwa, dość egoistyczna, dosyć moralna itp., itp.

Mając zaś takie cenzury blisko 2 milionów berlińczyków, za pomocą odpowiednich zestawień dowiedzielibyśmy się, że w Berlinie jest taki a taki procent ludzi zdrowych, taki procent prawdomównych, taki logicznych, taki energicznych, taki optymistów, taki moralnych itd.

Dopiero tego rodzaju statystyka, przedstawiająca za pomocą liczb zasadnicze cechy ludzkiej natury, dokładnie scharakteryzowałaby nam ludność miasta.

W rezultacie jednak tych badań otrzymalibyśmy — prawdopodobnie — następujące wnioski:

1) Że człowiek nazywany: egoistą, logicznym, energicznym itp. mógłby niekiedy okazywać się altruistą, nielogicznym, słabym itd., ale — w mniejszej liczbie życiowych sytuacji. W przeważnej zaś ilości wypadków postępowałby zgodnie ze swoim charakterem.

2) Że w każdym społeczeństwie i mieście znajdowałiby się ludzie rozmaici: prawdomówni i kłamcy, logiczni i nielogiczni, dzielni i słabi, altruści i egoiści itd. Każda jednakże z tych klas stanowiłaby tylko pewien procent ogółu.

Nie należałoby więc mówić, że np. taki a taki naród jest niemoralny, ciemny, bez zasad... ale — że w tym narodzie ludzie niemoralni stanowią pewien procent, ciemni inny procent, bez zasad jeszcze inny procent itd.

Spółeczeństwa więc nie różnią się między sobą materiałami: nie są jedne absolutnie złe, inne dobre, jedne mądre, inne głupie, jedne energiczne, inne słabe, ale — każde z nich posiada wszystkie typy charakterów, lecz w rozmaitym procentowym stosunku.

Drugą, niezmiernie ważną charakterystyką społeczeństw jest ich ustrój, układ wewnętrzny, mianowicie to, jakie charaktery: pożyteczne czy szkodliwe zajmują wydatne i wpływowe stanowiska?

Na przykład — giełdowi szachraje, sprzedajni dziennikarze, zdradzieccy oficerowie itp. znajdują się tak dobrze we Francji jak w Niemczech. I gdyby na chwilę dano nam boską wszechwiedzę, może zdumielibyśmy się zobaczywszy, że procentowe liczby szachrajów, zdrajców, sprzedajników w obu krajach są prawie jednakowe.

I ta tylko między Paryżem a Berlinem byłaby różnica, że gdy w Berlinie złe charaktery kryją się po kątach, w Paryżu — bez ceremonii wdarły się na świeczniki, gdzie, rozumie się, występne ich czyny więcej szkód wyrządzają.

A może tylko — dzięki zasadzie większej jawności — w Paryżu dokładniej niż w Berlinie prowadzi się „statystyka charakterów? ...”

— Rozumiem — odpowiada czytelnik. — Jakimże więc sposobem ty, autorze, dasz nam obraz charakterów ludności berlińskiej, jeżeli — nie tylko ty sam nie miałeś biura „statystyki moralnej”, ale nawet takiej instytucji wcale nie ma na świecie?....

Sposób ten jest bardzo prosty, a składa się z dwu części:

1) Trzeba wiedzieć, czego się szuka. 2) Trzeba pamiętać, że nie jestem biurem statystycznym, ale — skromną jednostką, której obserwacje mogą mieścić i zapewne mieszczą w sobie wiele błędów.

Ogólna zaś zasada wyprowadzania wniosków ze spostrzeżeń jest taka:

Gdyby w pewnym mieście było więcej blondynów aniżeli brunetów, więcej kulawych aniżeli garbatych, więcej rzetelnych aniżeli nierzetelnych, to i badacz spotykać będzie częściej: blondynów, kulawych i rzetelnych aniżeli ich kontrasty.

Zasada ta nie jest bynajmniej doskonałą i może zrodzić wiele ciężkich błędów. Pomagać więc jej trzeba — ostrożnością i ciągłym pamiętaniem, że — nasze spostrzeżenia i nasze sądy nie są dogmatami, ale — skromnymi wnioskami jednostki.

Po tych zastrzeżeniach wróćmy do rzeczy.

Jakże tedy przedstawia się fizyczny typ berlińczyka?

Naprzód — mężczyzna jest dobrego wzrostu, ma grube kości i tego rozwinięte mięśnie, z lekkim dążeniem do otyłości w wieku dojrzałym.

Włosy i zarost ma blond, niekiedy z lnianym albo rudawym odcieniem; cerę — ma zdrową, rumianą.

Trzyma się prosto, a nawet sztywnie; chodzi, jakby maszerował. Ręce ma duże i niemięjsze nogi.

Bardzo często ma cygaro w ustach i gazetę w rękach, a kapelusz na głowie nawet pod dachem.

Dodajmy — niebieskie oczy, rumiane usta i zdrowe zęby, a będziemy mieli panujący typ berlińczyka.

Czy to ma znaczyć, że Berlin nie posiada: brunetów, czarnookich, śniadych, cherlaków itp.

Bynajmniej. To tylko znaczy, że mocno zbudowani, niebieskooki blondyni trafiają się tam nieco liczniej aniżeli inne typy-

Kobieta berlińska jest również tęgą, niebieskooką blondynką. Nie zawsze ma ładną twarz, ale prawie zawsze ma ciało białe — jak śmietana. Jest ona obrazem zdrowia i pogodnego humoru i również okazuje skłonność do tycia.

Nareszcie, dzieci są także czerstwe, rumiane, muskularne, z niemałymi skłonnościami do biegów, skoków i rzucania kamieni.

Dzieci bijących się między sobą albo bitych przez osoby starsze w Berlinie nie widziałem.

Na ogół — berlińczycy są przystojni, a trafiają się bardzo piękni. Z tym wszystkim — nie *należą* oni do rasy wyższej, choćby tylko pod względem fizycznym.

W tej chwili wyobrażam sobie: 1) naszego chłopca, 2) berlińczyka, 3) Włocha. Otóż te trzy typy ludzkie można określić w następujący sposób:

Nasz chłopiec jest to posąg dopiero z grubego ociosany. Można już w nim odróżnić głowę, tułów i trochę kończyny, ale twarz przedstawia jeszcze bryłę niewyraźną.

Berlińczyk jest to już posąg, który ma nie tylko wszystkie palce, nos, oczy i uszy, ale nawet fałdy w odzieży, ba! już nawet jest pomalowany farbami...

Ale dopiero Włoch jest posągiem, który ma nie tylko wyrazistą i subtelną fizjognomię, ale i niezrównanej piękności postawę.

Pamiętam berlińczyków i Włochów w tak zwanej „berlińskiej Wenecji”, obok Zoologicznego Ogrodu, gdzie biedni, brudni, żebrzący i głodni Włosi jak zwierzęta pokazywali się zamożnym, czystym, dumnym i sytym Prusakom.

No i co?... No i każdy ruch, każde spojrzenie Włocha warto było rzeźbić i malować, podczas gdy pniakowate figury Prusaków były do śmieszności niezgrabne.

Włosi — oto jest dojrzała rasa, nie Niemcy. O nas zaś, którzy od berlińczyków mogliśmy się niejednego nauczyć, nawet nie wspominam.

Za to kobiety berlińskie z typu blondynek bywają cudownie piękne. Ich twarz i głowa zdaje się być — po prostu — melodią białych róż, fiołków i bursztynu opiewającą jakąś nadziemską naiwność

i niewinność.

Nie wiem, czy to sprawiała tęsknota za swoimi ludźmi, czy istotne podobieństwo, ale uważałem w Berlinie mnóstwo fizjonomii warszawskich i polskich. Raz nawet będąc w Ogrodzie Zoologicznym wydobyłem notesik i patrząc na spacerujących berlińczyków zacząłem zapisywać nazwiska warszawiaków podobnych.

Oto lista:

„Profesor Plebański, fortepianista Pankiewicz, dr Dobrski, radca Majewski, dr Szokalski, redaktor Leo, zegarmistrz Woroniecki, artysta Rapacki, Erlich, Szymański...”

W tym miejscu przerwałem. O parę stolików ode mnie siedział przy kuflu piwa jakiś frant w pewnym wieku, wcale niepiękny. Ten jednak myśląc, że jestem rysownikiem, który robi jego podobiznę, poprawił się z pewną ostentacją, i zwrócił się do mnie profilem, ażebym go lepiej mógł „schwycić ...”

Warszawiacy nie bywają aż tak uprzejmi.

Drugie podobieństwo, które mnie samego dziwiło, jest... językowe!... Bardzo często słysząc z daleka rozmawiających berlińczyków, o ile nie mogłem uchwycić wyrazów, miałem uczucie, że słyszę mowę polską.

Czy istotnie rozmowa nasza i niemiecka poza obrębem niepodobnych wyrazów mają — podobne „melodie”? Czy to był po prostu objaw już rodzącej się nostalgii? ... Nie potrafię na to odpowiedzieć.

Po paru tygodniach siedzenia w obcym mieście człowiek zaczyna doznawać takich uczuć, jakich — może — doświadcza żab wyrwany. W nowym otoczeniu jest mu źle, przypomina sobie, że w kraju było mu lepiej i ma jakieś niejasne poczucie, że ten kraj gdzieś się podział, że już na ziemi nie istnieje.

Warszawa, rodzina, znajomi — wszystko to był sen; rzeczywistością zaś jest ten obcy język, w którym nurzam się od rana do wieczora, ci ludzie nie moi i miasto, którego drażni mnie nawet piękność.

Otóż w takich chwilach nieopisaną przyjemność robi widok człowieka „z naszych stron”. Najpierw przypatrujesz mu się i mówisz:

— Jaki on podobny do inżyniera W., adwokata Kr., do malarza Wi., do przemysłowca N...

Nagle ów „podobny” wita cię i przekonywa, że jest on sobą samym w naturalnej wielkości i kształcie.

Wyznaję, choć może dowodzi to prostactwa, że dla mnie każde spotkanie warszawiaka na obczyźnie było błyskawicą, która budziła we mnie na kilka godzin radość.

Pamiętam, kiedy już wracałem do Warszawy, widzę na Bahnhofe Friedrichstrasse kogoś — bardzo podobnego do adwokata K.

— On, czy nie on?.... — myślę. — Ale skądżeby znowu on, o dziewiątej wieczorem, w tym miejscu! ...

Był to jednak „on”. Rozumie się, padamy sobie w objęcia, opowiadamy, skąd który jedzie... Wtem o kilka kroków mija nas dama, na widok której mówię głośno:

— Jaka podobna do pani W!...

— Bo też to jest pani W. — odpowiada adwokat.

— Nie może być! ... — wołam, co mi jednak nie przeszkadza rzucić się naprzeciw damy i witać ją z takim zapałem, jakbyśmy zjedli razem beczkę soli.

Zdarzają się jeszcze dziwniejsze spotkania. Raz idąc przez Friedrichstrasse spostrzegam, że „Pod Lipami” wiatr zerwał jakiegoś dziecku kapelusz i niesie go w moją stronę. Chwytam kapelusz,

oddają ojcu dziecka, słysząc: m e i n H e r r ... a tuż po nim:

— Ależ to pan G!...

Lepiej otwieram oczy i widzę tuż przed sobą na berlińskim chodniku całą rodzinę zacnych państwa K. z Warszawy.

Naturalnie, czym prędzej poszliśmy razem na obiad do takiej nadzwyczajnej winiarni, gdzie w Berlinie „dobrze jeść dają”. No — i po raz setny przekonaliśmy się, że w Berlinie nigdzie dobrze jeść nie dają!

Ażeby przynajmniej pod kulinarnym względem już teraz poinformować czytelnika, dodam w nawiasie, że za granicą ... nigdzie dobrze jeść nie dali. Jeść można tylko u nas. Tylko nasz chleb, nasze mięso, nasze barszcze i kapuśniaki, nasze tarte kartofle zasługują na *nazwę* ludzkiego jada.

Zaś paryska kuchnia, od której mamy uczyć się sztuki gotowania!... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Dowiedzieliśmy się tedy o berlińczykach, że pod względem fizycznym są to ludzie: zdrowi, silni, piękni, chociaż jako piękne utwory o wiele niżej stoją od Włochów.

Za to berlińczycy i w ogóle Niemcy północni posiadają zaletę nie dość dobrze znaną Włochom, Polakom, ba!... nawet Francuzom...

Oto — Niemcy północni są bardzo czyści. Takich zaś ludzi zasmolonych, obdartych, w brudnej bieliźnie a z rękoma jeszcze brudniejszymi, jakich można widywać u nas, tam po prostu nie spotyka się na ulicy.

Czystość ludu berlińskiego jest tak powszechna, że człowiek z początku nie dostrzega jej, dopóki nie zobaczy kontrastu.

Otóż ja widziałem kontrast.

Pewnego dnia wraz z moim bratem ciotecznym Waławem T. znaleźliśmy się na placu Belle Alliance, gdzie sterczy wysoka kolumna, a na niej frant ze skrzydłami, ustawiony w tym miejscu bodaj że na pamiątkę bitwy pod Waterloo.

Ponieważ zarówno mnie, jak i mego braciszka, ogromnie mało obchodzą pruskie tryumfy, więc zamiast pobożnie topić wzrok w pamiątkach narodowej sławy, weszliśmy między klomby otaczające plac i usiedliśmy na ustronnej ławeczce.

Odpoczywaliśmy tak z parę minut, kiedy nagle krzyknąłem ze zdziwienia...

Czy zobaczyłem cień Bluchera? ... Nie. Coś jeszcze dziwniejszego, mianowicie: niańkę i troje dzieci tak brudnych jak u nas żydowskie na rynku małego miasteczka.

Zaiste, trzeba było dopiero w Berlinie i na własne oczy zobaczyć — że nabite kurzem i podarte pończochy, zabłocone trzewiki, nigdy nie myte twarze i szyje, poszarpane sukieneczyny i pierze we włosach, ażeby „odczuć”, że taki brud jest rzeczą nie tylko niemłą, ale po prostu hańbiącą.

— Wiesz — odezwałem się do Waławca — nigdy bym nie przypuszczał, że w Berlinie zobaczę podobne niechlujstwo.

— Bądź spokojny — odpowiedział — to nie są berlińczycy. To są warszawiacy, którzy przyjechali tu pokazać ci się, ażebyś po nich zanadto nie tęsknił.

Bądź co bądź, po tym spotkaniu innymi oczyma patrzyłem na berlińczyków, którzy nawet wracając od roboty mają czystą bieliznę i umyte ręce.

Czystość jest tutaj potrzebą społeczną, a oprócz kąpieli w rzece, kąpieli dla osób zamożniejszych, kąpieli w mieszkaniach prywatnych istnieją tu jeszcze i wielkie oddają usługi kąpiele ludowe.

Widziałem jeden taki zakład. Mieści on się w niewielkim budynku parterowym, a posiada kilkanaście wanien i kilkanaście pryszniców. Interesant, wchodzący, tu, dostaje ręcznik, kawałtka mydła i, stosownie do zapłaty, w każdym razie bardzo małej, korzysta albo z prysznicza, albo z wanny.

Każdy interesant ma tu kabinę na rzeczy i ciasny pokoik na kąpiel. Mazura tańcować tu nie można, ale umyć się — doskonale ...

Rozumie się, że dla kobiet i mężczyzn są pomieszczenia oddzielne, z osobnymi wejściami.

CHARAKTER LUDNOŚCI

[część druga]

Zobaczmy teraz, jak wyglądają w stosunkach ze swoimi bliźnimi ci zdrowi, silni i umyjni berlińczycy?

Mieszkając w Charlottenburgu po kilka razy na tydzień kupowałem u pewnego wędliniarza szynkę, a u kupca kolonialnego pumpernikiel (słodkawy chleb razowy). I wędliniarz małżonką, oboje rumiani i tłuści ludzie, i kupiec kolonialny za pierwszym i drugim razem traktowali mnie grzecznie, lecz obojętnie. Ale już od trzeciego, od czwartego razu i tu, i tam byłem witany i żegnany w taki sposób, że mnie to zastanowiło.

W postępowaniu ich nie było cienia uniżoności ani niestosownej poufałości, ale jakaś szczególna serdeczność, jakbym był krewnym albo przyjacielem tych ludzi. I to nie tylko kupiec, ale subiekt i chłopcy sklepowi każdym ruchem, spojrzeniem, zapytaniem okazywali mi, że ich obchodzę, ja, biedny cudzoziemiec, który przynosił im no — 30 kop. na dzień za towar.

Ten nie dający się określić ton życzliwości nazywają Niemcy: Gemutlichkeit. Wyraz po naszymu znaczy: dobroduszość, miły charakter, co jednak nie maluje samego faktu. Chcąc odczuć Gemutlichkeit, trzeba ją widzieć i doznawać jej na miejscu.

Inny przykład.

Szedłem raz przez ulicę bezludną, mającą z jednej strony park, z drugiej ogród warzywny.

Zapadał już mrok, kiedy na zakręcie wylała się naprzeciw mnie gromada robotników, kłócących się między sobą dosyć ostro.

Myślę — awantura!... Jeżeli nie zejdem z chodnika — potracą mnie; jeżeli ustąpię na środek ulicy — mogą posądzić mnie o uciekanie przed nimi i, co najmniej, zwymyślają.

Ponieważ jednak nie było czasu do rozważań, zatem nie zwalniając ani przyspieszając kroku, szedłem prosto przed siebie. Zaś kłócący się nagle umilkli i rozsunęli się dając mi wolne przejście.

Potem zaczęli znowu.

Na taką Gemutlichkeit zdobędzie się nie każdy z inteligencji.

Jeszcze inny przykład.

Wszedłem raz do piwiarni, gdzie przy paru stołach siedzieli widocznie rzemieślnicy w kapeluszach. Ja usiadłem na boku, kazałem podać piwa i, swoim zwyczajem, zdjąłem kapelusz.

I co powiecie? Nie upłynęła minuta, kiedy sąsiedzi moi również podkrywali głowy. Muszę zaś dodać, że nie odznaczam się ani kosztownością szat, ani piękną postawą, ani manierami budzącymi powszechny szacunek.

Wyglądałem akurat tak jak owi panowie, którzy jednak nie uważali za stosowne siedzieć w kapeluszach wobec jakiegoś biedaka z odkrytą głową.

Wypadki podobne są tym dziwniejsze w Berlinie, że na przykład w tramwaju najczęściej ja ustępowałem miejsca kobietom, podczas gdy dziesięciu młodszych ode mnie panów rozpierało się najwygodniej. Chociaż i tutaj trafiały się wyjątki i widywałem nawet starszych ludzi, oddających kobietom swoje miejsca.

Oficerowie zaś są tak wielkimi galantami, nie tylko dla kobiet, ale dla wszystkich, że nigdy nie siadają wewnątrz wagonu, lecz stoją w tyle obok konduktora.

Podkreśliłem tramwajowe stosunki, dostrzegałem bowiem i nieraz, że berlińczycy nie są zbyt

uprzejmi dla kobiet. Mężczyzna wchodzący gdzieś przed kobietą, mężczyzna publicznie klepiący kobietę po twarzy, mężczyzna częstujący kobietę piwem ze swego kufła, mężczyzna nie ustępujący kobiecie miejsca, są to zjawiska bardzo pospolite w Berlinie.

Toteż kiedy pewnego dnia, w pasażu Panopticum, wiatr pewnej kupcowej zrzucił na posadzkę papier, a jakiś młody chłopak podniósł ten papier i podał go właścicielce, byłem przyjemnie zdziwiony.

Kiedym jednak opowiedział ten wypadek Waławowi, który zna trochę Niemców, żywo odparł:

— Ten chłopak nie pochodził z Berlina, jak i tamta niańka z placu Belle Alliance. Rodowity berlińczyk nie może być ani tak brudny, ani tak grzeczny...

Brak grzeczności w stosunku do kobiet wynagradza się tu nieznanym gdzie indziej sentymentalizmem.

Oto obrazek z natury.

Żołnierz piechoty i kucharka idą pod rękę jak dwa gołąbki: on tuli ją, tklawie spogląda jej w oczy itd.

Potem żołnierz wskakuje do przejeżdżającego tramwaju I — trzeba było widzieć miny obojga, te mnóstwa pocałunków, jakie sobie na pożegnanie przesłali!...

U nas; gdyby kto jechał balonem do Ameryki, nie zaś tramwajem na drugi koniec miasta, jeszcze nie byłoby tak tklawych scen.

Muszę wreszcie dodać, że rozdzierające pożegnanie bynajmniej nie zepsuło humoru damie. Wesoła i uśmiechnięta wracała do domu, jakby na nią co najmniej czekał kawalerzysta.

Sentymentalizm grasuje nie tylko między zakochanymi parami.

Innym razem widziałem, jak z kamienicy wyszła stara dama, przeszła na drugi chodnik i stanęła z zadartą głową. Niebawem na balkonie ukazała się inna stara dama i — nastąpiły pantominy.

Ile tam znowu obie strony przesłały sobie całusów — nie zrachuje.

Koroną jednak widowiska było to, że dama z balkonu zaczęła powiewać chustką na cześć przyjaciółki idącej prawdopodobnie do jakiejś dziesiątej kamienicy ...

Rozumie się, że opowiedziałem zdarzenie Waławowi, który mnie objaśnił:

— To jest zupełnie w stylu niemieckim: machanie chustką albo przesyłanie pocałunków. Kilka lat żyłem pośród nich i pamiętam, że u Niemki łatwiej jest dla stołownika o łyżę aniżeli o dobre masło ...

Za to inną, bardzo ładną cechą berlińczyków, a podobno, i Niemców w ogóle, jest rzetelność.

Nie przypuszczam, ażeby w granicach Cesarstwa Niemieckiego nie istniała żadna sprawa a la Panama albo a la Lebaudy. Owszem, z tych drobnych płomyków, jakie niekiedy wydobywają się spoza hermetycznych drzwiczek pruskiej dyskrekcji, można domyślać się, że dzieją się tam i dzieć będą rozmaite nieczyste sprawy.

Nie posądzam zatem Niemców o anielskość, ale muszę zanotować zdarzenia budujące.

Pewnego dnia w restauracji przy Behrenstrasse dałem kelnerowi zamiast 10 fenige dow — 50. Spojrzał i natychmiast zwrócił mi mówiąc:

— Pan zapewne omylił się.

W restauracji wegetariańskiej znowu omyliłem się płacąc rachunek o parę marek za drogo, co mogło nawet wyglądać na prezent zrobiony kelnerce. Kelnerka wzięła pieniądze, ale natychmiast oddała je gospodarzowi, który klusem przybiegł zawiadomić mnie, że należy się znacznie mniej, że kelnerki nie mają prawa przyjmować napiwków itd.

Podobne historie zdarzały mi się w tramwajach. A już prawie nie uważam za właściwe kłaść nacisku np. na taki fakt, że malarze malowali otwarte okno mego pokoju w czasie mojej nieobecności, że przez parę dni odnawiali cały dom i że jednak z mego pokoju nie zginął ani

papieros.

Restauracje i kelnerzy przypominają mi jeszcze jeden rys berliński.

Idziesz na obiad. W sieni domu szwajcar dotykając czapki mówi: Mahlzeit! na schodach przebiegający kelner mówi także: Mahlzeit! Wchodzisz do sali, przepełnionej gośćmi i służbą i nagie ze wszystkich stron: od gospodarza, kucharza, kelnera spadają na ciebie wyrazy: Mahlzeit!... Mahlzeit!...

Siadasz do stołu. Obecni robią ci miejsce, ale z ich min widzisz, że poznali w tobie cudzoziemca, choć jeszcze nie zdążyłeś otworzyć ust.

Po chwili przybiega trzeci z kolei kelner i podając kartę obiadową mówi: Mahlzeit!...

Nareszcie przychodzi do waszego stołu nowy gość, który nie patrząc na nikogo w szczególności rzuca wam wszystkim: Mahlzeit!...

Co to jest? Co to znaczy?

Mahlzeit — dosłownie znaczy: jedzenie, bankiet.

W pierwszej chwili nawoływania te podobały mi się jako objaw serdeczności między ludźmi, nawet obcymi sobie. Później jednak przyszło mi na myśl, że my, Polacy, mamy daleko więcej i nierównie serdeczniejszych wykrzykników: dzień dobry — dobre południe — Boże, dopomagaj itd.

Dzisiaj berlińskie Mahlzeit przypomina mi ubogą rodzinę, której członkowie na widok bodaj kartofli z solą cieszą się i. wołają: jedzenie!... jedzenie!... jedzenie!...

Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby berlińczycy wobec nas byli głodomorami; karmią się bowiem oni lepiej aniżeli my. Tylko wydaje mi się, że okrzyk Mahlzeit! nie tyle jest życzeniem wystosowanym do apetytu bliźnich, ile objawem egoistycznej uciechy na widok jadła ...

Zdrowie i czystość są to fizyczne cechy berlińczyka, zaś — Gemütlichkeit, rzetelność i sentymentalizm występują w stosunku jego do innych ludzi, są już społecznymi zaletami. Czy jednak nie można by posunąć się o kilka kroków głębiej — scharakteryzować duszę tego typu ludzi, jacy zamieszkują i tworzą Berlin?

Spróbuję dopuścić się podobnej definicji, z góry ostrzegając, że ona nie oprze się na „badaniach”, na które przede wszystkim brakłoby mi czasu, ale na „wrażeniach” — „domysłach” i nieledwie „przecuciach”. Czytelnik więc musi przyjmować te określenia bardzo ostrożnie.

Cóż tedy można powiedzieć o najwewnętrzniejszym charakterze berlińczyka, na mocy jego fizjonomii, postawy, ruchów, głosu itd.

Przede wszystkim co jest ideałem tych ludzi?

W całej naturze, a mianowicie w ludzkości, objawiają się trzy ideały, trzy odwieczne i wiekuiste dążenia — do Szczęścia, Użyteczności i Doskonałości.

Kiedy człowiek stara się o zdrowie, dobrobyt, rozrywki, kiedy oświadcza się kobietom, podróżuje dla zobaczenia pięknych widoków, wówczas dąży on do Szczęścia,

Kiedy uprawia ziemię, obrabia drzewo, wytapia metale, wznosi budowle, wyrabia narzędzia i maszyny, wówczas spełnia ideał Użyteczności.

A nareszcie, gdy ćwiczy swoje zmysły i mięśnie, rozwija pamięć i zdolność rozumowania, gdy kształci potomstwo, gdy wytwarza lepsze odmiany zwierząt i roślin, wówczas dąży do Doskonałości.

Otóż ci ludzie, na jakich patrzyłem w Berlinie, „wyglądają” (nie twierdzą, że są) wyglądają na takich, dla których najwyższym ideałem jest Użyteczność, następnym Doskonałość, a dopiero ostatnim — Szczęście.

Po wtóre — ciż sami ludzie „wyglądają” na takich, u których najsilniej jest rozwinięta Wola, potem Myśl, a najsłabiej — Uczucie.

Jeżeli „wrażenia” moje są trafne, w takim razie berlińczyk umie najlepiej pracować, potem uczyć

się, a prawie że wcale nie umie używać.

Od używania są inni, a Prusacy są od — robienia i to wcześniej czy później da im straszną przewagę w Europie. Naturalnie w Europie bez Anglii; Anglicy bowiem pracują jeszcze lepiej, to jest dokładniej, silniej, prędkiej i wszechstronniej aniżeli Prusacy.

W Berlinie wszyscy pracują: konduktor i dyrektor, kupiec i rzemieślnik, profesor i pastor, malarz, muzyk i aktor, żołnierz i generał. Tam pracą jest nie tylko szycie butów, robienie stołów, pieczenie chleba itd., ale ratowanie ludzi z wody lub ognia, tworzenie systemów filozoficznych, modlitwa kompozycje artystyczne, narażenie życia na placu bitwy...

Dlaczego berlińczycy mają tęgie mięśnie? Bo to są ludzie pracy. A dlaczego mają lichą kuchnię i jeszcze gorsze szansonistki? Bo to nie są ludzie użycia.

Idea pracy, pod promieniami której rozwijają się tamtejsi ludzie, wytwarza w nich rozmaite inne zalety.

Pierwszą jest logiczność i porządek. Aby przekonać się o ich istnieniu, wystarczy wejść do publicznego miejsca, na przykład do jakiegoś muzeum. Prawie wszędzie znajdują się nie tylko katalogi z planami, ponumerowane sale, kartki na okazach, ale jeszcze tabliczki wskazujące, dokąd prowadzą te drzwi czy tamten kurytarz.

Drugą zaletą jest karność. Kto zajmuje się jakąkolwiek pracą, ten wcześniej czy później musi wejść do pracy zbiorowej, a raz dostawszy się tam, musi wykonywać jakieś przepisy i stosować się do komendy.

Gdyby nie poczucie karności, głęboko zaszczerpione, berlińczycy nie mogliby jeździć koleją Śródmiejską, której pociągi zatrzymują się na krótki czas i nie mają dozorców. Gdyby nie karność, tamtejsze damy wyłamałyby wszystkie kwiaty z klombów, panowie zasypaliby gazetami i niedopałkami cygar wszystkie trawniki, a chłopcy pokaleczyliby wszystkie drzewa.

Ten górujący instykt pracy robi ich punktualnymi, a jednocześnie twardymi i kanciastymi, dzięki czemu nawet grzeczność ich bywa jakaś szorstka, a obojętność ma pozory gburostwa. Instykt pracy sprawia to, że berlińczycy są, czy tylko wyglądają raczej na prawdomównych aniżeli wrażliwych, raczej na silnych i moralnych aniżeli na miłośników swobody.

Nieraz patrząc na berlińczyków zapytywałem sam siebie: czy w tym mieście byłaby możliwa anarchia? I odpowiadałem, że nie. Tam bowiem nawet anarchiści chcąc zrobić anarchię utworzyliby Verein, który, układając plan społecznych wywrotów, jednocześnie musiałby zajmować się czystością ulic, pielęgnowaniem roślin, utrzymywaniem szkół, szpitali, muzeów itd.

Nie twierdzę, powtarzam, ażeby berlińczycy pracowali lepiej albo więcej od Szwajcarów, Włochów lub Francuzów (o ile widziałem ich pracę). Wydaje mi się tylko, że rys pracowitości góruje w Niemcu nad wszelkimi innymi.

Szczególniej uderza to człowieka przyjeżdżającego z Warszawy.

U nas kobieta średniej klasy, o ile znajduje się na otwartym powietrzu, na spacerze, nie robi nic, tylko rozmawia z innymi. W Berlinie zaś ' często widywałem kobiety przy wózku dzieciennym, przy kasie, w piwiarni zajęte robotami choćby pończoch.

U nas terminator, gdy z warsztatu wydobędzie się na ulicę, korzysta ze swobody i literalnie chodzi na głowie, a przynajmniej zapomina o warsztacie. Tam zaś spotkałem terminatora, który biegnąc przez ulicę bez czapki i surduta, miał jednak na piersiach i plecach tabliczki z napisem, że taki a taki majster, zamieszkały tu a tu, łąta buty na poczekaniu i niedrogo.

Roześmiałem się w duszy z tych tablic, które nie tylko robią chłopca użytecznym nawet wówczas, gdy nie siedzi z pociągłem, ale jeszcze chronią go od psich figłów. Nie łatwo bowiem chodzić na głowie, kiedy się ma na szyi tablice, no — i zmalowawszy coś — nie łatwo ukryć się dźwigając na

plecach adres.

Albo psy... U nas psy pilnują domu, polują, odgrywają rolę sprzętów, a niekiedy tuli ją się opuszczone przez człowieka, ścigane przez nędzę. W Berlinie zaś psów osieroconych nie widziałem; ale za to poznałem nowy typ: psa pracującego, który ciągnie wózek z jarzynami albo mlekiem.

Trzeba widzieć, z jakim zapałem uczciwe zwierzę pełni funkcję pociągowego motoru ... Czasami nieledwie wyłazi ze skóry, ale robi swoje i jeszcze macha ogonem albo naszczekuje z radości, że go awansowano na konia.

A z jaką powagą siedzi on przy wózku, odpoczywając; jak uważnie czuwa, aby nie zbliżył się obcy!...

Rozumie się, że w takiej chwili nie można mu pokazywać kota albo kiełbasy; nawet bowiem pies, silny duchem, ma mdłe ciało i nie wytrzymuje pokusy.

Ale następny fakt najjaskrawiej okaże, jak daleko rozciąga się tam zasada użyteczności i pracy.

U nas nawet żebrak sparaliżowany jeździ wózkiem, który popycha baba lub chłopiec. W Charlottenburgu widziałem taką rzecz:

Chodnikiem posuwa się... czworoboczny stół bez blatu. Wewnątrz stołu idzie człowiek, który naprzód popycha stół, a następnie oparłszy się rękoma o galeryjkę jego, sam robi krok. I tak ciągle: albo człowiek posuwa stół, albo sam oparłszy się rękoma o stół, posuwa bezwładne nogi.

Wewnątrz tego nieskomplikowanego aparatu dla paralityków jest przywiązane lekkie krzeselko, na którym może siadać chory. Przypuszczam, że niekiedy on sam wychodzi ze swej ruchomej fortecy, widziałem bowiem na galeryjce zawieszoną laskę.

Oto mi paralytyk, który sam siebie wozi za pomocą resztek stołu! Sprzęt kaleka pomaga człowiekowi kalece.

Przypomnijmy sobie teraz, że w Berlinie nawet ociemniaли i beznodzy nie żebrzą, ale sprzedają zapalki, a zrozumiemy, jak dalece pracę *uważa* się za obowiązek.

Wśród tych tłumów zdrowych, silnych, czystych, rzetelnych, a nade wszystko pracowitych, dążących do użyteczności uwijają się niby szczupaki między płótkami — ludzie zupełnie inni.

Zdawałoby się, że na ich twarzach, czasami nawet pięknych, nie dojrzysz nigdy radości albo smutku, ale — dumę, pogardę, a niekiedy rysy zadziwiającego okrucieństwa.

Ludzie ci, rasa „junkrów”, tworzą inny gatunek wśród berlińskiej ludności.

Oni to zapewne układają plany prac zbiorowych dla społeczeństwa i pilnują ich wykonania.

Od nich to otrzymywał oklaski Bismarck, kiedy mówił, że najważniejsze zagadnienia społeczne rozwiązują się krwią i żelazem, albo — że w przyszłej wojnie z Francją trzeba zwyciężonego ścisnąć za gardło tak, aż mu zbieleją wargi. Na ich poparcie liczył Moltke, kiedy ubolewał, że naród niemiecki jest zbyt łagodny i dlatego domagał się, aby rekrutów jak najwięcej ćwiczyć w walce na bagnety, bo to „hartuje” człowieka.

No i rzeczywiście hartowano i hartują tam ludzi, a historia Berlina ma piękne wspomnienia tych zabiegów.

Będzie temu z dziesięć, a może i więcej lat, czytałem w gazetach, że sztyldwach, pilnujący jakiegoś pomnika, kazał odejść chłopcom, którzy biegali po gazonie. A gdy go nie zaraz usłuchano, strzelił i — położył dziecko trupem.

Innego dnia, jakiś robotnik, przez otwór w parkanie, przypatrywał się mustrze kompanii piechoty. Nagle w otworze błysnął bagnet i wybił ciekawemu oko...

Skład zatem męskiej ludności Berlina jest bardzo rozmaity. Tworzy ona długi łańcuch typów, na którego jednym końcu kwitnie Gemütlichkeit, a na drugim zabija się figlujące dzieci.

Przejdźmy do kobiet.

Czytelnik z góry domyśla się, że Berlin nie jest miastem aniołów. Jak w „nowożytnym Babilonie” tak i w tym mieście „pobożności i dobrych obyczajów są nieprawe dzieci, zgubione kobiety, zdradzieckie żony, panny mające protektorów, choroby, szpitale i im podobne plagi życia.

Z pewnością wszystko to jest, ale nie rzuca się w oczy, a przeciętna berlińska kobieta przedstawia się bardzo sympatycznie.

Nieraz jadąc tramwajem przypatrywałem się moim sąsiadkom, ażeby sformułować sobie: na co one wyglądają? I zawsze wypadały mi same zalety. Ta musi być dobra gospodyni, tamta kocha dzieci, owa łagodna, inna wesoła, cierpliwa itd.

Szczerze mówię, że w ciągu kilku tygodni nie spotkałem kobiety, która by miała fizjognomię wyuzdaną, a choćby tylko wyzywającą. Przeciwnie: prostota, skromność i jakby nieświadomość o swoich wdziękach cechują tutejsze kobiety.

Więcej powiem: na ulicach berlińskich często, ale to bardzoczęsto widywałem fizjognomię, o jakich w kraju mówimy:

— Oto jest typowa dziewczica polska!...

Jakim wreszcie jest usposobienie tutejszej publiczności pod względem erotycznym, okaże następny fakt.

Nie pamiętam już w którym, w Apollo czy Ludowym Teatrze, francuska tancerka odgrywała mimiczną scenę pt. „Pchła”.

A oto jej treść:

Młoda pani, żona marynarza (w afiszu podano: narzeczona) ciężko nudzi się podczas nieobecności męża. Gdy więc mieszkający naprzeciw niej artysta począł ją zapraszać do siebie, po krótkim oporze zgodziła się na schadzkę.

Ubrała się, już ma wyjść, gdy nagle... ukąsiła ją pchła. Zaczyna się tedy poszukiwanie owej pchły, któremu towarzyszy stopniowe, ale za to kompletne wyzbycie się odzieży...

Krótko mówiąc, polowanie na pchłę zabrało damie tyle czasu, że minęła godzina schadzki i — cnota kapitanowej okrętu została ocalona.

Tego rodzaju koncepta są tak popularne np. w Paryżu, że nie tylko przedstawia się je na scenach, ale jeszcze opisuje w gazetach, rysuje w ilustracjach i paryżanie zawsze są z nich kontenci.

Lecz w Berlinie, nawet wśród nie bardzo doborowej publiczności, gdy tancerka skończyła swoją produkcję, odezwało się — zaledwie kilka oklasków i tyleż prawie sykań.

Ze ściśniętym sercem przypatrywałem się rozebranej i oczekującej owacji kobiecie. Miała też z czym i po co przyjeżdżać do Berlina ona, Francuzka!...

Dzieci są przede wszystkim zdrowe, czerstwe i czyste. Nie bez zazdrości przypatrywałem się nieraz wesołym i rumianym twarzyczkom, jakich nie spotyka się nie tylko u nas, ale nawet w innych niemieckich miastach.

Swobody mają dużo, choć nie tyle, co dzieci paryskie. Swoją drogą bawią się nie tylko na chodnikach, ale i na środku ulic, a że wesoło, wiem coś o tym, bo raz na ulicy Berlińskiej dostałem kamykiem w nogę.

Surowa dla wszystkich policja ich jakoś nie prześladuje. Chociaż trafiają się tam dzieci zahukane. Pewnego rana, idąc z Waławem przez ulicę, zobaczyliśmy ubogiego chłopczyka, który zatrzymywał się przed domami i z całej siły dzwonił sporym dzwonkiem, który trzymał w ręku.

Waław zbliżył się do niego i, pogłaskawszy, spytał: dlaczego on dzwoni? Ale chłopczyzna był tak przestraszony, że nic nie odpowiedział.

Domyślałem się, iż zawiadamiał on swoim dzwonkiem gospodynię, że nadjeżdża wóz z mlekiem.

Starsi bardzo dbają o dzieci. Nieraz widywałem małżeńskie pary, z których mąż niósł na rękach

dziecko najmniejsze, a żona dwoje innych wiozła w lekkim drewnianym wózku, podobnym do krzeselka.

Ażeby kto uderzył dziecko, nie widziałem ani razu.

Nawet municypalność żywo interesuje się dziećmi i w różnych punktach miasta wyznacza im placiki do zabawy. Są tam drzewa, ławki dla nianie, a zamiast trawników — wielkie kupy piasku, w którym tarzają się dzieci lekko ubrane i bose.

Na małym placu było ich tak dużo i bawiły się tak hałaśliwie, że widok ich przypomniiał mi owe drzewka z Bielańskiej ulicy, na których gęściej niż liście siadają warszawskie wróbelki.

Zabawa przy troskliwej opiece jest udziałem nie tylko takich dzieci, które jeszcze grzebią się w piasku, lecz i tych, które już zasiadają na szkolnych ławach.

Pewnego dnia obok Szkoły Politechnicznej w Charlottenburgu spotkałem długi sznur dzieci chyba młodszych od siedmiu lat, które szły gdzieś trójkami pod dozorem nauczyciela. Trzymały się za rączki i śpiewały prostą melodię w sposób dosyć fałszywy.

Jedno dziecko, jakieś wątłe, miało pochyloną główkę na bok. Podniosło czarne oczy ku wierzchołkom lip Thiergartenu i śpiewało jak ptak nie myśląc ani o tym, co je otacza, ani o tym, co śpiewa. Obok idący nauczyciel, człowiek szczupły, nieokreślonych lat, w starym surducie również wyglądał tak, jakby poza nim i dziećmi świat nie istniał.

Patrząc na jego wyżółkłą twarz, na której nie odbijało się żadne zewnętrzne wrażenie, tylko uwaga dla idącej przy nim gromadki, przypomniłem sobie słowa innego niemieckiego pedagoga Froebela: „Poświęćmy życie nasze — dzieciom ...”

Bardzo często zdarzało mi się widywać odkryte omnibusy, pełne chłopców i dziewczątek do jakichś lat 10 lub 12. Razem z nimi siedziały osoby starsze, zapewne nauczyciele i nauczycielki, a za nimi toczyły się inne omnibusy, wiozące tylko starszych, zapewne ojców i matki.

Oczywiście wszyscy oni jechali na zamiejski spacer. Nie umiem powiedzieć: jak się tam bawili? niezawodnie jednak wesoło i dobrze.

Raz nad wieczorem, około Luisen Kirche w Charlottenburgu, widziałem przy wrotach kościelnego ogródka jakiegoś mężczyznę, który wyglądał na pastora albo nauczyciela. Otaczała go liczna gromadka chłopców i dziewcząt, za którymi w pewnej odległości skupili się rodzice.

Dzieci trzymały w rękach nieduże chorągiewki, zielone gałązki i bukiety z polnych kwiatów. Co chwilę któreś z nich wysuwało się naprzód, robiło piękny dyg i podawało owemu panu drobną rączynę, którą on bardzo serdecznie ścisnął.

Ta ceremonia żegnania się czy dziękowania za coś trwała kilka minut. Miałem więc czas przypatrzeć się fizjognomiom rodziców jaśniejącym spokojną radością, twarzyczkom dzieci skromnym i wyrażającym sympatyczne uczucia, wreszcie — owemu panu, który miał wygląd niepospolicie dobrego człowieka.

ZWIĄZKI SPOŁECZNE

Choćby mężczyzna był tak silny, że mógłby zatrzymywać jadące wozy, tak pracowity, że odpoczywałby tylko sześć godzin na dobę, choćby kobieta była piękna jak Wenus, a nie-winna jak niemowlę, to jeszcze każda z tych nadzwyczajnych istot byłaby ułomną, nie posiadałaby wartości społecznej.

Spojrzyjmy na ogromną salę kolejowego dworca: ile tam tłoczy się osób pięknych, mądrych, dobrych, które jednak nie znają się między sobą, nie oddają sobie żadnych usług, są dla siebie niczym. Taka gromada choćby najznakomitszych ludzi jest to kupa piasku, niezorganizowana całość.

Ale niech osoby te zaczną rozmawiać ze sobą, pomagać sobie przy odnoszeniu walizek i zajmowaniu miejsc w wagonach. Niechaj osoby te wesprą ubogiego towarzysza podróży, wskażą drogę nie wiedzącemu, gdzie się obrócić, zaopiekują się chorym lub dzieckiem ...

Słowem, niech te osoby, przed chwilą obce i obojętne, zaczną kojarzyć się i wymieniać usługi, a wnet z luźnej kupy piasku utworzy się żywy organizm społeczny.

Każdy człowiek wysnuwa z duszy swojej niewidzialne nici, za pomocą których wiąże się z bliźnimi. Im dusza jego więcej posiada nitek, im każda nić uczepi się większej liczby innych ludzi, tym dany człowiek przedstawia większą wartość społeczną.

Im zaś w społeczeństwie istnieje więcej takich nici, tym ludzie pojedynczy dokładniej spływają się w jedną duchową całość, tym więcej zbliżają się do ideału: „jeden pasterz i jedna owczarnia”.

Są trzy typy owych niedostrzegalnych, a jednak potężnych nici, które ludzi łączą ze sobą:

1) Zdolność porozumienia się, a przede wszystkim język ustny i piśmienny.

2) Współczucie, dzięki któremu w chwili gdy jeden człowiek płacze z bólu, drugi choćby najweselej usposobiony przestaje się śmiać. A gdy kilku cieszy się, przynajmniej jeden smutny zapomina na chwilę o swych troskach.

3) Naśladownictwo, przez które: ruchy, sposoby mówienia i robienia, odzież, nawet opinie wymyślone przez jednego człowieka rozchodzą się między społeczeństwem i stają się własnością tysięcy.

Zacznijmy od naśladownictwa.

Już jadąc do Berlina zobaczyłem w wagonie człowieka, który miał ostro zakończone i do góry zakręcone wąsiki. W samym zaś Berlinie prawie każdy młody człowiek, a szczególnie oficer, musiał mieć wąsy, jeżeli nie bursztynowej barwy, to przynajmniej zastrzone i sterczące.

Nie rozumiałem, dlaczego tak się dzieje i skąd ten legion młodzieży . w niezwykle sposób układającej swoje wąsy. Nareszcie pewnego dnia zobaczyłem na ulicy cesarza i wyjaśniła mi się zagadka. Właśnie cesarz niemiecki — o ile dostrzegłem — nosił wąsy w taki sposób.

Pierwsza zatem nić społeczna: naśladownictwo, silnie rozwinięta jest między berlińczykami. Z tego powodu berlińczycy tysiącami podobni są do siebie i dzielą się na bardzo wyraźne grupy: junkrów, uczonych, studentów itd. Każda zaś grupa niekoniecznie odznacza się ubiorem, ale postawą, ruchami i wyrazem fizjonomii.

Robi się to za pomocą naśladownictwa. Młody człowiek w uniwersytecie, chce czy nie chce, musi naśladować burszów: ubierać się, pić piwo, śpiewać, chodzić i potrać filistrów jak oni. Człowiek nieco starszy, znalazłszy się w grupie ludzi, którzy lubią nosić okulary i długie włosy, sam — co najmniej — zapuszcza długie włosy, mówi i chodzi w sposób uroczysty.

Słowem, w społeczeństwie, świadomym siebie i mocno zorganizowanym, człowiek przeciętny w ciągu kilku lat robi się podobny do innych, mianowicie do najbliższych sobie i przyswaja sobie zarówno ich powierzchowność jak i duszę.

Przejdźmy do współczucia. Jednego dnia spotkałem na ulicy chłopczyka w cywilnym ubraniu z czerwonym krzyżem na rękawie.

— Sierota — pomyślałem — czy wychowaniec jakiejś osobliwej instytucji? A może felczerski uczeń? ...

W tydzień spotkałem inne dziecko z takim samym krzyżem i znowu kiedyś — jeszcze inne.

Gonić za dzieckiem i pytać: co znaczy jego krzyż? było mi nieporęczne. Zaczepić policjanta ... ba! są to tak wielcy ludzie, że już patrząc na nich doznawałem zawrotu w głowie.

W końcu przyszła mi szczęśliwa myśl i zwróciłem się po objaśnienie do córki tej madame, od której wynajmowałem pokój.

Panienka natychmiast zaspokoiła moją ciekawość.

— Czerwony krzyż na rękawie — mówiła — jest znakiem, że dziecku niedawno zaszczepiono ospę i jest zarazem przestrożą dla kolegów, aby który z nich nie uderzył małego pacjenta w rękę.

Wysłuchawszy tego, przypomniałem sobie, że i u nas szczepią ospę. W Berlinie jednak robią więcej: lekarz daje choremu znak, zabezpieczający od uderzeń, inne zaś dzieci są tak wychowane, że nie uderzają kolegi noszącego znak szczepionej ospy.

W nawiasie dodam, że w r. 1892 dokonano przeszło 60.000 szczepień.

Współczucie więc choćby tylko dla chorych rozlewa się wśród społeczeństwa szerzej aniżeli u nas, w Warszawie.

Zobaczymy później, że tak samo rzecz się ma ze wszelkimi kategoriami ludzi cierpiących czy potrzebujących. Ale zejdzmy krok niżej.

Przed wieloma laty była w Warszawie menażeria, a w niej niewielki, lecz zawsze gruboskóry hipopotam, który siedział w wannie z wodą.

Niezgrabne zwierzę podróżując po Europie, tak już nawykło do ludzi i ich łask, że na widok zbliżającego się do klatki otwierało paszczę... oczekując na bułkę.

Otóż owego potwora, o ile pamiętam, karmił bułką i głąską po ogromnym łbie, znany w swoim czasie oryginał i przyjaciel zwierząt, nieboszczyk Miłosz. Inni goście menażerii chcąc zachęcić hipopotama, ażeby powstał na nogi, szturgali go okutymi końcami lasek i parasoli tak gorliwie, że zwierzęciu pomimo grubej skóry skaleczyli do krwi górną wargę!...

Jakże inaczej dzieje się w niemieckich miastach. W berlińskim Ogrodzie Zoologicznym, ile razy zbliżyłem się do klatki czy zagrody zwierząt przeżuujących, mieszkańcy ich, nie wyłączając sarn i bawołów, szły do mnie; ptaki przypatrywały mi się ciekawie, a nawet zwierzęta drapieżne wyglądały jakoś spokojniej aniżeli w menażeriach.

Fakt ten dowodzi, że publiczność niemiecka pieści i karmi zwierzęta, ale nigdy ich nie drażni.

Podobne postępowanie tym bardziej zasługuje na uwagę, że w ogrodzie ani w klatkach, o ile pamiętam, nie było napisów, proszących, aby nie drażnić zwierząt.

A raczej były napisy. Jedne na ogrodowych drzewach, wskazujące: dokąd iść? inne proszące, ażeby publiczność rzuciła gazety w kosze dla szpitalów. Na klatkach w Berlinie pisano nie to, ażeby nie bić zwierząt, ale — ażeby takich a takich nie karmić, gdyż bułka, ciasto czy mięso im zaszkodzi. W drezdeńskim zaś Ogrodzie Zoologicznym, na mieszkaniach zwierząt łagodnych znajdowały się tylko tabliczki z ich nazwiskami, a na klatkach drapieżników napis: „Ostrożnie, bo my kąsamy!...

A propos kąsania. U nas pod Warszawą i za Warszawą zdarzyło się parę razy, że psy zagryzały przechodniów. W Berlinie kto ma psy, trzyma je w dziedzińcu zamkniętym przez mocny parkan.

Ażeby zaś nawet złodzieja ostrzec, na co naraziłby się przełaząc przez parkan, wywieszane są napisy:

„Baczność! tutejsze psy kąsają ...”

Powie ktoś, że to sąd i policja zaszczepliły w berlińskich sercach troskę o bezpieczeństwo ludzi. Wszystko jedno, dość, iż tam na każdym kroku widać, że „egoistyczny geszefciarz Niemiec” myśli nie tylko o własnej, ale i o cudzej skórze.

A ileż to razy u nas można widzieć, jak starszy chłopiec podstawia nogę lub uderza bez powodu młodszego? Berlińskie dzieci nawet zwierząt nie traktują w podobny sposób.

Kto u nas wreszcie podczas lata nie spostrzegł w Warszawie takiej sceny, że „dama ładnie ubrana” bez ceremonii wchodzi na gazon i... rwie kwiaty, stanowiące własność publiczną? ... Tam zaś, nie tylko „porządnie ubranym damom” podobny zamiar nie przychodzi do głowy, ale co ciekawsze, że ogromna większość młodych drzewek na ulicach rośnie z całym bezpieczeństwem, pomimo że są one wydane na łaskę i niełaskę uliczników.

Prawda, widziałem kilka razy drzewka chore. Cierpienie zaś ich poznałem po bandażach, jakimi z największą troskliwością były poobwijane. I myślałem sobie, jak *to* drzewo musi być wdzięczne przypadkowi czy ulicznikowi, który swoją psotą skłonił ogrodników do zaopiekowania się nim.

Fakta, któreśmy tu przytoczyli, na pozór drobne, w istocie mają ogromne znaczenie. Są to niby iskry dające znać, że w głębi Berlina, a lepiej, że w głębi Niemiec płonie wielki ogień, wielka siła, którą nazwałbym „instynktami społecznymi”.

Siła ta sprawia, że Niemcy są nie tylko państwem, ale że są w całym znaczeniu do samego dna — zorganizowanym społeczeństwem.

Wyobraźmy sobie mnóstwo cegieł, miliony cegieł. Z tego materiału można wznieść następujące typy budowli:

1) Wielki, porządny parkan, który ze wszystkich stron będzie opasywał jakiś kawałek gruntu. Parkan ten jest obrazem państwa w najogólniejszym znaczeniu, państwa np. takiego, jak Wielka Brytania, gdzie w jednej olbrzymiej zagrodzie mieszczą się: Europejczycy, Indusi, Murzyni, czerwonoskórzy, bawoły, słonie, owce itd.

Wielka Brytania jest to państwo, które w całości swej nie tworzy organizmu społecznego, ale zbiegowisko najrozmaitszych żywiołów, opasanych wspólnym murem, wspólnymi rogatkami, a to w celu wydobycia z ludzi największego dochodu,

2) Z owych milionów cegieł można zbudować całe miasteczko, całe mnóstwo domków, każdy na jedną rodzinę, lub kamienic, każda na kilkanaście rodzin.

Miasteczko to jeszcze nie będzie tworzyło jednego gmachu, ale już będzie zbiorem organizmów wspierających się i wymieniających usługi. Będzie to organizacja społeczna bezpieczeństwa, jaką na przykład widzimy u Żydów.

3) Wreszcie z cegieł tych można zbudować jeden olbrzymi hotel, o kilkunastu piętrach i tysiącach pojedynczych lokalów, gdzie każdy człowiek i rodzina może mieć swoją własną siedzibę, a obok tego wiele wspólnych dogodności, jak wspólne kuchnie, pralnie, sale taneczne itp.

Takim jednym gmachem, który składa się z wielu pięter, na każdym piętrze z wielu lokalów, a w każdym lokalu z pojedynczych pokoików, niby samodzielnych domków, takim gmachem są Niemcy. Są one jednocześnie i państwem, jak Wielka Brytania i społeczeństwem, jak Żydzi.

Zapomniałem dodać, że miliony cegieł mogą mieć jeszcze jedno zastosowanie, mianowicie leżeć bez użytku i wzajemnie otłukiwać sobie boki.

Takie zaś „zdolności społeczne” posiadamy my sami.

Historia uczy, w jaki sposób tworzą się państwa, a życie codzienne i psychologia objaśnia

początki małych organizacji społecznych, zwanych spółkami, stowarzyszeniami, klubami itp.

Oto przykład.

Jakiś Piotr potrzebując jeść kupuje mnóstwo artykułów spożywczych. Ponieważ jest to człowiek uważny, więc prędko spostrzega, że pewne przedmioty, kupowane wprost od wieśniaków, są tańsze aniżeli u przekupek, a wypadają jeszcze taniej, gdy kupuje się hurtownie.

Ten Piotr co dzień styka się z Pawłem, Gawłem, Cyrylem i innymi panami. A ponieważ zeszedłszy się, panowie ci, zamiast rozmawiać o „miłości i polityce”, mówią o swoich codziennych kłopotach, więc prędko dochodzą do przekonania, że:

Każdy z nich chce jeść i musi kupować artykuły spożywcze.

Gdyby je kupowali zbiorowo, u wieśniaków, mieliby towar i lepszy, i tańszy.

Ponieważ ludzie ci umieją nie tylko gadać, ale i działać, ponieważ ufają sobie nawzajem i ponieważ każdy z nich, podjąwszy się jakiegoś obowiązku wypełnia go z wolna, ale stanowczo, więc tworzą „spółkę konsumpcyjną”. Współka ta zaś, dzięki moralnym zaletom jej członków, stopniowo rozwija się i nie tylko członków swoich lepiej karmi, niż to robią przekupnie, ale jeszcze powiększa ich dochody.

Ten sam Piotr potrzebuje taniej kąpieli, taniej opieki, gdy jest chory, taniego odzienia i sprzętów itd. Wnet przekonywa się, że i jego znajomi mają podobne potrzeby i — znowu wraz z nimi tworzy spółki: pielęgnowania chorych, tanich łaźni, taniej odzieży itp. . Dla tworzenia więc spółek niezbędnym jest:

Znać własne potrzeby.

Odczuwać także same potrzeby innych.

Mieć tyle sympatii do ludzi i u ludzi, ażeby razem z nimi pracować nad wspólnym pożytkiem.

Posiadać pewne nałogi społeczne, jak karność, punktualność, rzetelność i tak dalej.

Niemcy w ogóle, a berlińczycy w szczególności, wszystkie powyższe zalety posiadają w wysokim stopniu. Toteż nie są oni kupą piasku, na którym łatwo wyciska się i jeszcze łatwiej zaciera każdy podmuch, ale państwem złożonym z ogromnej ilości większych i mniejszych stowarzyszeń.

Celem, dążeniem czy hasłem każdego z tych stowarzyszeń jest jakaś potrzeba ludzka. Rzecz jednak zasługująca na uwagę, że ci Niemcy, których my wyobrażamy sobie jako materialistów i egoistów, zakładają spółki przeważnie z celami altruistycznymi i idealnymi.

Gdyby zaś kto jednym zdaniem chciał scharakteryzować Niemców, postąpiłby najsprawiedliwiej mówiąc, że „jest to naród, który na świecie urzeczywistnia dwie idee: pracy i stowarzyszeń”.

Przejdziemy teraz do faktów, z góry prosząc o pobłażliwość na wypadek omyłki. Życie bowiem społeczne w ogóle, a berlińskie stowarzyszenia w szczególności, jest to las, w którym zbłąkać się niezmiernie łatwo. Zresztą nie chodzi mi o ścisły opis wszystkich stowarzyszeń, ale o ich zbiorowy obraz.

Zacniemy od początku.

Rodzicem wszystkich stowarzyszeń jest związek dwu osób, małżeństwo. Panuje opinia, że wielkie miasta nie sprzyjają małżeństwu i że liczba stadeł zmniejsza się. Ogólnie biorąc może tak jest, lecz w statystyce Berlina dostrzec tego nie można. Od r. 1852 do 1892 na tysiąc osób obojej płci przypada 9 do 15 ślubów, prawidłowego zmniejszania się ich nie widać.

Następstwem małżeństwa są dzieci. Dziećmi zamożnymi nie zajmuje się publiczna świadomość, natomiast bardzo interesuje się dziećmi ubogimi i ich matkami.

Uboga tedy a chora matka przede wszystkim (jeżeli nie idzie do odnośnego instytutu) otrzymuje pomoc i opiekę lekarską w domu.

W tym celu miasto jest podzielone na 70 przeszło cyrkułów lekarskich, z których każdy posiada

własnego lekarza, obowiązane go iść na wezwanie.

Gdy dziecko już przyszło na świat, a rodzice są biedni, dobroczynność miejska roztacza nad nim opiekę, z której np. w r. 1892 korzystało około 6.000 matek i 9.000 dzieci. Miesięczny wydatek dobroczynny na jedno dziecko wynosił 6 marek.

W razie śmierci rodziców dziecko znajduje opiekę miasta i stowarzyszeń. W r. 1892 sierot między pierwszym i 14 rokiem życia było w Berlinie przeszło 5.000, rozdzielonych między rozmaite zakłady.

Później wspomnę o ogródkach froeblovskich i szkołach elementarnych, w których dzieci otrzymują początki oświaty. Nie będę też wyliczał innych zakładów, których przeznaczeniem jest karmić, hodować dzieci i pielęgnować ich zdrowie. Podkreślę tylko jeden typ, znany i u nas, mianowicie kolonie wakacyjne.

Do instytucji tej należy 1.200 członków płci obojej, ugrupowanych w 13 komitetów. Wysłała zaś ona w r. 1892 około 3.000 dzieci już to na wakacje na wieś, już to do kąpieli słonych i morskich, na co wydano około 90 tysięcy marek.

Zakłady, opiekujące się osieroconymi dziećmi, wiele spośród nich oddają dobrym ludziom. W r. 1892 było około 2.600 podobnych wypadków, ogromna zaś większość dzieci dostała się rzemieślnikom i rękodzielnikom.

W jakikolwiek sposób wychodowało się dziecko, przychodzi nareszcie czas, że staje się ono człowiekiem i przystępuje do pracy.

W tej epoce życia znowu oddają mu usługi niezliczone stowarzyszenia.

Przede wszystkim gdy szuka pracy, ma około setki biur i stowarzyszeń, gdzie może dowiedzieć się o wakujących posadach za opłatą 1 marki, niekiedy 10 fenigów, niekiedy darmo. Każde takie biuro czy towarzystwo służy jednej tylko gałęzi pracowników np. jubilerom, zegarmistrzom, konstruktorom machin, stolarzom, kelnerom, fryzjerom, kupcom kolonialnym, dozorcóm chorych itd. Wiele spośród nich udziela wsparcie nie mającym roboty.

Gdy człowiek znalazł pracę i bierze pensję, zaczyna myśleć o oszczędności. Pomaga mu do tego miejska kasa oszczędności, licząca 452 tysiące członków z kapitałem 138 milionów marek.

Prawda, że spośród tej liczby uczestników 80 tysięcy oszczędzili zaledwie jedną markę do 20 na osobę. Jest jednak blisko 40 tysięcy takich członków, którzy posiadają w kasie po 1.000 do 10.000 marek kapitału.

Energiczny pracownik po kilku latach oszczędzania chce sobie w jakiś sposób los poprawić, lecz potrzebuje pomocy. Otóż pomoc taka już jest gotowa w postaci licznych towarzystw oszczędnościowych i pożyczkowych itd.

Istnieje przede wszystkim około 50 spółek wkładowo-zaliczkowych, które posiadają po kilkuset, a nawet po 100 i po kilkudziesięciu członków.

Najliczniejsze, o 1.000 uczestnikach, udzieliło w r. 1892 pożyczek 29 tysięcy na sumę 18 milionów marek. Najmniej liczne, złożone z 11 członków udzieliło jednakże 9 pożyczek na 1.200 marek.

Oprócz pożyczkowych istnieją towarzystwa: a) do nabywania surowych materiałów (stelmachy, krawcy, handlarze materiałów piśmiennych), b) spożywcze, z których zdaje się najliczniejsza „Pszczola” posiada 3.200 członków i 600 tysięcy marek obrotu. Ciekawsze są: c) towarzystwa budowlane, z których na przykład Niemieckie Towarzystwo Budowlane robi następujące operacje:

Buduje dom i oddaje go amatorowi w zamian za premię ubezpieczenia na życie. Wartość domu ustanawia samo Towarzystwo Budowlane, ale składkę asekuracyjną płaci nabywca nieruchomości.

Towarzystwo posiada około 60 członków i już zawarło umowy ze 173 nabywcami domów za

milion i 900 tysięcy marek. Operacje jego są istotnie oryginalne; czy jednak nabywcy domów robią dobre interesy? nie moja rzecz sądzić.

Ale najciekawsze w tej grupie jest „Stowarzyszenie do Walki z Lichwą”, która gubi posiadaczy ziemskich, urzędników, oficerów i w ogóle klasy inteligentne. Towarzystwo to, liczące około 800 członków, udzieliło w 1892 r. dwa tysiące pożyczek na sumę przeszło 3 milionów marek.

Inną instytucją, która chroni biedaków od lichwiarskiego wyzysku, jest Królewski Urząd Pożyczkowy, odpowiadający naszemu lombardowi. W r. 1892 — 93 złożono tam około 250 tysięcy fantów, na które otrzymano przeszło 5 milionów marek pożyczek.

Między fantami ogromną większość stanowiły wyroby złote i srebrne, odzież, wyroby z metali nieszlachetnych i zegary.

W życiu pracownika zdarzają się rozmaite niespodzianki: nieszczęśliwe wypadki przy pracy, choroba, wreszcie śmierć.

Otóż, ażeby osłabić smutne następstwa nieszczęśliwych wydarzeń, Berlin posiada bardzo wiele... nie powiem instytucji, ale bardzo wiele „grup” instytucji.

Naprzód — specjalne ubezpieczenia od wypadków przy pracy, do których należą dziesiątki tysięcy najrozmaitszych pracowników.

Po wtóre, są ogólne kasy dla robotników, które członkom swoim udzielają wsparcia nie tylko w razie jakiegoś uszkodzenia przy robocie, ale — w razie choroby i śmierci z jakiegokolwiek powodu. Do tych ogólnych kas w 1892 roku należało 313 tysięcy robotników płci obojej, spośród których 82 tysiące mężczyzn i 26 tysięcy kobiet uległo chorobom i korzystało z zapomóg.

Oprócz powyższych działały kasy cechowe, liczące z górą 200 tysięcy uczestników i mnóstwo, ale to mnóstwo stowarzyszeń prywatnych np. nauczycieli, artystów, dorożkarzy, subiektów handlowych, akuszerki, oficjalistów wiejskich itd. itd. Człowiekowi nieobeznanemu z tymi urządzeniami po prostu mąci się w głowie wobec ich wielkiej liczby. Są to setki kas i stowarzyszeń, liczących po paruset, a czasami... po kilkudziesięciu członków, którzy w ten sposób zabezpieczają sobie pomoc na wypadek choroby lub pogrzeb w razie śmierci.

Ale jeszcze i tego nie dosyć, są znowu bowiem stowarzyszenia wzajemnej opieki nad zdrowiem i pomocy w razie choroby, w których za opłatą 50 fenigów do 2 marek na miesiąc uczestnik otrzymuje lekarza i lekarstwa.

Umyślnie kładę nacisk na liczbę i różnorodność stowarzyszeń, aby jaskrawiej uwydatnić naszą pod tym względem niedojrzałość czy obojętność.

Jeżeli jednak czytelnik sądzi, że poznał już wszystkie stowarzyszenia, to jest w błędzie.

Człowiek bowiem, zabezpieczywszy się od wypadków przy pracy i zapewniwszy sobie pomoc w chorobie, chciałby w razie śmierci zostawić coś swojej rodzinie.

Temu zadaniu odpowiadają towarzystwa ubezpieczeń na życie. Berlin posiada ich 62, z których połowa liczy ze 300 tysięcy członków, ubezpieczonych na sumę przeszło 500 milionów marek.

Ubezpieczywszy siebie, człowiek chce posiadać pewność, że skutkiem nieszczęśliwych wydarzeń nie straci majątku. Takiej zaś pewności udzielają mu (rozumie się za opłatą) towarzystwa ubezpieczeń rzeczowych.

Najzasobniejszymi są ubezpieczenia ogniowe dla nieruchomości i ruchomości. W pierwszych, w ciągu 1892 roku, zaasekurowano 22 tysiące posesji na sumę 3 i 1/2 miliardów marek; w drugich ubezpieczono ruchomości na sumę 2 i 1/2 miliardów marek.

Prócz tych istnieje kilkadziesiąt towarzystw, które ubezpieczają transporta, bydło, pola od gradu, a nawet lustrzane szyby od stłuczenia.

No — a starość, kalectwo? Co ma robić człowiek, który doszedł do wieku albo do stanu

zdrowia, nie pozwalającego mu pracować? ...

Co? Niech zapisze się do kasy starców i inwalidów, która w r. 1892 utrzymywała około 200 niezdolnych do pracy i 1.800 osób obojej płci od 70 do 100 lat. Największy procent pensjonarzy dostarczają robotnicy przemysłowi i dzienni wyrobnicy. Ogólna zaś cyfra ubezpieczonych wynosi 230 tysięcy mężczyzn i 113 tysięcy kobiet.

Gdy człowiek zaspokoił własne potrzeby, zaczyna interesować się losem bliźnich, a przede wszystkim — biednych i chorych. Pod tym względem Berlin podejmuje się i wypełnia bardzo duże obowiązki.

Co do ubogich, było w 1892 roku w mieście 22 i 1/2 tysięcy osób, pobierających jałmużnę stałą, na co wydano 3 i 1/2 miliona marek, czyli przeszło 12 marek na głowę.

Prócz tego wydano około 660 tysięcy marek na wsparcia nadzwyczajne, w postaci chleba, mięsa, wina, odzieży...

Między pobierającymi wsparcie było najwięcej rzemieślników i wyrobników; obok nich zanotowano 34 byłych urzędników i nauczycieli tudzież 63 uczonych, literatów i artystów.

Nadto znajdują się miejskie przytulki, przez które przesunęło się w ciągu roku około 5.000 dorosłych i 3.000 dzieci.

Oprócz wsparć pieniężnych i przytułków Berlin posiada jeszcze instytucje: a) Wydawania ubogim zupy, której wyszło 760.000 porcji od połowy grudnia do końca marca. b) Wydawania opalu, na który wydano około 200.000 marek, c) Odzieży dla 800 przeszło ubogich, d) Kilkuset sztuk sprzętów.

Wyliczone instytucje znamy i w Warszawie, chociaż działalność ich nie dosięga tego stopnia. Ale o czym nie słyszeliśmy tutaj:

Miasto przeznaczyło przeszło 200 morgów ziemi dla ubogich. Zaorano te grunta, wynawożono je, wysadzono kartoflami i podzielono na małe części po 400 kwadratowych metrów. Na każdej części było 75 kilogramów zasiewu, który na jesieni wydał siedem razy większy plon.

Parcele takie wydzierżawiano po 7 i 1/2 marki; korzystało zaś z nich 2.700 rodzin, liczących około 18.000 głów.

Skąd biorą się fundusze na zaspokojenie tylu potrzeb?

Znaczną część daje miasto, inną część — składki i zapisy osób dobroczynnych. W ciągu r. 1892 wpłynęły następujące większe sumy: H. Henoch zapisał 100.000 marek na udzielanie stumarkowych zapomóg ubogim bez różnicy wyznań. G. Borstel ofiarował 300.000 marek na utworzenie zakładu dla niewidomych berlińczyków; wysokość wsparcia 120 marek na osobę. W. Lewin przeznaczył sumę 680 tysięcy, od której 2/3 dochodu przeznaczył dla ubogich, a Vs na rzecz nieślubnych dzieci. Sukcesorowie G. Bleichrodera przeznaczyli 100 tysięcy marek dla ubogich wstydzających się żebrac, a dwaj nieznajomi darowali 10.000 marek na opał dla biednych.

Tyle to co roku zapisów przeznacza się w Berlinie na cele dobroczynne i dziwna rzecz, pozostałe rodziny nie procesują się o obalenie testamentu, nie ogłaszają zapisodawców jako wariatów!

Zasługuje też na uwagę wielka stosunkowo między ofiarodawcami liczba nazwisk żydowskich.

Ogólny majątek zakładów dla ubogich wynosi około 16 milionów marek.

Drugą kategorią bliźnich zasługujących na pomoc są chorzy. Rozciągnięta zaś nad nimi opieka przybiera bardzo rozmaite formy. I tak:

Ubdzy chorzy leczą się we własnym domu, zaś filantropia dostarcza im lekarzy, lekarstw, potrzebnych opatrunków. W r. 1892 chorych takich było 61.000, a spomiędzy nich umarło tylko 3%. Za leczenie ich lekarze pobrali 100.000 marek, zaś lekarstwa kosztowały 150.000.

Dla czuwania nad tego rodzaju pacjentami miasto dzieli się na 70 rewirów lekarskich, posiada

tyłuż lekarzy płatnych i ze 40 bezpłatnych.

Kto nie może leczyć się w domu, idzie do szpitala. Instytucji takich miejskich i prywatnych Berlin posiada kilkadziesiąt. W samych ogólnych szpitalach w 1892 r. leczyło się przeszło 43.000 chorych, a każdy dzień kosztował 2 i 1/2 marki.

Pomijam przytułek dla rekonwalescentów i zakłady dla obłąkanych, gdzie mieści się przeszło 3 tysiące chorych. Wspominam tylko o przytułkach dla cherlaków (700 pacjentów), o schronieniach dla ludzi pozbawionych dachu, gdzie w ciągu roku przygarniają po 10 tysięcy ludzi, a nareszcie o domach noclegowych, w których bezdomnym udzielono przeszło 300 tysięcy noclegów.

Wypada jednak choć krótko wspomnieć o następnych instytucjach:

Berlińskiej kolonii roboczej dla pozbawionych pracy, przez którą przewija się rocznie około tysiąca osób, zaś dzienne utrzymanie jednego wynosi 37 i 1/2 feniga.

Męskim związku do zwalczania niemoralności, który posiada przeszło 400 członków i 6.000 marek dochodu.

O związku zbieraczy łebków od cygar dla urządzania na Boże Narodzenie choinek dla sierot.

O kobiecym stowarzyszeniu „Szarotka”, które w ciągu roku dało zajęcie 120 ubogim kobietom, a wysłało na wakacje przeszło 200 dzieci i 180 dorosłych, przeważnie szwaczek.

Kobiece stowarzyszenie dla wspierania wdów i sierot po muzykach utrzymywało 11 rodzin, 34 wdowy i 2 sieroty.

Centralne Towarzystwo dla wyszukiwania pracy, które pod arkadami kolei Śródmiejskiej utrzymywało sale ogrzane dla 800 osób.

Berlińskie kuchnie ludowe, które od 1866 r. w 15 zakładach zakupiło 2 i 1/2 miliona porcji dla ubogich.

Towarzystwo rozdziału żywności z kuchen tanich, które w ciągu roku żywiło dwa tysiące rodzin.

Towarzystwo ludowych jadalni i kawiarni, które w 27 małych lokalach sprzedaje śniadania po 20 do 30 fenigów, filiżankę kawy i szklankę mleka po 5 fenigów, kufel piwa po 10 i cygara po 3 i 1/2 feniga.

A więc chyba na tym kończy się berlińska dobroczynność?

Bynajmniej. Znalazłem bowiem w tamtejszych wykazach jeszcze... 36 stowarzyszeń dobroczynnych, które posiadają; od 48 do 11.000 członków i od 700 do 131 tysięcy marek rocznego dochodu.

Czytelnik miałby chyba dosyć tego; ale bynajmniej nie na tym kończy się berliński instynkt do zawiązywania stowarzyszeń i do tworzenia instytucji publicznego użytku.

Przecież godzi się choćby tylko wspomnieć o ochronach, zakładach wychowawczych dla głuchoniemych i ociemniałych.

A zatem...

A zatem, jako dobra gospodyni, która na koniec obiadu chowa leguminę z ananasowymi konfiturami, tak ja na zakończenie kwestii stowarzyszeń berlińskich schowałem najlepszy typ.

— Pewnie coś powie o baletniczkach, które tańczą bez .. . ! — myśli uradowany czytelnik i w tejże chwili wysyła kucharkę, ażeby przyniosła mu jeszcze kilka egzemplarzy tego samego „Kuriera”.

Baletnica bez ...!... to mi dopiero „Kartka z podróży!” ...

Właśnie to mam na myśli, kiedy chcę powiedzieć, że jedną z najgodniejszych uwagi, a najmniej znaną u nas grupą stowarzyszeń są — Ve r a j n y poświęcone...

— Zarzucaniu trykotów!... — woła czytelnik.

— Nie ... pielęgnowaniu zdrowia...

Tu jednak, choćbym szczerze pragnał, nie mogę pominąć milczeniem instytucji zwanych klinikami

i poświęconych leczeniom specjalnych chorób, a więc wewnętrznych, chirurgicznych, kobiecych, dziecięcych, ocznych, usznych, nerwowych, żołądka i kiszek, zębów i jamy ustnej itd.

W r. 1895 zakładów podobnych funkcjonowało w Berlinie 105 publicznych i 51 prywatnych przy udziale 247 lekarzy. Z usług zaś ich korzystało przeszło 213 tysięcy osób ...

A teraz wróćmy do stowarzyszeń, mających na celu pielęgnowanie zdrowia.

Pierwsze miejsce należy się tutaj posterunkom sanitarnym. Są to niewielkie lokale, gdzie zawsze znajduje się lekarz i środki opatrunkowe dla udzielenia pomocy osobom, które zachorują na mieście z daleka od domu.

Z posterunków korzystają chorzy potrzebujący porady medycznej, chirurgicznej i akuszeryjnej. Tu również odstawia się tych, którzy ulegli nieszczęściu (np. przejechaniu) albo dopuścili się samobójczego zamachu.

Przytułków takich jest około 20 w Berlinie (jeden nocny), a korzystało z każdego około 600 osób w ciągu roku. Lekarzy bywa tam po kilku, w niektórych — kilkunastu w ciągu doby.

Potem idzie Towarzystwo kształcące dozorców i dozorczyńnię chorych. W dziewięciu szpitalach osoby te obznajmiają się ze sztuką pielęgnowania chorych; przesunęło się zaś ich przez kursa w ciągu roku około tysiąca.

Dalej należy tu parę stowarzyszeń kobiecych liczących około 50 uczestnic, które pielęgnują chorych w ambulansach albo w prywatnych domach.

Nareszcie, istnieje w Berlinie bardzo piękne „Towarzystwo Samarytanów” (136 mężczyzn, 422 kobiet), którzy uczą się udzielać pierwszej pomocy w nagłych wypadkach np. poparzeniu, utonięciu, złamaniu jakiegoś członka, zranieniu itd.

Jest to niesłychanie ważne towarzystwo, któremu podobne obyśmy jak najprędzej ujrzeli w Warszawie. U nas bowiem, gdy chodzi o szybką pomoc na ulicy, wszyscy tracą głowę, nie mówiąc, że nikt z osób prywatnych nie potrafi unieruchomić złamanego członka, zatamować krwi itp.

Ciekawe są towarzystwa higieniczne, do których należą obie płcie, na przykład: a) „Zwolennicy Leczenia Naturalnego” (104 członków), b) „Towarzystwo Wegetariańskie”, które karmi się wyłącznie roślinami (133 członków), c) „Towarzystwo Nieprzyjaciół Wódki” (22!... członków), d) „Towarzystwo Umiarkowania” (266 członków), e) „Towarzystwo Czuwania nad Młodzieżą” (620 członków), f) „Armia Zbawienia” (166 członków) i g) „Stowarzyszenie Higieny Domowej” (przeszło 500 uczestników obojej płci).

Przygotowano na podstawie bookini.pl